NUMER 14
ZIMA 2004

INNE PLANETY

Grygorowicz Michałowska Szyda

Radio Free NF nadaje:
Jęczmyk
Oramus
Sobota

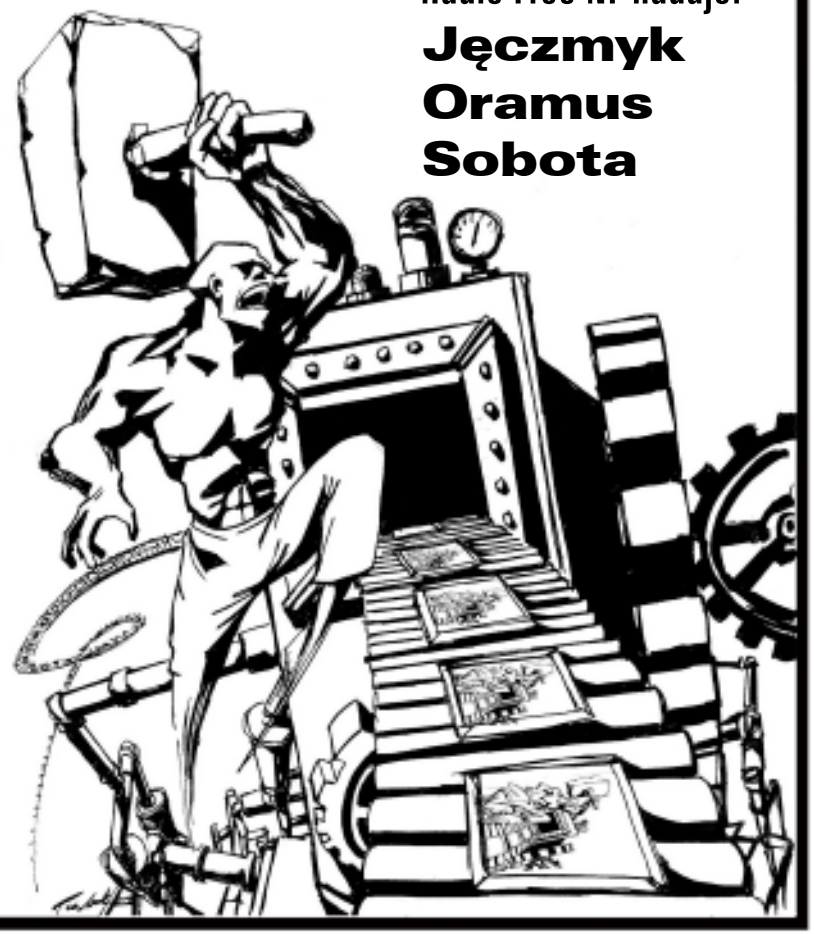

rys. Paweł Piechnik

POLSKA FANTASTYKA: LITERATURA • MUZYKA • FILOZOFIA

Witajcie!

Powy¿sze zawo³anie, umieszczane w ka¿dym dotychczasowym wstêpniaku do „Innych Planet” – dopiero tym razem, w numerze poœwiêconym zjawisku unifikacji, zyskuje pe³niejszy wymiar. Jest to bowiem zawo³anie sformu³owane w liczbie mnogiej. A wszelka unifikacja, standaryzacja, uniformizacja i kolektywizacja wymaga zastosowania w³aœnie tej liczby. Zreszt¹, od pewnego czasu „IP” redagowane s¹ zbiorowo. Kolegium redakcyjne by³o wiêc œwietnie przygotowane do zredagowania tego numeru – w³aœciwie powinienem rozpocz¹æ wstêpniak od s³ów: „My, redakcja...” Ale przejdŸmy do przyk³adów literackich.

Z poruszan¹ w tym numerze tematyk¹ wi¹¿¹ siê dwie ksi¹¿ki. Pierwsza to krótka powieœæ Ayn Rand zatytu³owana „Hymn”, antyutopia ukazuj¹ca spo³eczeñstwo skrajnego kolektywizmu, napisana w ca³oœci w liczbie mnogiej (my to, my owo, my tamto etc.) – narrator jest pozbawiony indywidualnoœci, wprasowany w cia³o zbiorowe, którego jest drobnym trybikiem, w³aœciwie nie ma tam narratora, s¹ narratorzy. Zwolenniczka indywidualizmu i spo³ecznego egoizmu, Ayn Rand, polemizuje w ten sposób ze znienawidzon¹ przez siebie ideologi¹ stawiaj¹c¹ zbiorowoœæ nad jednostk¹ – i chyba trzeba przyznaæ jej racjê...

Druga powieœæ to „Czas przemian” Roberta Silverberga – mamy tam œwiat, w którym zabronione s¹ wypowiedzi formu³owane w pierwszej osobie liczby pojedynczej. S³owo „ja” ma dla mieszkañców obcej planety posmak zakazanego owocu, gdy¿ u¿ycie tego – niewinnego u nas – zaimka jest ciê¿kim grzechem. O sobie samym nale¿y mówiæ w trzeciej osobie – jakby mówi³o siê o kimœ trzecim... Istny ob³êd, ale tylko z naszego punktu widzenia. Dopiero pewien Ziemianin przybywaj¹cy do tamtego œwiata wszczyna w nim obyczajowy przewrót, miêdzy innymi za pomoc¹ narkotyków. Ale znacznie wa¿niejsza jest rewolucja na poziomie jêzyka, od której wszystko musi siê zacz¹æ. Tylko przez zmianê jêzyka mo¿na przekszta³ciæ mentalnoœæ, a bez zmiany mentalnoœci nie mo¿e byæ mowy o zmianie obyczajów.

Standaryzacja z jednej strony niszczy ró¿nice, które przes¹dzaj¹ o barwnoœci i atrakcyjnoœci naszego œwiata, z drugiej jednak strony jest nieodzowna. WyobraŸmy sobie brak ujednoliconych znaków drogowych, brak standardów higieny czy brak standardów odzie¿owych – ¿ycie by³oby du¿o trudniejsze. Zjawiska te oczywiœcie wystêpuj¹ w niewielkim stopniu: s¹ miejsca na œwiecie, gdzie obowi¹zuje ruch lewostronny (np. Wielka Brytania, Malta, Cypr), miejsca, gdzie warunki sanitarne s¹ gorsze ni¿ przeciêtne, i w koñcu miejsca, gdzie ubiór nie jest rzecz¹ dowoln¹...

Znacznie gorzej, gdy unifikacja próbuje wkraœæ siê w sferê za bardzo szczegó³ow¹ i regulowaæ nasze ¿ycie na absurdalnie drobiazgowym poziomie. Niektóre normy Unii Europejskiej mog¹ byæ dobrym przyk³adem takich przegiêæ. Z drugiej strony – standaryzowaæ chce nas agresywny Islam, dla którego œwiat niewiernych jest niedopuszczalnym odstêpstwem od Jednego Wielkiego Standardu ustanowionego przez Koran i Proroka. Jednostka – mam na myœli przeciêtego Europejczyka – znalaz³a siê wiêc miêdzy m³otem a kowad³em, czy mówi¹c ³adniej: miêdzy Scyll¹ brukselskiej biurokracji a Charybd¹ islamskiego zamordyzmu. Z t¹ drug¹ standaryzacj¹ przyjdzie nam pewnie walczyæ w XXI wieku, obawiam siê – w jakimœ sensie s³ynne „zderzenie cywilizacji” bêdzie po prostu wojn¹ standardów.

Mimo powy¿szych zastrze¿eñ mam nadziejê, ¿e ten numer skutecznie zintegruje czytelników. Oby by³a to unifikacja bez mentalnej uniformizacji. Jak ktoœ bowiem s³usznie zauwa¿y³: tam, gdzie wszyscy myœl¹ tak samo – naprawdê nie myœli nikt.

Wojciech Szyda

spis rzeczy

krytyka jednakowa

Krzysztof G³uch
Ja sem Robot 24

Krzysztof G³uch
Unifikacja po Riddickowemu 32

Marek Oramus
Pi¹te piwo 42

Maciej Witkowiak
Uwagi dwóch panów B. o ¿yciu i œmierci 60

Pvt. Delano, USCMC
Jak Mr. Anderson sobie Hollywood wyobra¿a³... 68

Maciej Witkowiak
Pieœñ skoñczona 70

Maciej Guzek
Czekaj¹c na Dukaja 73

cykliczne felietony identyczne

Wojciech Szyda
Prowokacje kontrolowane 14

Jacek Sobota
Wyznania idioty 26

Mutant
Ja mutant 31

Pawe³ Ostrowski
Nauka o fikcji 34

Lech Jêczmyk
Nowe Œredniowiecze 56

Krzysztof G³uch
Kresy literatury 58

T&W
Planeta absurdu 66

rys. Pawe³ Piechnik

krzyżówka 74

proza (nie)zrównana

Iwona Micha³owska
Buty Bergmana 4

Beata Dranikowska
Narodziny 28

Wojciech Grygorowicz
Przypowieœæ o ¿yciu i œmierci 51

Olgierd Czarnomski
1 maja 72

publicystyka jednego autora

Micha³ Protasiuk
Nowa twarz horroru 44

Micha³ Protasiuk
Przewrócona ósemka 62

dyskusja e-mailowa

Redakcja
Futurologia po polsku, czyli PL+50 47

Iwona Micha³owska

B u t y Bergmana

Witam pañstwa ze stadionu w Tokio, gdzie za chwilê rozpocznie siê fina³owe spotkanie o mistrzostwo œwiata miêdzy jedenastkami Japonii i Polski! Obie dru¿yny stoj¹ ju¿ na boisku, gotowe do odœpiewania hymnu. Nasi zawodnicy spokojni, ale skoncentrowani. Jedenaœcie par butów Bergmana læni w œwietle jupiterów. I oto zabrzmia³a ta jak¿e droga sercu melodia, któr¹ obyœmy mieli okazjê us³yszeæ dziæ raz jeszcze!

Hej, dzieci, jeœli chcecie horroru poznaæ smak
W muzyce naszej go nie brak!
Nie ma tu nic dobrego, ca³y styl jest do niczego
Mówiê wam, to naprawdê wielki czaaad!

Kr¹g³olice dzieci wraca³y z procesji, wywrzaskuj¹c najnowszy przebój zespo³u Five Pretty Boys. W ich wykonaniu nie brzmia³ tak straszliwie, pamiêæ orygina³u sprawia³a jednak, ¿e dyskomulskie „umcy, umcy" i tak dodawa³o mi siê w g³owie. Przyspieszy³am kroku, by jak najszybciej znaleŸæ siê w domu i skonsumowaæ porcjê duchowej strawy. W ci¹gu ostatniego pó³rocza cierpia³am na jej chroniczny deficyt, ale dziêki Konradowi, który co pi¹tek przynosi³ mi kontrabandê, wci¹¿ ¿y³am.

Pó³ roku temu podziemie wyda³o na mnie wyrok.

Wieczorem tamtego dnia do moich drzwi zadzwoni³ Konrad. Nigdy przedtem u mnie nie by³. Nie mia³am pojêcia, sk¹d wzi¹³ adres.

- Chcê, ¿ebyœ wiedzia³a, ¿e jestem do twojej dyspozycji – powiedzia³. – Jeœli potrzebujesz kuriera, ja nim bêdê.

S³ysza³am, ¿e niektórzy ludzie potrafi¹ prze¿yæ wiele lat z wyrokiem. Teraz zrozumia³am, jak tego dokonuj¹.

- Dlaczego? – zapyta³am.

- Bo nie zgadzam siê z ich werdyktem.

Konrad w podziemiu by³ przeciêtnym facetem. Na powierzchni poci¹g³a twarz i zarost na bladych policzkach zdradza³y go przy pierwszym wejrzeniu. Ale kr¹g³olicy nic do nas nie mieli.

- Nie ma mowy – zaoponowa³am. – Nie chcê ciê mieæ na sumieniu. Wiedzia³am, co robiê i czym to grozi.

- Ale nie s¹dzi³aœ, ¿e to nast¹pi, prawda?

- Nie – przyzna³am niechêtnie.

W miarê pogarszania siê sytuacji gospodarczej podziemia ros³a czêstotliwoœæ zapadania wyroków. Im mniej gêb do wy¿ywienia, tym wiêksza szansa przetrwania dla tych, którzy pozostali.

- Wiem, co chcia³aœ zrobiæ – rzek³. – Ja te¿ od dawna o tym myœlê. Chodzi³o o zbudowanie pomostu.

Podziemie dopatrzy³o siê zdrady w mojej wspó³pracy z Five Pretty Boys. Uznali, ¿e kierowa³am siê chêci¹ zysku: rosn¹ce ceny duchowej strawy coraz czêœciej sk³ania³y ludzi-szczurów do podejmowania zajêæ niezgodnych z etyk¹ podziemia. Jak na ironiê, teraz, gdy ju¿ zamkniêto mi dostêp do podziemnego rynku, otrzymywa³am za swoje teksty tantiemy, o jakich przedtem nie œni³am. O pomoœcie, rzecz jasna, nie by³o mowy: z ca³ej warstwy s³ownej albumu publicznoœæ rozumia³a jedynie dodane przez producentów przerywniki. Reszta równie dobrze mog³aby byæ napisana po ³acinie.

- Skrewi³am – powiedzia³am.

Pokrêci³ g³ow¹.

- Zawêzi³aœ obszar poszukiwañ. Wiadomo ju¿, ¿e z muzyk¹ nie ma co próbowaæ.

- Daj spokój – powiedzia³am. – To siê nigdy nie uda. Przepaœæ ewolucyjna jest zbyt wielka.

- Musi siê udaæ – rzek³. – Inaczej wszyscy zginiemy. Wiesz, jak jest na dole. Zapasów w magazynach ubywa, konsumpcja od wielu lat przewy¿sza produkcjê, talenty siê wypali³y, nie ma nawet œrodków na powielanie starych dzie³.

Zawar³am z Konradem umowê. On co tydzieñ realizowa³ moje zamówienie, ja p³aci³am mu sumy trzykrotnie przewy¿szaj¹ce regularne ceny. Dziêki hecy z Five Pretty Boys by³o mnie staæ na dofinansowywanie podziemia, które skaza³o mnie na œmieræ. Zew krwi okaza³ siê silniejszy od gniewu.

Gdy tylko przekroczy³am próg mieszkania, w³¹czy³am kompakt, zag³uszaj¹c stêkaj¹ce mi w g³owie sample *Peer Gyntem* w wykonaniu filharmoników nowojorskich. Druga z zamówionych na ubieg³y pi¹tek p³yt, trzeci koncert fortepianowy Rachmaninowa, nie dotar³a. Jeœli, jak twierdzi³ Konrad, nak³ad siê wyczerpa³, mog³am siê na zawsze po¿egnaæ z Rachmaninowem: nikt ju¿ nie t³oczy³ p³yt z tak¹ muzyk¹.

Po tygodniu katowania *Peer Gynta* z utêsknieniem wyczekiwa³am jutrzejszej wizyty Konrada. Tym razem postawi³am na jeszcze bardziej deficytowy towar: ksi¹¿ki. Szacowa³am, ¿e starczy ich na nie wiêcej ni¿ kilka dekad. Wiedz¹c, ¿e mój dostawca bêdzie mia³ sporo k³opotu ze zdobyciem zamówionych pozycji, przygotowa³am listê dostatecznie d³ug¹, by mieæ nadziejê, ¿e uda mu siê dostaæ choæ kilka tytu³ów.

Z westchnieniem prze³czy³am siê na telewizor. Odk¹d splajtowa³o ostatnie alternatywne radio w kraju, Bartok FM, trudno mi by³o prze¿yæ dzieñ bez tego medium. Pech chcia³, ¿e szalej¹ca minionej nocy burza uszkodzi³a antenê satelitarn¹. Na powrót ulubionego BBC mog³am liczyæ w najlepszym wypadku nastêpnego ranka: w œwiêto nikt palcem nie kiwnie, ¿eby grzechu nie mieæ. Tymczasem musia³am siê zadowoliæ rodzimym programem, który po transmisji z obchodów Bo¿ego Cia³a zaserwowa³ swoim widzom film erotyczny pt. *Boskie cia³a*. Do niedawna podobne upodobania seksualne stanowi³y g³ówny argument na rzecz postrzegania kr¹g³olicych i ludzi-szczurów jako dwóch odmian tego samego gatunku; niestety, ewolucja nie oszczêdzi³a i tej sfery ¿ycia. Nie rokowa³o to dobrze dla naszej przysz³oœci. Jeœli siê dowiedz¹, ¿e ich filmy ju¿ nas nie podniecaj¹, gotowi nam odebraæ prawa obywatelskie.

Konrad przyszed³ nazajutrz o zwyk³ej porze, przynosz¹c doœæ pokaŸnych rozmiarów paczkê. Otworzy³am j¹ niecierpliwie i uœmiechnê³am siê od ucha do ucha na widok szeœciu tytu³ów. On jednak zdawa³ siê nie podzielaæ mojej radoœci. Kiedy wrêcza³am mu pieni¹dze – by³a to ca³kiem spora suma – popatrzy³ na mnie spode ³ba i rzek³:

- To by³ ostatni raz. Odt¹d musisz sobie radziæ beze mnie.

Przez chwilê milcza³am.

- Rozumiem – powiedzia³am wreszcie. – Zrobi³o siê za gor¹co.

- Nic nie rozumiesz. Mam wyrok.

Usiad³am gwa³townie.

- Nie obwiniaj siê – powiedzia³, siadaj¹c obok mnie. – Wiedzia³em, ¿e to nast¹pi. Mog³em siê wycofaæ.

- Dlaczego tego nie zrobi³eœ?

- Bo nie maj¹ racji.

Nie mog³am go pytaæ, jakie ma plany. Jeœli znalaz³ kogoœ gotowego szmuglowaæ dla niego towar, nie mia³am prawa pod³czaæ siê pod ten kana³. Sam by mi to zaproponowa³, gdyby chcia³. Jeœli zaœ nie mia³ nikogo, zwiastowa³o to koniec nas obojga i nie by³o sensu o tym rozmawiaæ.

Wyrok oznacza³ embargo na wszelk¹ duchow¹ strawê, a w konsekwencji œmieræ lub, w najlepszym wypadku, mutacjê w kr¹g³olicego. Patrz¹c na ostatni¹ dostawê Konrada, pomyœla³am, ¿e przy tych lekturach mutacja raczej mi nie grozi. *Zabiæ drozda*, *Lord Jim*, *Zbrodnia i kara* – wszystkie te dzie³a opiera³y siê na niezrozumia³ym dla kr¹g³olicych dualizmie dobro-z³o. I jeszcze *Dzienniki* Ayn Rand, przy których myœl o mutacji by³a bluŸnierstwem.

- Z twoim pomostem koniec? – zapyta³am Konrada.

- Nie wiem – odrzek³. – Mam nadziejê, ¿e nie.

- Jeœli bêdziesz potrzebowa³ pomocy albo pieniêdzy, wiesz, gdzie mnie znaleŸæ.

Skin¹³ g³ow¹ z powag¹.

- Dziêkujê.

Rozstaliœmy siê bez zbêdnych ceregieli.

Tamtej nocy d³ugo czyta³am. Potem usi³owa³am zasn¹æ. Rzuca³am siê jak ryba na piachu, nie mog¹c prze-

staæ myœleæ o tym, co zrobi³am Konradowi. Kiedy wreszcie uda³o mi siê zmru¿yæ oko, œni³a mi siê jego twarz zmieniaj¹ca siê w g³adk¹ buŸkê. Obudzi³am siê zlana potem.

Rano posz³am do niego. Nie wiem, sk¹d wzię³am adres.

- Konrad – zapyta³am – czy ja mogê ciê dotkn¹æ?

Witam pañstwa ponownie z Tokio! Zawodnicy wznowili ju¿ grê po przerwie, na tablicy œwietlnej nadal wynik bezbramkowy, Polacy znów przy pi³ce, Jarz¹bek poradzi³ sobie z Miyachim, ale zaatakowany przez trzech zawodników traci pi³kê. Ach, jak te buty Bergmana depcz¹ murawê, kiedy¿ one wreszcie coœ wydepcz¹?

Bez serc, bez ducha, to szkieletów ludy, oj dana,
M³oodoœci doodaj mi skrzy-yd³a!
Tamtam, taramtam, tamtam u³udy,
Tararara malowi-id³a!

- œpiewa³y kr¹g³olice dzieci. By³ to najnowszy przebój Five Pretty Boys, utrzymany w modnej ostatnio stylistyce folkowej. Nie mia³am z nim nic wspólnego – dawno ju¿ zamknê³am ten rozdzia³ – ale s³owa wydawa³y siê jakby znajome. Pewnie znowu ktoœ próbowa³ przerzuciæ pomost. Kolejna g³owa spadnie.

- Muzyka odpada – powiedzia³ mi Konrad tamtego pierwszego dnia. – Przepaœæ w tym miejscu jest zbyt szeroka. Trzeba próbowaæ innej drogi.

Nie od razu wtajemniczy³ mnie w swoje plany. Ale widywaliœmy siê regularnie i obiecaliœmy sobie, ¿e jeœli stan jednego z nas siê pogorszy, drugie roztoczy nad nim opiekê. Lubi³am sobie wyobra¿aæ, ¿e zostajê jego siostr¹ mi³osierdzia. Sta³o siê inaczej.

Dzieliliœmy siê wszelk¹ straw¹, jaka nadawa³a siê do podzia³u. Wydawa³o siê, ¿e mamy równe szanse na przetrwanie, a tymczasem on trzyma³ siê lepiej. Nie domyœla³am siê wtedy, ¿e to wiara w pomost dodaje mu si³. Nie chcia³am, ¿eby wiedzia³, jak Ÿle jest ze mn¹. Nocami krzycza³am z bólu, ale za dnia uœmiecha³am siê, ukrywaj¹c bladoœæ twarzy pod warstw¹ pudru.

Któregoœ ranka nie wsta³am. Telefon dzwoni³ wiele razy, ale nie mia³am si³y zwlec siê z ³ó¿ka. Pomyœla³am, ¿e jeœli teraz umrê, szanse Konrada na przetrwanie wzrosn¹. Nasza umowa przewidywa³a, ¿e w razie œmierci jednego ca³y jego duchowy maj¹tek przejmuje drugie.

Przyszed³ wieczorem. Drzwi nie by³y zamkniête na klucz. Musia³am przedtem dobrze udawaæ, bo kiedy zobaczy³, w jakim naprawdê jestem stanie, bardzo siê przestraszy³. Usiad³ na ³ó¿ku i wzi¹³ mnie za rêkê. Nie wiem dlaczego, ale od razu poczu³am siê lepiej, choæ przecie¿ nie poda³ mi jeszcze ¿adnej strawy.

Nie zdziwi³am siê, kiedy wyj¹³ z plecaka p³ytê z *We³taw¹* Smetany. Ja te¿ zawsze nosi³am przy sobie kilka albumów Dream Theater na wypadek, gdyby jemu siê pogorszy³o.

W³ączy³ kompakt. Le¿a³am bez ruchu, przyjmuj¹c transfuzjê. Nie chcia³am umieraæ przy Konradzie. By³ tylko jeden sposób odwdzięczenia mu siê za to, co dla mnie robi³: musia³am jeszcze trochê po¿yæ. Kiedy *We³tawa* przelecia³a dwa razy, poprosi³am, ¿eby mi puœci³ *Empire of Delight* Hammilla.

- Dlaczego nie powiedzia³aœ, ¿e jest tak Ÿle? – zapyta³, odgarniaj¹c mi w³osy z twarzy. - Ja ju¿ nie mam szans, Konrad. Pomyœla³am, ¿e jeœli weŸmiesz moje rzeczy, mo¿e chocia¿ tobie uda siê do¿yæ chwili, w której ktoœ zbuduje pomost.

- Nie wierzysz w to, prawda?

Milcza³am.

Wtedy opowiedzia³ mi o butach Bergmana.

Od tamtej pory mieszkaliœmy razem. Konrad wiêkszoœæ dnia spêdza³ w pracy, ale dzwoni³ do mnie co najmniej trzy razy dziennie, ¿eby siê upewniæ, ¿e wszystko gra. Jakimœ sposobem udawa³o mu siê zdobyæ ca³¹ potrzebn¹ nam do ¿ycia strawê. O zbytkach nie by³o mowy, ale i tak wiod³o nam siê lepiej ni¿ w ci¹gu poprzednich miesięcy. Podejrzewa³am, ¿e ma jakiœ kana³, ale nie pyta³am.

Tamtego dnia, kiedy dzieci za oknem œpiewa³y o szkieletów ludach, d³ugo czeka³am na powrót Konrada z pracy. By³ to dzień, w którym buty Bergmana mia³y zostaæ zg³oszone do przetargu, więc mimo niepokoju o swojego towarzysza mia³am nadziejê, ¿e po prostu œwiêtuje gdzieœ z kolegami z firmy.

Przyszed³ po pó³nocy. Umorusany, w podartej marynarce, ale rozeœmiany.

- To dla ciebie – powiedzia³, wyjmuj¹c coœ z wewnêtrznej kieszeni i podaj¹c mi.

rys. Pawe³ Piechnik

By³ to trzeci koncert Rachmaninowa.

- Sk¹d to masz?

W³aœciwie nie musia³am pytaæ. Jego wygl¹d zdradza³, w jaki sposób wszed³ w posiadanie unikatowej p³yty.

- Ukrad³em.

Samo zakradanie siê do podziemia po wyroku by³o dla mnie nie do pomyœlenia, ale rozmiary podjętego przez Konrada ryzyka uœwiadomi³am sobie dopiero, gdy zrozumia³am, jak g³êboko musia³ zejœæ, by zdobyæ tê p³ytê.

Opad³ ciê¿ko na fotel. Dopiero teraz dostrzeg³am, jak bardzo jest wyczerpany.

- Od dawna okradam hurtownie w podziemiach – rzek³. – Nie ma innego sposobu na zdobycie strawy.

- Tej p³yty nie ma w hurtowniach.

- Tej nie – przyzna³. – Wybacz, by³em dziœ bardzo szczêœliwy.

- Kiedy buty wygraj¹, bêdziemy mogli kupiæ wszystko, czego zapragniemy – powiedzia³am. – W imiê ¿ycia, które nas wtedy czeka, b³agam ciê, nie ryzykuj więcej, ni¿ to konieczne.

Podniós³ siê z wysi³kiem, wyj¹³ p³ytê z moich r¹k i w³o¿y³ do odtwarzacza. Sta³am, pora¿ona dŸwiękami, których nie spodziewa³am siê ju¿ w ¿yciu us³yszeæ. Nigdy nie by³am tak pewna zwycięstwa jak wówczas.

Tamtej nocy oboje nie mogliœmy zasn¹æ.

- Opowiedz mi, jak to siê sta³o, ¿e zeszliœmy do podziemia – poprosi³am w końcu.

- Przecie¿ wiesz.

- Nigdy nie by³am dobra z historii – sk³ama³am.

Chcia³am s³yszeæ jego g³os. Gdy milcza³ zbyt d³ugo, zaczyna³am siê baæ.

- Wszystko zaczê³o siê z chwil¹ narodzin Chrystusa – rozpocz¹³. – A w³aœciwie du¿o wczeœniej, kiedy do cz³owieka imieniem Moj¿esz przemówi³ rzekomo Bóg, objawiaj¹c mu dziesięæ swoich przykazań. A mo¿e jeszcze wczeœniej, kiedy pierwsi ludzie stworzyli sobie bogów, przypisuj¹c im autorstwo wszystkich zjawisk, których nie rozumieli. WyjdŸmy jednak od kodeksu przyjętego przez wyznawców Chrystusa, bo to on ukszta³towa³ oblicze kulturowe naszej cêœci œwiata. Seria przypadków historycznych zrz¹dzi³a, ¿e spoœród wszystkich religii w³aœnie ta zdominowa³a w œredniowieczu Europê i ju¿ tego prymatu nie odda³a. O ile przywódcy traktowali j¹ jako narzędzie sprawowania w³adzy, zwykli ludzie brali j¹ sobie g³êboko do serca. Podoba³a im siê, bo nawo³ywa³a do czynienia dobra i obiecywa³a nagrodê w ¿yciu poœmiertnym. Z czasem bardziej wnikliwi zaczêli rozumieæ, ¿e tej religii praktykowaæ siê nie da i ¿e jej wyznawcy musz¹ byæ albo ob³¹kani, albo – co zdarza³o siê znacznie częściej – dwulicowi. Dzia³o siê tak ze względu na le¿¹c¹ u podstaw chrześcijańskich wierzeń gigantyczn¹ sprzecznoœæ: œwiat, w którym ¿yjemy, by³ wed³ug nich zaledwie przystankiem do lepszego, wiecznego ¿ycia, pado³em ³ez, na który Bóg zes³a³ cz³owieka za niepos³uszeństwo. To, co materialne, czyli nale¿¹ce do

ziemi, stanowi³o jedynie konieczny balast, który mieliœmy zrzuciæ, przechodz¹c na tamt¹ stronê. A jednak cz³owiek kocha³ tê ziemiê. Kocha³ swoje cia³o. Lubi³ jeœæ, piæ, budowaæ miasta i mieszkaæ w nich. Mia³ potrzeby seksualne. Niektórzy, zrozumiawszy to, zaczêli odchodziæ od Boga. Wiêkszoœæ jednak by³a zbyt leniwa, by siê zbuntowaæ. Po pierwsze, renegatów nie traktowano dobrze; po drugie, ludzie przyzwyczaili siê do wizji boskiej opieki i przysz³ego ¿ycia w raju. Zaczêli wiêc oszukiwaæ siebie i swojego Boga, przecinaj¹c swoje ¿ycie na pó³ i jedn¹ czêœæ ofiarowuj¹c jemu, drug¹ zaœ potrzebom i przyjemnoœciom potêpionym przez jego doktrynê. Mo¿na sobie wyobraziæ groteskê, jaka rozgrywa³a siê po obu stronach: jedn¹ w³ada³ duch ignoruj¹cy materiê, drug¹ materia ignoruj¹ca ducha. Oni jednak szybko nauczyli siê traktowaæ ten stan jako naturalny. Poniewa¿ ¿yli w wiecznym zak³amaniu, z czasem zamaza³y im siê ostre krawêdzie i doszli do wniosku, ¿e wszystkie pojêcia s¹ wzglêdne. Nie pamiêtali, ¿e ju¿ na d³ugo przed narodzinami Chrystusa rozró¿niano dobro i z³o, uczciwoœæ i nieuczciwoœæ, prawdê i k³amstwo. Nie znali bezwzglêdnej wartoœci tych s³ów, wiêc zdewaluowali je wraz z dekalogiem. Nie pozosta³o nic, co by³oby dla nich œwiêtoœci¹ lub bluŸnierstwem; wszystko siê wymiesza³o. Tak narodzili siê kr¹g³olicy.

- A ludzie-szczury? – zapyta³am. – Jak to siê sta³o, ¿e oddali œwiat?

- Nie oddali – zaoponowa³. – Tylko na chwilê musieli siê wycofaæ. Byæ mo¿e oni tak¿e pope³nili b³¹d; a mo¿e po prostu by³o ich za ma³o. Nasi przodkowie wywodz¹ siê od ludzi, którym nie by³o wszystko jedno. Znali wartoœæ prawdy, uczciwoœci, przyjaŸni -–spojrza³ mi w oczy – mi³oœci. Niektórzy odrzucili religiê; inni nadal wierzyli w Boga, lecz brzydzili siê ob³ud¹ swoich wspó³wyznawców. Poniewa¿ by³o ich znacznie mniej ni¿ kr¹g³olicych, ich kultura, stopniowo wypierana z rynku, przenosi³a siê do podziemia. Pocz¹tkowo alternatywny rynek wydawa³ siê dobrym wyjœciem. PóŸniej zaczê³o brakowaæ pieniêdzy, a kolejne pokolenia wychowane pod ziemi¹ potrafi³y ju¿ tylko konsumowaæ duchow¹ strawê, lecz nie umia³y jej tworzyæ.

rys. Pawe³ Piechnik

- Dlaczego?

Westchn¹³.

- Mo¿e to w³aœnie by³ ten b³¹d. ¯yj¹c w mrokach podziemnych tuneli, zapomnieli, ¿e ¿ycie nie s³u¿y umartwianiu siê, lecz radoœci. Uwa¿ali siê za stracon¹ rasê. Ich filmy zawsze koñczy³y siê Ÿle. Nie mog¹c wykrzesaæ z siebie iskry radoœci, tracili chêæ, a w konsekwencji umiejêtnoœæ tworzenia.

- A my?

Uœmiechn¹³ siê uœmiechem zwyciêzcy.

- Jesteœmy najdoskonalszymi z ludzi. Mamy i dusze, i cia³a. Dlatego to my musimy zbudowaæ pomost.

Ju¿ osiemdziesi¹t minut spotkania za nami! Wszystko wskazuje, ¿e bêdziemy œwiadkami dogrywki, bowiem ¿adnej z dru¿yn, mimo usilnych starañ, nie uda³o siê dot¹d zdobyæ bramki. Do koñcowego gwizdka sêdziego Washingtona pozosta³o ju¿ tylko osiem minut! Jarz¹bek jak na skrzyd³ach przedziera siê praw¹ stron¹! Do boju, buty, do boju!

Jeszcze Poolska nie zginee³a póki myy ¿yjemy!
Co nam oobca przemoc wziee³a szabl¹ oodbierzemy!
Olé!

- œpiewa³y w czerwcu dzieci. Five Pretty Boys zestarzeli siê i poszli na z³om, ale ich niepowtarzalny styl wci¹¿ rozbrzmiewa³ w tych pieœniach.

21 marca buty Bergmana wygra³y przetarg.

- Jeœli siê uda – powiedzia³ Konrad w przeddzieñ og³oszenia wyników – bêdzie mo¿na produkowaæ na powierzchni wszystko, co potrzebne do ¿ycia. Mo¿e nawet narodz¹ siê nowe talenty i nie bêdziemy musieli w nieskoñczonoœæ odgrzewaæ starych dzie³? Zreszt¹, w jak¹ nieskoñczonoœæ. Wczoraj spotka³em kumpla z podziemia. Jednego z nielicznych, którzy sprzeciwiali siê mojemu wyrokowi. By³ kompletnie pijany. W kó³ko mamrota³, ¿e w tym tygodniu osiem razy obejrza³ *Kaspara Hausera*, bo nic innego nie mieli w wypo¿yczalni. Tam siê wszystko koñczy. Ludzie tylko czekaj¹ na sygna³, ¿eby wyjœæ na ziemiê, nawet jeœli mieliby tu paœæ jak muchy.

- Nie mam nic przeciwko odgrzaniu pewnych dzie³ – powiedzia³am. – Wiesz, o czym marzê?

Pokrêci³ g³ow¹.

- O *Requiem* Mozarta. Bêdzie pierwsz¹ rzecz¹, jak¹ sobie sprawiê, gdy ju¿ twoje buty wydepcz¹ pomost.

Konrad upatrywa³ nadziejê na zbudowanie pomostu w sporcie, który by³ wed³ug niego ostatnim bastionem dawnego œwiata. Ró¿ne si³y próbowa³y go zdobyæ i niekiedy udawa³o im siê zaw³adn¹æ jakimœ jego skrawkiem, ale wiêksza czêœæ nadal by³a wolna.

- Sport to jedyna rzecz, któr¹ rozumiej¹ obie strony – powiedzia³ mi tamtego dnia, kiedy le¿a³am pó³przytomna w swoim mieszkaniu. – Tylko tam przetrwa³y regu³y gry, których pró¿no szukaæ poza nim.

- Jakie regu³y? – zapyta³am.

- S³ysza³aœ o zasadzie *fair play*?

Coœ mi siê obi³o o uszy, ale brzmia³o zbyt egzotycznie, bym mog³a mieæ pewnoœæ, ¿e dobrze zrozumia³am.

- „Fair play” znaczy „uczciwa gra” – wyjaœni³. – Ale nie o chodzi o uczciwoœæ we wspó³czesnym znaczeniu. Nie o to, ¿eby nie daæ siê z³apaæ na ³amaniu prawa. To wyra¿enie odwo³uje siê do wewnêtrznej, przyrodzonej cz³owiekowi umiejêtnoœci odró¿niania s³usznego od nies³usznego.

- I oni to rozumiej¹?

Pokiwa³ g³ow¹ z entuzjazmem.

- W tym kontekœcie tak. Widocznie ogl¹danie meczu wyzwala w nich jakieœ atawistyczne cechy. To w³aœnie jest nasza szansa.

Konrad zatrudni³ siê w firmie produkuj¹cej obuwie sportowe. Zaprojektowa³ buty pi³karskie „Bergman”, które okaza³y siê tak dobre, ¿e firma postanowi³a je zg³osiæ do przetargu na stroje dla szykuj¹cej siê do wystêpu w fina³ach mistrzostw œwiata polskiej reprezentacji. W³o¿y³ w te buty ca³y swój geniusz twórczy. Widzieliœmy, ¿e jeœli tylko otrzymaj¹ swoj¹ szansê, nasi pi³karze zajd¹ w tych rozgrywkach naprawdê wysoko.

W dniu, w którym og³oszono wyniki przetargu, posz³am po Konrada do pracy i nie wypuszcza³am go z domu przez ca³y wieczór.

Kilka dni póŸniej znikn¹³ znowu. Pocz¹tkowo stara³am siê zachowaæ spokój, wierz¹c, ¿e jeœli uda³o mu siê poprzednim razem, uda siê i tym. Dopiero po pó³nocy nerwy wzię³y górê. Wiedzia³am, ¿e jeœli nie wróci, nie bêdê mog³a nic zrobiæ. W podziemiu by³o tak niewiele kobiet, ¿e zwróci³abym na siebie uwagê zaraz po przekroczeniu portala. A potem – cela œmierci, piêæset metrów pod ziemi¹, gdzie nie dociera ¿aden promieñ œwiat³a. Ludzie-szczury nie plamili sobie r¹k brudn¹ robot¹: po prostu zostawiali skazañca bez œwiat³a i strawy, wiedz¹c, ¿e nikt, kto ¿y³ na ziemi, nie zdo³a d³ugo przetrwaæ w ca³kowitej ciemnoœci.

Wrota do podziemi znajdowa³y siê w³aœciwie wszêdzie, przez wiêkszoœæ jednak trudno siê by³o przecisn¹æ. Dodatkowo utrudnia³ sprawê fakt, ¿e portale nieustannie zmienia³y po³o¿enie i szerokoœæ. Jedne znika³y lub zwê¿a³y siê tak, ¿e stawa³y siê bezu¿yteczne, inne znowu rodzi³y siê i ros³y. Pewna znajomoœæ mapy by³a jednak przydatna: drastyczne zmiany zwykle nie nastêpowa³y z dnia na dzień, istnia³o te¿ kilka centralnych portali, które od lat niewzruszenie pe³ni³y swoj¹ rolê.

Ruszy³am na rekonesans, kieruj¹c siê wspomnieniami z okresu, kiedy regularnie odwiedza³am centrum

rys. Pawe³ Piechnik

handlowe podziemia. Przy kilku pierwszych w³azach nic siê nie dzia³o. Zbli¿aj¹c siê do kolejnego, ju¿ z daleka us³ysza³am dobiegaj¹cy z wnêtrza ha³as. Przystanê³am w odleg³oœci kilku kroków. Ludzie-szczury byli bezwzglêdni dla tych, których przy³apali na swoim terenie, nigdy jednak nie atakowali na powierzchni ziemi.

Po chwili w³az otworzy³ siê gwa³townie i wynurzy³ siê z niego jakiœ kszta³t. Przez sekundê mia³am nadziejê, ¿e to Konrad, ale nie: cz³owiek, który wy³oni³ siê z tunelu, by³ szczuplejszy i mia³ d³u¿sze w³osy. Na mój widok zamar³ i zawaha³ siê, ale tamci widaæ go doganiali, bo wyczo³ga³ siê na powierzchniê i zatrzasn¹³ w³az. Próbowa³ siê podnieœæ i uciekaæ, ale zdo³a³ jedynie zrobiæ kilka nieporadnych kroków i znów upad³.

Podesz³am do niego. Wtuli³ g³owê w ramiona.

- Nie bój siê – powiedzia³am. – Ja te¿ mam wyrok.

Uniós³ g³owê. By³ to m³ody ch³opiec, mo¿e piêtnastoletni. Mia³ na sobie wytart¹ skórzan¹ kurtkê szczura. Przyciska³ do piersi jakiœ przedmiot.

Przykucnê³am nad nim.

- Jesteœ ranny?

- Chyba z³ama³em nogê.

- Œcigali ciê?

Kiwn¹³ g³ow¹.

- By³ tam ktoœ jeszcze?

Patrzy³ na mnie, nie rozumiej¹c.

- Czy œcigali kogoœ oprócz ciebie? Mój ch³opak nie wróci³ na noc do domu.

Zdawa³o mi siê, ¿e trochê siê rozluŸni³, s³ysz¹c te s³owa. Mo¿e wreszcie uwierzy³, ¿e nie mam z³ych intencji.

- Nie wiem – powiedzia³, krzywi¹c siê z bólu. – Nie spodziewa³em siê ich w miejscu, w którym ich spotka³em. Mo¿e rzeczywiœcie chodzi³o im o kogoœ innego.

- Dasz radê wstaæ? – zapyta³am. – Muszê ciê zabraæ do szpitala.

- Nie jestem ubezpieczony.

- Zap³acê za ciebie. Pójdziemy do prywatnej kliniki.

- Dlaczego?

- Powiedzmy, ¿e staæ mnie na luksus udzielenia ci pomocy. Poza tym bojê siê wracaæ do domu.

Dziêki odcinaniu kuponów od mojej wspó³pracy z Five Pretty Boys i pensji Konrada mieliœmy doœæ pieniêdzy, by zaspokoiæ swoje fizyczne potrzeby i zapewniæ sobie opiekê medyczn¹. Wielu wygnañców z podziemia ¿y³o jednak w skrajnej nêdzy.

- Jak masz na imiê? – zapyta³am.

- Artur.

- Za co dosta³eœ wyrok?

- Uwalnia³em wiêŸniów.

- Dlaczego? – Tym razem ja by³am dociekliwa.

- Zawsze skazywano tych, których lubi³em - powiedzia³.

- Jak wpad³eœ?

Skrzywi³ siê.

- Starzy siê domyœlili i donieœli. Chcieli mnie tylko postraszyæ. Nie myœleli, ¿e to siê tak skoñczy.

Delikatnie wyjê³am mu z r¹k zdobyte trofeum. By³a to p³yta. Mia³a potrzaskane pude³ko, ale kr¹¿ek wydawa³ siê nieuszkodzony.

- Oprzyj siê o mnie – powiedzia³am.

Uda³o mu siê wstaæ z moj¹ pomoc¹. Gdy tylko stan¹³, wsparty na moim ramieniu, natychmiast wyci¹gn¹³ woln¹ rêkê po p³ytê.

Rozeœmia³am siê miêkko.

- Pytasz, dlaczego chcê ci pomóc? – Odda³am mu p³ytê. – Dlatego, ¿e by³eœ gotów zaryzykowaæ ¿ycie, by to zdobyæ.

- OdwiedŸ mnie kiedyœ na squacie – powiedzia³. – Dam ci pos³uchaæ.

By³a to *Eroica* Beethovena.

Zostawi³am ch³opca pod opiek¹ lekarzy i ruszy³am do domu. Kiedy zajmowa³am siê Arturem, na moment zapomnia³am o Konradzie; teraz znowu ogarn¹³ mnie lêk o niego. By³a czwarta nad ranem. Nie wiedzia³am, czy dr¿ê ze strachu, czy z zimna.

W oknie naszego mieszkania pali³o siê œwiat³o. Nie pamiêta³am, czy je zgasi³am, wychodz¹c.

Nacisnê³am klamkê. Drzwi ust¹pi³y. Konrad siedzia³ w fotelu, twarz¹ do drzwi. Na czole i policzkach mia³ bandaż.

Nim zd¹¿y³ siê podnieœæ, by³am ju¿ przy nim. Klêcza³am i obejmowa³am jego kolana.

- Ba³em siê, ¿e zrobisz jakieœ g³upstwo – powiedzia³, g³aszcz¹c mnie po w³osach.

Wsta³am gwa³townie, czuj¹c, jak wzruszenie i ulga zamieniaj¹ siê w gniew.

- Ja? To twoja specjalnoœæ.

On tak¿e wsta³.

- To kr¹g³o³ysi mnie pobili – powiedzia³.

- Nie k³am. By³eœ w podziemiu. Œcigali ciê.

- Sk¹d wiesz?

- Przez ciebie omal nie schwytali m³odego ch³opca.

- Zgubi³em ich. Przypuszcza³em, ¿e pobiegli za kimœ innym. Wielu ludzi kradnie teraz w podziemiu.

Opowiedzia³am mu o Arturze.

- Odwa¿ny ch³opak – powiedzia³. – Dobrze, ¿e obaj im umknêliœmy. Ale pobito mnie na powierzchni.

- Za co?

Uœmiechn¹³ siê sarkastycznie i w tym samym momencie skrzywi³ z bólu.

- Mo¿e mia³em zbyt poci¹g³y twarz. Trzeba mi j¹ by³o zaokr¹gliæ.

Dotknê³am banda¿a na jego policzku.

- ¯yletka?

Pokiwa³ g³ow¹.

Kr¹g³olicy generalnie nas lubili. Lubili te¿ zabawiæ siê naszym kosztem.

- A oto dowód, ¿e nie oberwa³em w podziemiu – rzek³, podchodz¹c do stolika i coœ z niego podnosz¹c. – Tylko g³adkie buŸki mog³y mnie z tym wypuœciæ.

By³o to *Miasto automatów* Drze¿d¿ona.

- Ca³y czas trzymam twoje ostatnie zamówienie – rzek³. – Chcia³bym je kiedyœ zrealizowaæ do koñca.

Nastêpnego dnia odebraliœmy Artura ze szpitala – w³o¿yli mu nogê w gips i kazali siê zg³osiæ za dwa tygodnie – i odwieŸliœmy na squat. Pozwoli³ nam pos³uchaæ Beethovena.

- Cz³owieku – dziwi³ siê Konrad – gdzieœ ty to znalaz³?

- W rezerwach kryzysowych – odrzek³ Artur.

- To¿ to na samym dole!

- Znam pewne sekretne przejœcia – rzek³ Artur.

Kilka dni przed mistrzostwami, w przeddzieñ moich urodzin, Konrad przepad³.

To ju¿ koñcowe minuty tego spotkania! Oskomik wyprowadza akcjê praw¹ stron¹, pêdzi mu w sukurs Jarz¹bek, do niego podanie, Jarz¹bek jest ju¿ w polu karnym, po lewej stronie ma Stalugwê, nie decyduje siê

na podanie, ogra³ Miyachiego, jest sam na sam z bramkarzem, strzela i goooool!!! Proszê pañstwa!!! W osiemdziesi¹tej ósmej minucie meczu Kurak Jarz¹bek zdobywa prowadzenie dla polskiej dru¿yny!!!

Tej nocy podziemie opustosza³o. Ulicami Warszawy przetacza³y siê bia³o-czerwone korowody ludzi, skanduj¹cych: „Berg-man, Berg-man, Berg-man!" i wznosz¹cych okrzyki: „Jeszcze Polska nie zginê³a!" Ludzie o kr¹g³ych twarzach i ludzie-szczury szli obok siebie, rozeœmiani, jak gdyby nigdy nie by³o ¿adnego roz³amu. Pocz¹tkowo wygl¹dali jak przek³adaniec; potem by³o tak, jakby ktoœ zamiesza³ ³y¿k¹ i zrobi³ siê keks.

Miasto a¿ siê roi³o od otwartych na oœcie¿ portali. Wesz³am w pierwszy z brzegu i ruszy³am w g³¹b szybu, kieruj¹c siê map¹, któr¹ wykrad³am Arturowi, kiedy spa³. Potem zamknê³am go w domu na klucz, ¿eby mieæ do kogo wracaæ. Podziemne tunele przypomina³y siatkê naczyñ krwionoœnych, ale z wyj¹tkiem moich kroków nie têtni³o w nich ¿adne ¿ycie.

Tamtej nocy, kiedy zagin¹³ Konrad, bezskutecznie przeszukiwa³am ulice w poszukiwaniu drzwi do podziemia. W miejscach, w których zwykle naj³atwiej siê by³o przedostaæ, pozosta³y jedynie w¹skie kreski, przypominaj¹ce pêkniêcia w kamieniu. Wygl¹da³o na to, ¿e celowo zablokowano wszystkie przejœcia.

Rano uda³am siê do Artura, ale okaza³o siê, ¿e i on znikn¹³.

Odnalaz³ siê w dniu pierwszego, zwyciêskiego meczu polskiej reprezentacji. Mia³am nadziejê, ¿e kiedy rozpoczn¹ siê mistrzostwa, dowództwu podziemia trudno bêdzie utrzymaæ blokadê, wiêc kiedy tamtego wieczoru us³ysza³am dzwonek, podskoczy³am jak pajac na sprê¿ynie i pobieg³am ku drzwiom. By³ sam. Kiedy otworzy³am drzwi, zachwia³ siê na nogach i pewnie by upad³, gdybym go nie podtrzyma³a. By³ brudny, obszarpany i skrajnie wycieñczony. Posadzi³am go w fotelu i przynios³am wody.

- Nie mog³em nic zrobiæ – powiedzia³. – On kaza³ mi uciekaæ. Chcia³, ¿ebyœ to dosta³a.

Wiedzia³am, co mi wrêczy, nim jeszcze zd¹¿y³ to wyci¹gn¹æ zza pazuchy.

Okaza³o siê, ¿e w dniu swojego znikniêcia Konrad odwiedzi³ Artura z proœb¹ o po¿yczenie mapy podziemi. Artur zaproponowa³ mu wspólnˆ wyprawê, a gdy Konrad siê nie zgodzi³, odmówi³ po¿yczenia mapy. Wiedzia³, ¿e zejœcie na dno podziemi bez znajomoœci tamtych rejonów jest równoznaczne z samobójstwem i dlatego, niezauwa¿ony, ruszy³ w œlad za Konradem. Ujawni³ siê dopiero, gdy tamten straci³ orientacjê. Znajdowali siê zbyt blisko celu, by wracaæ z pustymi rêkami. Chc¹c nie chc¹c, Konrad wtajemniczy³ Artura w swoje plany. Bez trudu dostali siê do rezerw kryzysowych i ukradli *Requiem*, ale w drodze powrotnej natknêli siê na patrol stra¿y. Rozdzielili siê. Konrad w ostatniej chwili poda³ p³ytê Arturowi, mówi¹c: „Ty masz wiêksze szanse". Wymkn¹wszy siê z kot³a, Artur bez trudu dotar³ do strefy granicznej i odkry³, ¿e wszystkie portale zosta³y zablokowane. Wiedzia³, ¿e to ob³awa i ¿e on jest jej celem. Pomyœla³ jednak o zbli¿aj¹cych siê mistrzostwach i o tym, ¿e mo¿e wtedy uda mu siê wymkn¹æ.

Ukry³ siê w ma³ym, zagraconym pomieszczeniu w w¹skim korytarzu i przesiedzia³ tam tydzieñ, pij¹c wodê œciekaj¹c¹ po œcianach tunelu i jedz¹c szczury.

- Nie brzydzisz siê mn¹? – zapyta³.

Ujê³am go za rêkê.

- Jesteœ najdzielniejszym dzieciakiem, jakiego znam.

Kiedy otwarto portale, Artur wmiesza³ siê w t³um i bez trudu wydosta³ na powierzchniê. Rozentuzjazmowani kibice nie zwrócili uwagi na jego op³akany stan. Wielu z nich by³o ju¿ pod wp³ywem alkoholu, którego konsumpcja pod ziemi¹ wzrasta³a wprost proporcjonalnie do deficytu duchowej strawy.

- Myœlê, ¿e maj¹ Konrada – powiedzia³ mi.

Podziemne korytarze zia³y pustk¹. Nawet szczury gdzieœ siê ulotni³y. Nie chcia³o siê wierzyæ, ¿e na powierzchni wre ¿ycie; zdawa³o mi siê raczej, ¿e ziemia umar³a, a ja przemieszczam siê przez wnêtrznoœci trupa. Mija³am otwarte na oœcie¿ drzwi magazynów, w których sk³adowano duchowe dobra, ale nie obchodzi³y mnie teraz zgromadzone w nich skarby. Musia³am odnaleŸæ celê œmierci.

W koñcu stanê³am przed ma³¹ klitk¹ na koñcu w¹skiego, wilgotnego korytarza. Œwiec¹c sobie latark¹, bez trudu odryglowa³am drzwi i wesz³am do œrodka.

Cela by³a pusta

Nie by³o tam nic, nawet jednego mebla, nie mówi¹c ju¿ o ludzkim ciele, ¿ywym czy martwym. Obejrza³am dok³adnie œciany, sufit i pod³ogê. Dopiero przy bli¿szym wejrzeniu dojrza³am w bladym œwietle latarki kilka pêkniêæ w betonie pod³ogi, tworz¹cych prostok¹t. Portal.

Nie by³ zablokowany. Otworzy³am go i zaczê³am schodziæ w g³¹b szybu po metalowej drabince. Wydawa³ siê nie mieæ koñca, ale po d³u¿szym czasie z do³u zaczê³o dobiegaæ œwiat³o, niewiarygodnie przypominaj¹ce œwiat³o dnia. Robi³o siê coraz jaœniej, a¿ w koñcu stanê³am na ziemi, w obszernym pomieszczeniu o nieregularnym kszta³cie. Pod jedn¹ ze œcian dostrzeg³am coœ, co przypomina³o ruchom¹ makietê miasta. Podesz³am bli¿ej. By³a to Warszawa. Znajdowa³a siê pod szk³em, ale przytkn¹wszy ucho do szyby mo¿na by³o us³yszeæ wznoszone przez t³um okrzyki „Berg-man, Berg-man, Berg-man!" Uda³o mi siê zajrzeæ w okno naszego domu. Artur spa³ spokojnie, z twarz¹ rozjaœnion¹ niezwyk³ym u niego ufnym uœmiechem.

Us³ysza³am kroki za plecami i odwróci³am siê. Zabroni³am sobie wierzyæ, ¿e stoj¹cy przede mn¹ mê¿czyzna to Konrad, dopóki wszystkiego siê nie dowiem.

- Co to jest? – zapyta³am, wskazuj¹c „makietê".

- Nie poznajesz? To miasto, w którym ¿yliœmy.

Nie odpowiedzia³am. Patrzy³am na niego pytaj¹co.

- Poddano nas próbie. Wyroki nie by³y prawdziwe. Portale, przez które przechodziliœmy, nie wiod³y na prawdziw¹ ziemiê, lecz – wskaza³ „makietê" – do tej symulacji, bêd¹cej odwzorowaniem miasta sprzed kilkuset lat.

Dotknê³am jego twarzy.

- Blizny s¹ prawdziwe.

- Wszystko tam jest prawdziwe – rzek³ – nawet œmieræ. To bardzo realistyczna symulacja.

- Jak potoczy³y siê losy naziemnego œwiata?

- Dieta kr¹g³olicych, pozbawiona elementów strawy duchowej, powodowa³a stopniowe obni¿anie ilorazu inteligencji, a w konsekwencji zanik kreatywnoœci. W sto lat po okresie, który odtworzono w symulacji, nie potrafili ju¿ wyprodukowaæ nawet bochenka chleba. Wkrótce ich miasta zmieni³y siê w ruinê, a oni sami – w walcz¹ce o przetrwanie zwierzêta. Po up³ywie kolejnych stu lat ziemia opustosza³a. Kr¹g³olicy powyrzynali siê nawzajem w walce o resztki po¿ywienia, a gdy i tych zabrak³o, pomarli z g³odu. Pozosta³a zaledwie garstka doœæ rozumnych, by przetrwaæ i próbowaæ rozpocz¹æ wszystko od nowa.

- Dlaczego trzymano to w tajemnicy?

- Wkrótce po tym, jak nasi przodkowie zeszli pod ziemiê, kontakt z naziemnym œwiatem ca³kowicie siê zerwa³. Chc¹c z³agodziæ poczucie klaustrofobii u ludzi nienawyk³ych do spêdzania ¿ycia w mrokach podziemi, zaprojektowano symulacjê tamtego œwiata, która okaza³a siê tak doskona³ym antidotum na têsknotê za ziemi¹, ¿e z czasem przestano o niej myœleæ jako o symulacji. Dopiero kilka lat temu, gdy sta³o siê jasne, ¿e nie przetrwamy ju¿ d³ugo w tych warunkach, pos³ano na powierzchniê ekspedycjê maj¹c¹ zbadaæ, jak wygl¹da teraz tamtejsze ¿ycie, i oceniæ mo¿liwoœci powrotu. Gdy wróci³a z sensacyjnymi wieœciami, w³adze podziemia zaczê³y starannie planowaæ przerzut osadników na ziemiê. Jednym z najpowa¿niejszych problemów by³ wybór w³aœciwych ludzi. W miarê pogarszania siê sytuacji gospodarczej podziemia wœród ludzi-szczurów narasta³a nienawiœæ do kr¹g³olicych. W³adze obawia³y siê, ¿e nasi ludzie, pa³aj¹c ¿¹dz¹ zemsty, dokonaj¹ rzezi potomków tamtej rasy. Nie tylko wzglêdy moralne, ale i przeœwiadczenie, ¿e do odbudowy œwiata potrzebne nam s¹ doœwiadczenia obu ras, kaza³y dowództwu dzia³aæ z najwy¿sz¹ ostro¿noœci¹. Wybierano tych spoœród nas, którzy wydawali siê rozumieæ potrzebê kontaktu, i poddawano surowej próbie. Aby zakoñczyæ j¹ pomyœlnie, trzeba by³o trafiæ do celi œmierci, a stamt¹d - tutaj.

- Co to za miejsce?

- Jesteœmy tu¿ pod powierzchni¹ ziemi. W tym pomieszczeniu znajduje siê jedyny czynny portal wiod¹cy na zewn¹trz. Czekaj¹ tam na nas.

Jakby na potwierdzenie tych s³ów, szczelina w posadzce pod jedn¹ ze œcian rozszerzy³a siê nagle i ukaza³ siê w niej promieñ s³oñca.

Cofnê³am siê gwa³townie.

- Nie mo¿emy tam iœæ. Artur zosta³ w mieœcie.

- Artur dopiero siê narodzi – powiedzia³ Konrad.

Potem wzi¹³ mnie za rêkê i zeszliœmy na ziemiê.

Iwona Micha³owska
czerwiec/ lipiec 2001

FANTASTYCZNA MATURA

Motto:
„Ucz¹c siê do matury, mo¿esz olaæ lektury (prócz fantastyki rzecz jasna)”.
W.S.

Nie wiem, czy „Inne Planety” s¹ czytane przez licealistów, jak na przyk³ad „Nowa Fantastyka”. Niewa¿ne. Nasz studencko-poststudencki fanzin dociera³ do uczniów szkó³ œrednich (znam kilka przypadków), i mo¿e wci¹¿ dociera – nie wiem. Bie¿¹cy numer dotrzeæ powinien – a to za spraw¹ tego felietonu. Jest on w œcis³ym sensie adresowany do przysz³orocznych maturzystów, zaœ w znaczeniu szerszym – do absolutnie wszystkich, od ¿uli do profesorów (czy to na pewno zbiory roz³czne?...). Niewa¿ne. ¯e jednak ¿ule mog¹ czytaæ „IP”, to pewne: mam na myœli przygodê jednego z redaktorów IP sprzed dwóch lat, która daje podstawy do takich przypuszczeñ. Otó¿ czekaj¹c na nocny autobus ów redaktor (danych nie zdradzê) straci³ by³ na przystanku plecak wy³adowany egzemplarzami „Planet” i butelkami spirytusu. Pytanie za sto punktów: co ¿ul, który ukrad³ plecak, zrobi³ z naszym fanzinem? Wzi³ na podpa³kê, przerobi³ na papier toaletowy? A mo¿e przeczyta³ przynajmniej jeden tekst?... Niewa¿ne. Ta historia nie ma ¿adnych walorów dydaktycznych, zw³aszcza dla m³odzie¿y – ¿e strawestujê kultow¹ wypowiedŸ Asa z „Hydrozagadki”.

Pisz¹c ten felieton zastanawia³em siê, jak dopasowaæ go do numeru poœwiêconego unifikacji. Powodów jest kilka: po pierwsze, szko³a jeŸdzi po nas walcem unifikacji, czy chcemy tego czy nie. Ka¿dy musi dostosowaæ siê do programu – indywidualny tok nauki to w du¿ej mierze fikcja. Ba, nawet sami nauczyciele maj¹ rêce zwi¹zane programem. Si³¹ rzeczy programuj¹ wiêc uczniów. Po drugie: wykszta³cenie œrednie sta³o siê ju¿ standardem w naszym krêgu cywilizacyjnym (mam na myœli cywilizacjê post-³aciñsk¹); mo¿na wiêc mówiæ o pewnym miêdzynarodowym ujednoliceniu procedur edukacyjnych. Po trzecie wreszcie: matura jest doœwiadczeniem zbiorowym, nikt nie prze¿ywa jej czysto indywidualnie. Zdajesz ze swoj¹ klas¹, wœród kumpli i wrogów, a póŸniej zaliczaj¹ ciê do konkretnego rocznika – jakbyœ by³ butelk¹ wina z danej serii. I z t¹ etykietk¹ idziesz przez ¿ycie. Ale o piciu jeszcze bêdzie pod koniec...

Przechodz¹c do rzeczy – widzia³em ostatnio listê tematów maturalnych na egzamin ustny z jêzyka polskiego w roku 2005. Fajna sprawa – uczeñ dostaje na pocz¹tku roku szkolnego listê ponad stu zagadnieñ, po czym ma czas a¿ do maja, by przygotowaæ prezentacjê wybranego tematu (mo¿na siê nawet wspomagaæ multimedialnie – okrasiæ wywód obrazem, dŸwiêkiem, u¿yæ komputera). Prezentacja ma trwaæ bodaj¿e piêtnaœcie minut. Naprawdê fajna sprawa – taka forma zaliczania daje pole do popisu dla wyobraŸni, jest dodatkowo egzaminem zdolnoœci medialnych abiturienta, a po trzecie – ca³y rok szkolny na przygotowanie siê to naprawdê du¿o. Tyle w sprawach zmian formalnych, które nie s¹ jedynymi godnymi naszej uwagi. Rewolucji formalnej sekunduje bowiem rewolucja treœciowa (no, mo¿e nie rewolucja, ale ma³a rewolta na pewno). Wœród przesz³o stu tematów znalaz³em kilka wprost nawi¹zuj¹cych do fantastyki!

Ten wykrzyknik jest nieprzypadkowy. Maturzysta A.D. 2005 bêdzie móg³ wybraæ – przyk³adowo – takie tematy: „Jêzyk jako narzêdzie kreacji œwiata w literaturze science-fiction”, „Fantastyczne stworzenia jako element œwiata przedstawionego w literaturze fantasy”, „Stereotyp obcego i próby jego przezamywania w literaturze” (uwaga: cytaty mog¹ byæ niedok³adne, ale oddaj¹ sens ka¿dego z tematów). Poza tym by³ osobny temat z horroru i grozy, z utopii i antyutopii, motywy anielskie i diabelskie (postaæ anio³a, postaæ diab³a w literaturze etc.) – naprawdê sporo tego mo¿na by³o znaleŸæ. A poza tym wiele ogólnoliterackich zagadnieñ, sformu³owanych na tyle pojemnie, ¿e ka¿dy œrednio rozgarniêty mi³oœnik fantastyki bez trudu do³o¿y tam kilka kamyków z naszego podwórka (jak choæby motyw wojownika i ¿o³nierza – przecie¿ doskona³ym zwieñczeniem tego motywu w literaturze s¹ w³aœnie bohaterowie militarnej SF czy te¿ wojownicy fantasy – nic, tylko wybieraæ, przebieraæ!). Byæ mo¿e by³o nawet pytanie o komiks, ale za to g³owy sobie za to uci¹æ nie dam (listê mia³em jedynie do wgl¹du).

Tak wiêc nasta³y czasy, gdy o fantastyce mo¿na siê wypowiadaæ z podniesion¹ przy³bic¹ – rzecz dawnej ryzykowna. W tym miejscu zamieniê siê w sentymentalnego dziada i pozwolê sobie na prywatn¹ dygresjê. Chodzi o me w³asne doœwiadczenia z fantastyk¹ w czasach szkolnych. Bêdê siê przy tym wspiera³ przypadkami Paw³a Ostrowskiego, z którym chodziliœmy do jednej klasy w liceum. Od czego by tu zacz¹æ?... Owo¿, pomijaj¹c etap szko³y podstawowej, gdy zdarzy³o mi siê wymyœliæ na potrzeby klasówki nie istniej¹cy utwór SF (no proszê, nie wiedzia³em wtedy jeszcze ani o Borgesie, ani o Lemie – a przecie¿ stworzy³em apokryf), przychodz¹ mi do g³owy g³ównie boje olimpijskie – chodzi o Olimpiadê Polonistyczn¹. To ju¿ czasy liceum, trzecia-czwarta klasa... Uczestniczyliœmy w niej razem z Ostrym (chwa³a naszej polonistce, swoj¹ drog¹...) i w³aœciwie byliœmy dywersantami. Dwaj tajni agenci fantastyki, któr¹ chcieliœmy wszêdzie przemycaæ, bo by³a to wówczas konwencja pogardzana przez czynniki oficjalne (z ustêpstwami dla Lema i paru innych). Tak to podœwiadomie czuliœmy, przynajmniej ja, ale Aligator chyba równie¿... Co do tematów – rzeczonego Stanis³awa L., tudzież Tolkiena wa³kowa³ Pawe³. Ja z pocz¹tku pisa³em o Cortazarze i Borgesie, czyli zjawiskach z pogranicza. Jednak na etapie centralnym waln¹³em rozprawkê o fantasy i Nowym Œredniowieczu w kontekœcie pytania o wspó³czesn¹ kondycjê literatury dawnej (kwestie poznawcze, mo¿liwoœæ odbioru, empatia etc.) – no i dziêki tej pracy przeszed³em do etapu ustnego (œcis³ego fina³u), co by³o dla mnie mimo wszystko pewnym zaskoczeniem. Wówczas znów gada³em o prozie z pogranicza fantastyki, na przygotowany wczeœniej temat (omawia³em „Rêkopis znaleziony w Saragossie” Jana Potockiego), dopóki pewien zahukany doktorek nie rozwalcowa³ mnie z polskiej poezji œredniowiecznej. Mniejsza o przyczyny – by³ g³upim fiutem i tyle... Takie ¿ycie – niemniej przygodê olimpijsk¹ wspominam w jasnych barwach. Wraz z imæ Ostrym byliœmy dzielnymi heroldami fantastyki, i to a¿ do etapu centralnego w Warszawie. Swoj¹ drog¹ do dzioe zastanawiam siê czy wyczynowe picie alkoholu na dzieñ przed olimpiad¹ w hotelu wojskowym przy ul. Mazowieckiej zahacza³o bardziej o fantastykê, czy o realizm – ale niech pozostanie to pytaniem retorycznym... (to by³a ta zapowiadana wzmianka o piciu – jeœli ktoœ jest rozczarowany, to niech z³o¿y, kurwa, reklamacjê...).

Tak wiêc to, co kiedyœ trzeba by³o umiejêtnie wciskaæ i przemycaæ – dzioe zyska³o sankcjê pragmatyczn¹ Ministerstwa Edukacji Narodowej i Sportu (tak siê to teraz nazywa: MENiS; dobrze, ¿e nie PENiS...). Jeszcze dwadzieœcia lat temu – czysta fantastyka. Bo czy mo¿na by³o wyobraziæ sobie sytuacjê, by uczeñ przygotowuj¹cy siê do czêœci ustnej *„matury z Polaka”*, olewa³ wszystko inne i ogranicza³ siê wy³¹cznie do science fiction lub fantasty? Rzecz nie do pomyœlenia w czasach, gdy ka¿dy musia³ wkuwaæ ca³e spektrum tematów, od „Bogurodzicy”, przez „Granicê” a¿ do Mi³osza, bez wzglêdu na osobiste preferencje. A przecie¿ tak by³o jeszcze w zesz³ym roku... Teraz bêdzie jednak inaczej: chcesz fantastyki, dostaniesz fantastykê, nie bêdziemy ciê ograniczaæ – takie motto zdaje siê przyœwiecaæ autorom przysz³orocznych tematów. Jedyne czemu nie bêdzie mo¿na zapobiec to niechêæ do fantastyki wœród cz³onków komisji – a takie przypadki s¹ niewykluczone. Ludzie s¹ tylko ludŸmi – choæ przypominam, ¿e ka¿dy temat jest równoprawny i niedopuszczalne jest (teoretycznie) promowanie kogoœ, kto wybra³ Wspó³czesnoœæ lub Romantyzm kosztem kogoœ, kto opowiada przera¿onej komisji o elfach, krasnoludach, wampirach czy innych hobbitach (byle robi³ to przekonywuj¹co i z pomoc¹ fachowej terminologii)...

Widzicie, jak macie dobrze – do was siê zwracam, dzieci komiksu i hip-hopu! Jeszcze dziesiêæ lat temu nie by³o tak ró¿owo. Mimo to dywersanci zmiêkczali grunt i urabiali polonistów pod póŸniejsz¹ rewoltê. Oczywiœcie piszê to prawem ¿artu – bo najwiêksze zas³ugi nale¿y przypisaæ pracownikom naukowym uniwerków, którzy mieli g³owy otwarte i wywa¿ali uparcie drzwi do fantastyki. Od Marii Janion, która analizowa³a na wszelkie mo¿liwe sposoby pojêcie „fantastycznoœci", po Antoniego Smuszkiewicza – zachêcaj¹cego do pisania prac magisterskich z Lema czy Oramusa, a nadto wspó³organizuj¹cego cenne konferencje...

Oni wywa¿yli drzwi na filologii – ale s³ysza³em, ¿e i na kierunkach filozoficznych fantastyka podnosi g³owê. Jeden ze wspó³pracowników „Innych Planet", jednoczeœnie filozof (zgadnijcie: kto?) robi obecnie doktorat z science-fiction. Natomiast pisz¹cy te s³owa rozwa¿a³ kiedyœ specjalizowanie siê w prawie kosmicznym (tak, jest taki dzia³ miêdzynarodowego prawa publicznego!), co jednak nie nast¹pi³o – zreszt¹ mo¿e to i lepiej... W koñcu nie od razu da siê przeprowadziæ fantastyczn¹ rewolucjê na ka¿dym wydziale. Ale ¿e taka rewolucja wybuchnie – to tylko kwestia czasu.

Wojciech Szyda

Nie by³bym sob¹, gdybym PT Kolegom-Redaktorom nie wcisn¹³ natrêtnie swoich 3 groszy do Ich tekstów. Tak siê sk³ada, ¿e jestem, wiêc piszê, niczym Maciej Rybiński w „Rzeczpospolitej".

(a) Ewentualnym kaskaderom, którzy chc¹ w liceum pisaæ o fantastyce, polecam leksykon prof. Antoniego Smuszkiewicza („Polska literatura fantastycznonaukowa"). Rzecz napisana w po³owie lat 80., wiêc – poza Lemem – ma³o aktualna je¿eli chodzi o autorów i dzie³a. Przydatna najbardziej czêœæ ostatnia – s³ownik pojêæ, wzbogacaj¹cy warsztat krytycznoliteracki o narzêdzia i pojêcia swoiste dla science – fiction. Amatorom fantasy mo¿na zaleciæ ostro¿ne korzystanie z kompendium Andrzeja Sapkowskiego, natomiast dostêpny jest znaczny wybór opracowañ, biografii, listów Tolkiena.

(b) Rzeczony redaktor (dane równie¿ przemilczê, hehe) wybiera³ siê na konwent, st¹d takie a nie inne wyposa¿enie osobiste.

(c) Do opisu olimpijskich bojów dodam tylko, ¿e przepustkê na etap centralny da³a mi praca o starym, dobrym Dicku.

(d) Wojtek nie doda³, ¿e tak naprawdê to maturê z jêzyka polskiego mieliœmy w dupie, bo po wystêpie olimpiadzie byliœmy z niej zwolnieni z ocen¹ celuj¹c¹

Pawe³ Ostrowski

No cóż. W sukcesach na różnych olimpiadach jestem tak dobry, jak choćby mój wielki krajan Grzegorz Sposób i generalnie większość polskiej reprezentacji na igrzyskach zimowych. Niemniej mogę chyba pogawędzić przez chwilę o swoich przygodach z językiem polskim w szkole.

W czasach gdy na Szydę wołali zapewne Szydziol, na Ostrowskiego Ostry, a do mnie zwracali się najczęściej słowami „ty fiucie", należałem do dumnych fantastów i w większości swoich wypracowań rozwodziłem się nad literaturą SF. Będąc jednak człowiekiem ograniczonym, miałem swoje zgrane motywy.

Wypracowania z polskiego to o tyle bezsensowne zjawisko, że czytelnikiem Twoich wypotów jest nieustannie jedna i ta sama osoba - polonistka/polonista. Nie rozwodząc się jednak nad bezsensem tej czynności zwrócę uwagę, że przez cztery lata uzewnętrzniałem się dla jednej jedynej osoby, która nigdy na moje wyznania nie zareagowała.

A okazji ku temu miała kilka. Pierwsze wypracowanie napisałem na temat filmu „Coś/Przybysz" Carpentera. Potem, gdzie mogłem, dawałem odpowiednie wtręty. Moim ulubionym motywem, który wrzuciłem może i ze trzy razy (żeby w końcu wywołać reakcję drugiej strony) było porównanie trzech dzieł: Konrada Wallenroda, Matki Nocy i Całej Prawdy o Planecie KSI. Rozwodziłem się o podobnej ocenie wallenrodyzmu zawartej w tych dziełach (O! Gdybym wtedy znał „Arsenał"!). Co jakiś czas opisywałem prozę Zajdla, Ziemkiewicza, Huberatha, Lema, Żuławskiego (bardzo znanego w międzywojniu modernisty, o którym gdyby nie wypadły mu spod ogona trzy powieści SF o Księżycu, nikt by dziś nie pamiętał).

Jeżeli chodzi o leksykon „Polska literatura fantastycznonaukowa", to proszę kolegę Ostrego o nie marginalizowanie części napisanych przez Andrzeja Niewiadowskiego. Część Smuszkiewicza „Słownik terminów" wywoływała u mnie najczęściej głośne ziewanie. Hasła typu „Pętla czasu" albo „Rekwizyt fantastyczny" uchodziły w moim mniemaniu za niepoważne. W dodatku było to wszystko nieciekawie napisane. Natomiast część Niewadowskiego („Słownik Autorów") to była dopiero pasjonująca lektura! Najbardziej podobały mi się hasła typu: Bolesław Prus, Adam Mickiewicz, Władysław Reymont, Ignacy Krasicki, Stefan Żeromski. Dzięki nim mogłem pisać o nazwiskach, które znała moja nauczycielka, Lalkę traktować jako powieść SF, Krasickiego jako pierwszego antyutopistę itd. Natomiast autorem, o którym z upodobaniem wspominałem co raz, był Michał Dymitr Krajewski, twórca tekstu „Wojciech Zdarzyński życie i przypadki swoje opisujący" - pierwszy polski pisarz SF. Polecam serdecznie.

Krzysztof Głuch

Ja do tych cennych szkolnych porad, mogę dorzucić radę by korzystać z archiwalnych numerów Nowej Fantastyki, z czasów, gdy nie została jeszcze zdradziecko sformatowana (a więc do września 2003r). W starych NF znajduje się wiele ciekawych artykułów popularyzatorskich typu „science" jako cenne uzupełnienie literackiej „fiction". Moja osobista korzyść z lektur tych tekstów, jest do udowodnienia świadectwem maturalnym. Jest nią ocena „dobry" na koniec roku z fizyki, dzięki paru referatom o szansach podróży w gwiazdy, na podstawie cyklu artykułów publikowanych w NF (nazwiska autora nie pamiętam). Dla antytalencia fizyczno-matematycznego, które - wstyd przyznać- dzięki lenistwu, w szkole średniej jeszcze bardziej ugruntowałem, było to naprawdę znaczące osiągnięcie.

Fizyka jak i inne nauki ścisłe w szkole średniej dzięki „zaangażowaniu" uczniów i nauczycieli nie mają zbyt wysokiego poziomu (w końcu to dyscypliny nie dla dzieci) więc takie „bryki" mają rację bytu i robią dobrą robotę, bo zamiast traumy (jaką odczuwam choćby wobec matematyki) fizykę i jej paradoksy czytam z przyjemnością (zwłaszcza na stronach kolegi redaktora Michała Protasiuka http://schrodinger.w.interia.pl/).

licealny krzewiciel fantastyki

rys. Pawe³ Piechnik

Na koniec dodam tylko, że ostatnio dzięki remontowi pokoju, ponownie, po latach, przeglądałem swoje książki i zeszyty ze szkoły średniej. I taka myśl mnie naszła, smutna właściwie, że gdybym ja i mi podobne zawodniki przykładały się bardziej do lekcji, to by w kraju naszym byłoby więcej nie tylko „nas-Polaków", ale mądrych ludzi. Sam program szkoły średniej wystarczy na dobrą wiedzę do końca życia, zwłaszcza w dziedzinach, w których się człek potem nie specjalizuje. Przetrenowane dzięki temu szare komórki mają potem okazję pracować w wielu innych sprawach, co bardzo ogranicza wskaźniki chamstwa i głupoty na świecie.

No ale „to se ne vrati" drodzy uczniowie, więc co teraz przebimbacie, później jest nie do odrobienia.

Maciej Witkowiak

Hmm, to mo¿e i ja dorzucê swoje 12 groszy.

Rzecz o nibymózgach.

W czasach, gdy na Wojtka wo³ano „Szydziol" na Paw³a „Ostry" na Krzyœka zaœ „ty fiucie" ja zwraca³em siê podobnymi s³owy (nie per Szydziol i nie per Ostry) do tych, którzy starali siê zmusiæ mnie do czytania lektur, które mia³y z fantastyk¹ tyle wspólnego, co szczêœliwie ju¿ „ex", premier L. Miller ma wspólnego z prawdziwym mê¿czyzn¹. W liceum literatura mainstreamowa by³a dla mnie re¿imem, a fantastyka - symbolem buntu i sprzeciwu. I to nawet buntu nie przeciwko belfrom (có¿ to za sztuka buntowaæ siê przeciwko belfrom, jak pokazuj¹ „wypadki toruñskie" starczy dobry kosz na œmieci i kamera). Mój bunt by³ buntem „poziomym" skierowanym w stronê otaczaj¹cych mnie, zunifikowanych zarozumialców, podobnych do siebie kropka w kropkê, równie w sobie zadufanych i równie pustych jak wiadro bez wody. Gdy pseudointelektualna licealna m³odzie¿ówka, owi gorliwi pionierzy nowych czasów zachwycali siê Gombrowiczem, Herbertem, czy innym Leœmianem, czyli Wielkimi i Uznanymi, ja okopa³em siê w Shire i Rivii, œl¹c pod adresem tych pardon my french, ulizanych intelektualnie dupków k¹œliwe uwagi i czyni¹c ze swych fantastycznych okopów wypady, kiedy zagro¿one by³y ówczesne moje literackie œwiêtoœci, jak Sienkiewicz (to nie fantastyka, ale temperatura i sposób opowieœci taki jak u Sapowskiego) czy Hobbit. Kiedy pseudointelektualna m³odzie¿ówka zachwyca³a siê Starym, ale bynajmniej nie Dobrym Ma³¿eñstwem i wbija³a maœlane oczy w Ryœka z Marmolady (chodzi o D¿em, jakby kto nie czai³) ja odpowiada³em im „Legend¹" Armii (to¿ to fantastyka!). Efekt jest zaœ taki, ¿e wszystkim tym urzêdowym intelektualistom, tym oficjalnym literaturoznawcom, czcicielom Gombrowicza, do którego podchodzili jak ma³py do monolitu (tzn. czcili a nie rozumieli) „zmiêk³y rury" mówi¹c kolokwialnie, a niekolokwialnie - czytaæ przestali, ich czytelnictwo zredukowa³o siê do rozmiarów orzeszka, czyli Claudii (jeœli by³y to dziewczyny) wzglêdnie rubryk sportowych i motoryzacyjnych (jeœli mówimy o facetach). Jeœli ju¿ coœ kupi¹ to gazetê telewizyjn¹, albo, ewentualnie, Mas³owsk¹, któr¹ wciœnie im znakomity sprzedawca shitu, Pawe³ Dunin W¹sowicz. Ci ludzie zachwycaj¹ sie byle gównem, które zobacz¹ na ekranie i dowiedz¹ sie od swoich wyroczni (krytyków) ¿e to film ambitny (na przyk³ad o œmieciarzu, albo o pijaku, najlepiej kiedy œmieciarz jest zarazem pijakiem, wtedy musi byæ arcydzie³o). Podatni na manipulacje ,oto czego nauczy³o ich liceum. Skoro „Gazeta Wyborcza" tak napisa³a, musi byc to prawda.

Czytelnicy fantastyki natomiast, jak czytali, tak czytaj¹ nadal. Myœl¹ jak myœleli, nikt nie myœli za nich. S¹ wyczuleni na wszelk¹ manipulacjê (czasem nawet przeczuleni, drogi MW).

Dlaczego tak? Powód prosty - urzêdowy optymizm i urzêdowe zainteresowanie d³ugo nie trwaj¹, nie mog¹ trwaæ d³ugo, bo nie s¹ autentyczne. Jak nie da siê zadekretowaæ wiary, nie da siê te¿ zadekretowaæ zami³owania do ksi¹¿ek. Jeœli czyjeœ pobudki s¹ fa³szywe - wyjdzie to przy pierwszej mieliŸnie, któr¹ ten ktoœ napotka na swej drodze. Jeœli ktoœ udaje zami³ownie do ksi¹¿ek dla koniunkturalnych wzglêdów (by podlizaæ siê poloniœcie), kiedy tylko polonista zniknie za rogiem, ów lizus ksi¹¿kê od³o¿y. I to bedzie jego b³¹d. Bo ksi¹¿ki, jeœli sie je naprawdê czyta, rzeczywiœcie ucz¹ myœlenia.

Nie martwiê siê wiêc, ¿em omija³ niektóre szkolne lektury (¿eby by³o jasne - nie przeszkodzi³o mi to zdaæ matury z pol. na 6 - ustnej, na drodze pisemnej stanê³y przecinki. Zawsze jest czas na nadrobienie zaleg³oœci, jeœli coœ by³o warte przeczytania- wróciæ mo¿na wtedy, kiedy Ty bêdziesz chcia³ czytelniku, a nie wówczas, kiedy naka¿e Ci to system. Cieszê siê zaœ, ¿e nie podda³em siê licealnemu praniu mózgów, swego rodzaju uniformizacji, produkuj¹cej nie potrafi¹cych samodzielnie myœleæ nibyinteligentów, „nibymózgi" jak ich kiedyœ okreœla³em. Nie iœæ za stadem, myœleæ samodzielnie - oto czego powinno uczyæ liceum. Za moich czasów nie uczy³o. Ocalenie zawdziêczam w du¿ym stopniu fantastyce, która by³a swego rodzaju schronem przeciwatomowym. Nie tylko dla mnie - dla wielu innych te¿. Fantastyka pokazywa³a ¿e mo¿na myœleæ inaczej, mówiæ inaczej, mieæ inne horyzonty i inne pogl¹dy ni¿ oficjalne. Po czêœci dziêki temu, ¿e by³a wyklêta. Wiadomo - owocowi smaku dodaje to, ¿e jest zakazany.

Dlatego, niech Bóg broni przed wprowadzeniem fantastyki do szkó³, do spisu lektur. Byæ mo¿e nadejdzie kiedyœ smutny dzieñ, kiedy w ka¿dej szkole bêd¹ omawiaæ twórczoœæ Dukaja czy Huberatha. Byæ mo¿e nadejdzie czas, gdy dzieciaki bêd¹ zmuszane do czytania „Krwi elfów" czy „Achai", a za nieznajomoœæ prozy Tolkiena bêd¹ stawiali jedynki. S¹dz¹c po tym, co pisze o nowej maturze „Wojtek zwany Szydziolem" ten czas siê zbli¿a, zbli¿a siê szybkimi krokami. A wiêc przygotujcie siê nañ, dear friends, przygotujcie siê dobrze.

To bêdzie œmieræ fantastyki.

rys. Pawe³ Piechnik

Halo? Policja? Tutaj sekretariat liceum. Chcia³am zg³osiæ przypadek przemytu fantastyki...

Nastepne pokolenia bêd¹ na ni¹ patrzy³y z obrzydzeniem.

PS. Zwiastunem koñca fantastyki jest uk³on Wojtka i Paw³a w stronê Wielkiego i Uznanego polskiego realisty. Wojtku, wyczynowe picie przed olimpiad¹ to nie ¿adna fantastyka, to Pilch jak ¿ywy, to Mas³owska, to, jednym s³owem, wspó³czesna polska realistyczna literatura, niech j¹ szlag.

PS2 Dla jasnoœci - Herbertem, Leœmianem, Gombrowiczem zachwycaæ siê oczywiœcie mo¿na. Je¿eli tylko zachwyt jest szczery, a nie udawany. Jeœli nie jest to owczy pêd i ba³wochwalstwo. Jeœli to nie moda intelektualna. Jeœli uznanie nie jest spowodowane tym, ¿e akurat umar³ Herbert czy Mi³osz, a Szymborska dosta³a nagrodê Nobla.

Maciej Guzek

Przepraszam, ale nie mogę inaczej. Widząc, co szanowni koledzy tu napisali muszę dorzucić swojego eurocenta (około 4 groszy). Fakt ten, sam w sobie, nie byłby może taki straszny, problem jednak w tym, że nie mam absolutnie nic ciekawego do napisania. W czasach, gdy Szydziol, Ostry, Ten Na Którego Wołali Głupi Fiucie i inni przemycali bohatersko fantastykę do zunifikowanego i skostniałego programu liceum, ja dopiero to liceum zaczynałem i z nie znałem dobrze nawet pojęcia fantastyki. Co prawda około szóstej klasy podstawówki kupiłem przez przypadek pierwsze dwie części cyklu Amber Zelaznego z Iskier, seria Fantastyka Przygoda, które tak mi się spodobały, że z rozpędu kupiłem potem z tej samej serii „Dzień drogi do Meorii" Oramusa, ale ten niestety mnie znudził tak, że nawet książki nie dokończyłem, i na tym zakończył się mój chwilowy zryw fantastyczny. Dalej czytałem wtedy tanie sensacje Ludluma i jemu podobnych, a książkę Oramusa doceniłem dopiero, gdy dojrzałem, jak mi się wydaje, do fantastyki, czyli około trzeciej klasy liceum. Tak więc przed maturą miałem już co prawda przeczytany cykl o Diunie, ale w ogóle do głowy mi nie przyszło, żeby ryzykować moją cenną oceną na świadectwie maturalnym i gdziekolwiek cokolwiek przemycać. A w nagrodę za stres na maturze ustnej kupiłem sobie kolejny boosterek do Magica.

Nie jestem pewien, czy to, co piszę, kogoś w ogóle interesuje, ale możecie zamieścić ten tekst, jeśli będzie jeszcze wolne miejsce w kolumnie, a ogólnie i podsumowując to zgadzam się z przedmówcami.

Pan Bobek
(czyli ja, Tomasz B.)

Podobnie jak Koledzy Redaktorzy Szyda i Ostrowski matury z polskiego nie pisałem i to z takich samych jak oni przyczyn – i niech ten jakże enigmatyczny zwrot zastąpi chwalenie się. Fantastykę w wypracowaniach szkolnych przemycać się starałem. Pamiętam na ten przykład że w szóstej czy siódmej klasie podstawówki w wypracowaniu „Napisz list do kolegi zachęcający go do przeczytania Twojej ulubionej książki" pisałem o „Solaris" - która może i moją ulubioną książką nie była, ale byłem jakoś świeżo po pierwszym jej przeczytaniu. Z tego samego okresu wspominam jak to mieliśmy do napisania wypracowanie „Moja klasa na wycieczce" i oczywiście wysłałem klasę w Kosmos. Przygoda była jakaś taka mało ciekawa (akurat pisarz to nigdy ze mnie nie był), ale – jak twierdziła polonistka – bardzo ładnie napisana. Niestety dostałem tylko czwórkę (w skali ocen 2-5), a to z tego powodu, że… osoby występujące w moim opowiadaniu miały imiona, które nie występowały w naszej klasie.

Za to porządnie rąbnąłem fantastyką na centralnym etapie olimpiady polonistycznej w ogólniaku. Miałem temat „Dwudziestowieczne czytanie mistrzów dziewiętnastowiecznych". Przyznać muszę że jak ognia bałem się awansować do ostatniego etapu, jako że nie byłem do niego przygotowany – na ostatni ustny etap każdy miał się wyspecjalizować w jednym konkretnym temacie wcześniej założonym, a ja – acz poezję młodopolską znałem całkiem nieźle – przyznaję bez bicia: mając maturę z polaka już w przysłowiowej kieszeni skupiłem się bardziej na doskonaleniu matmy, podróż na centralny etap olimpiady polonistycznej traktując trochę jak wycieczkę. Co nie zmienia faktu, że przy pisaniu pracy w Warszawie trochę się postarałem, chociaż dla świętego spokoju wstawiłem kilka kolokwializmów. Pamiętam że miałem jakiś zły dzień dla romantyków polskich – choć zwykle ich lubię – i rzucałem jakimiś karkołomnymi tezami, że dziś już ich ciężko zrozumieć. Za to rozpisywałem się o Poem i Wellsie. Verne'a już sobie darowałem, bo taki trochę bardziej „wczesnomłodzieżowy". Po ocenie prac (trafiłem idealnie, miałem tyle punktów, żeby otrzymać tytuł „laureata", za mało jednak by awansować do wspominanego ostatniego etapu) mogłem przejrzeć recenzję własnych wypocin i dowiedziałem się, że „propozycje autora są dość ciekawe i oryginalne". Najbardziej zaś spodobało mi się zdanie „Znać tu spore oczytanie, a nawet osłuchanie" – powodem tejże uwagi były pojawiające się w mojej pracy Iron Maiden (przy Poem) i Kate Bush (przy „Wichrowych Wzgórzach").

Na maturze błysnąć nie mogłem, ale myślę że przemycanie fantastycznych treści byłoby z uznaniem odczytane. Ale jedno powiedzmy szczerze – żadne moje czy Kolegów Redaktorów fantastyczne wstawki w pracach olimpijsko-maturalnych nijak się nie mają do wyczynu naszego klubowego kolegi Daniela Kosse, który na maturze posiłkował się nieistniejącą powieścią Larry'ego Nivena.

Marcin Bronhard

Czuje się w obowiązku także wspomnieć o moich związkach z fantastyką czasach licealnych (w których nie powiem jak na mnie wołano). Swoje bliższe (dalsze bywały już wcześniej, ale o tym za chwilę) relacje z fantastyką rozpocząłem 8 marca 1993, czyli dokładnie w Dzień Kobiet (czy ma to jakieś znaczenie symboliczne?). Wtedy to zniecierpliwiony długim oczekiwaniem na mojego kolegę, który kupował kwiaty, bodajże dla mamy, nabyłem w pobliskim kiosku „Nową Fantastykę". No i zaczęło się.. Potem zaprzyjaźniłem się z „Fenix-em" i „Magią i Mieczem". Przyszły pierwsze książki: zbiór opowiadań „Wojna robotów" Harrego Harrisona i powieść Jamesa Blisha „Gdzie jest twój dom Ziemianinie" i cała reszta książek z tzw. „CIA-buksów". Muszę także wspomnieć o roli taty w mojej fantastycznej edukacji, cierpliwie karmił mnie już od podstawówki opowiadaniami z nieistniejącego już miesięcznika „Problemy" i z „Młodego Technika". To karmienie zaowocowało (zakwitło?) właśnie w Dzień Kobiet.

Wracając do głównego wątku tej dyskusji przyznaję, że w moich licealnych wypracowaniach rzadko wspominałem o moich fantastycznych literaturowych doznaniach, nie czułem się tak mocny jak moi przedmówcy, być może dlatego, że gościłem raczej na olimpiadach z fizyki i matematyki a nie z języka polskiego. Pamiętam, że na maturze napisałem o jednym z opowiadań przeczytanych w „Nowej Fantastyce" autorstwa Kate Katrin Rush, tytułu już nie pomnę (poszukam w moich archiwach).

Na koniec przypomniałem sobie , że byłem uczestnikiem „Hitalii" w „Fenixe", czyli opowiadania w odcinkach tworzonego przez czytelników. Gdy zachwycony pokazałem mojej polonistce (już na szczęście po maturze) mój opublikowany tekst, niestety nie doczekałem się nawet słowa uznania. Zniechęcony nie napisałem już niczego więcej. Ale za to kilka miesięcy później rozpocząłem działalność w Poznaniu. A to już zupełnie inna para kaloszy...

Piotr „Składak"

Skoro wszystkich wzięło na wspominki, niech dołączę do nich i ja, zamykając tym samym redakcyjną dyskusję. Podczas dwóch największych egzaminów z języka polskiego, jakie przechodziłem podczas długiego procesu edukacji, wiernie asystowała mi fantastyka. Pierwszy z nich to oczywiście egzamin wstępny do liceum, gdzie obstawiałem na temat „Moja ulubiona książka" i się nie zawiodłem. A tą książką była oczywiście „Władca Pierścieni", którą w ósmej klasie przeczytałem po raz drugi. Niestety, więcej na ten temat nie będzie, gdyż więcej po prostu nie pamiętam.

Cztery lata liceum to jakby lekka schizofrenia. Z jednej strony świat szkolnej ławy i schematycznych polonistek, skutecznie zniechęcających do lektury jakichkolwiek książek. Z drugiej zaś strony czytane z wypiekami na twarzy powieści o kolorowych okładkach. Jakiż to był wspaniały czas! Dick, Vonnegut, King dostarczyli mi wielu niezapomnianych wrażeń. Czytając fantastykę znajdowaliśmy się wówczas w elicie. Wśród moich rówieśników, kto nie czytał fantastyki, ten nie czytał książek w ogóle (nie licząc lektur). Dopiero pod koniec liceum wybuchła popularność Whartona i innej „ambitnej literatury", jak ochrzcili autora „Ptaśka" jego miłośnicy, dystansując się tym samym do fantastyki.

I tak te dwa światy trwały obok siebie, szczelnie oddzielone murem. Ale równo po czterech latach ten mur runął.

Stało się to podczas matury. Jestem może człowiekiem starej daty, ale zawsze uważałem, że matura jest egzaminem dojrzałości i powinna być tak traktowana z pełnym zrozumieniem tego słowa. Dojrzałość czyli twoje spojrzenie na świat, suma przemyśleń, jakie wypracowałeś sobie podczas tych 19 lat życia, a nie udawane zachwycanie się twórczością Reymonta czy Mickiewicza.

Ponieważ maturę zdawałem w 1997 roku, czyli w 30 rocznicę śmierci Ernesto CheGuevary, po cichu liczyłem na temat związany z rewolucją społeczną. I niestety się przeliczyłem, ale temat na jaki trafiłem nie mógł być lepszy. Nie pamiętam dokładnie jego brzmienia – dotyczył wielkich dzieł sztuki, które wpłynęły na mnie i moje postrzeganie świata.

Bariera wtedy runęła i separowana do tej pory fantastyka szerokim nurtem wlała się w licealne mury. Główną osią maturalnej pracy stała się „Rzeźnia numer 5" Vonneguta i problem wolności, wyboru i wolnej woli. Elementów fantastyki doszukiwałem się w „Procesie" Kafki i wielu innych dziełach do tej pory z fantastyką raczej nie kojarzonych. Wysiłki moje zostały jednak docenione i nie musiałem powtarzać już np. „Chłopów" z obawy, że wylosuję taki temat na ustnej.

I jeszcze dwie uwagi do wypowiedzi kolegów – redaktorów.

1. Dobrze pamiętam jedno z moich pierwszych spotkań z kolegą Krzysztofem Głuchem i naszą dyskusję na temat matury z języka polskiego właśnie. Krzysztof powiedział, że pisał pracę na temat polskich noblistów.

– A o kim przede wszystkim? – zapytałem.

– Przede wszystkim to o Herbercie – odparł Krzysztof.

– Niezły z niego fantasta – pomyślałem wówczas.

2. Piotr przyznaje się, iż po krytyce jego „Hitalii" nic więcej nie napisał. Piotrze, a opowiadanie „Dno", opublikowane w pierwszym numerze deZinformatora?

Michał Protasiuk

Jako że wspomnienie mojej niegodnej osoby bardzo miło połechtało opuszki moich palców, pozwoliły mi one wystukać trochę na klawiaturze, stąd kilka poniższych słówek. Sprawa dotyczy oczywiście wspomnienia przez Marcina jakobym popełnił zbrodnię wymyślenia na maturze nieistniejącej książki Larrego Nivena, czemu oczywiście oficjalnie zaprzeczam, natomiast prywatnie opowiem Wam jak to było.

Czasy moje szkolne wspominam jako okres ogromnego chaosu, z jednej

rys. Paweł Piechnik

strony byłem buntownikiem i to czasami zdecydowanie bez powodu, z drugiej uważnie czytałem wszystkie zalecone lektury - jakiekolwiek one by nie były, wychodząc z naiwnego wniosku że skoro ktoś je umieścił w kanonie, musiał mieć ku temu bardzo ważny powód. Dzisiaj nie pamiętam już dokładnie, czy specjalnie umieszczałem w mojej pracy wątki fantastyczno-naukowe (podobnie jak szanowni przedmówcy uwielbiałem to robić, traktując uznanie fantastyki za niegodną głównego nurtu jako jeden z objawów ogólnoświatowego kretynizmu i pseudo-intelektualizmu), czy też generalne zalecenie ustalonego wzorca pisania matur zmuszało ludzi do podpierania umieszczanych w pracy oświadczeń (specjalnie nie napisałem swoich twierdzeń, bo niestety większość maturzystów ogranicza się do przetwarzania czyichś poglądów, często ich nawet nie rozumiejąc) przykładami z literatury. Wiem na pewno, że napisałem coś wartego moim zdaniem uwagi, jednak jak na złość nie mogłem odszukać w pamięci ani jednej pozycji godnie popierającej moje wielkie teorie. Popędzany brakiem czasu postanowiłem naprędce wymyślić jakąś książkę, która w zdumiewający sposób podpierała moje słowa, czyniąc je ogólnie uznanymi myślami wielkich autorów, a nie tylko wypocinami uczniaka. Jako iż treść owej książki nie tylko sama była fikcją, ale i o naukową fikcję zahaczała, potrzebny był mi godny pozycji autor związany z fantastyką. Od razu odrzuciłem nazwiska Howard, Norton czy Tolkien, obawiając się że szanowna komisja czytając moją pracę zobaczy oczami wyobraźni krasnale bądź krzaty oraz moją osobę jako niezupełnie rozwiniętego intelektualnie osobnika oglądającego z otwartymi ustami Arnolda Schwarzeneggera z mięśniami w każdym możliwym miejscu ciała. Nazwiska Stanisława Lema nie śmiałem nawet delikatnie szargać, jednak nadal potrzebowałem szlachetnie brzmiącego wielkiego autora, którego istnienie mogła szanowna komisja stwierdzić, jednocześnie nie mając o jego książkach zielonego bądź bladego (zależnie od płci egzaminatora) pojęcia. Larry Niven, o tak!

Skoro już się rozpisałem, a przy okazji władny jestem wyjaśnić inną ważką kwestię tego artykułu, a mianowicie wspomnienie Michała o „pozaHittalicznej" twórczości Piotra, uczynię to z dziką rozkoszą.

Cała sprawa odbyła się w zamierzchłej przeszłości, kiedy klub fantastyki „Druga Era" dopiero wykuwany był potężnym młotem Hefajstosa oraz kilku pomniejszych bóstw, oczywiście pod czujnym wzrokiem Jedynego, a członków klubu policzyć można było na palcach jednej ręki. Wtedy też wpadł mi do głowy pomysł, który jak wszystkie inne moje pomysły był oczywiście genialny, jednak przez zbytni pośpiech dodałem mu niezbyt fortunną oprawę. Owo dzieło przedstawiłem dumnie całemu klubowi (sztuk trzy), po czym otrzymałem należną zresztą porcję krytyki mego stylu pisania od Krzyśka Głucha z aprobatą Piotra Derkacza. Aby uczynić ukłon w kierunku prawdy historycznej należy dodać iż obecny był przy tym osławiony prezes klubu, imć Remigiusz Witczak, który bardzo przekonująco kiwał głową zupełnie jakby rozumiał do jakich cliché literackich odwołuje się niezastąpiony Krzysztof. Piotr natomiast postanowił wyprostować popełnione przez moją osobę błędy literackie i tak właśnie powstało „Dno" .

P.S. Jako ciekawostkę dodam, że podczas tej samej matury wpadł mi do głowy pomysł na opowiadanie, nie mogąc się powstrzymać napisałem ze dwie kartki ale jak dotąd nie udało mi się go dokończyć. Jeśli sądzicie że to nienormalne zajmować się na maturze czymś podobnym, to macie absolutną rację – sam tak uważam, ale trudno, taki już jestem.

P.S. 2 Pomysł zawarty w „Dnie" leży teraz na dnie stosu moich Spraw Które Kiedyś Wreszcie Muszę Zakończyć, ale jest Mój, Mój i Tylko Mój, sssskarbie i jeszcze kiedyś uda mi się zrobić z niego moje własne „Limes Inferior", zobaczycie!

Daniel Kosse

C

RECENZJA

Krzysztof G³uch

JA SEM ROBOT

Myœlê, ¿e Isaak Asimov dosta³ taki film, na jaki zas³u¿y³.

Do niedawna uwa¿a³em tego pisarza za komunistê-utopistê pierwszej wody. Bo któ¿ inny, jak komunistyczno-utopijny pisarz SF nie zacznie nam wciskaæ takich pomys³ów jak:

(1) wszechogarniaj¹ce imperium (znane z cyklu „Fundacja") - pomys³, ¿e ludzkoœæ (i to w doœæ rozbudowanej postaci, bo w ca³ej galaktyce) postanawia siê zjednoczyæ pod w³adz¹ jednego imperatora tr¹ci utopijnoœci¹, jakiej d³ugo szukaæ. Niedawno dowiedzia³em siê jednak, ¿e Asimov pisa³ „Fundacjê" pod wp³ywem ksi¹¿ki „Rozpad i upadek Imperium Rzymskiego". Da³o mi to do myœlenia i postanowi³em z³agodziæ swój os¹d tej wizji. Wszak imperium takie jak Cesarstwo Rzymskie istnia³o bezsprzecznie i przez d³ugi doœæ czas mia³o siê ca³kiem dobrze. Takie nawi¹zanie wskazywa³oby, ¿e pisarz wyznaje pogl¹d o cyklicznoœci historii (analogicznoœci rozwoju i upadków imperium). Jest to – przyznajmy – równie¿ koncepcja doœæ prymitywna, ale ju¿ nie tak odra¿aj¹co utopijna,

(2) pogl¹d o postêpuj¹cej marginalizacji religii - z cyklu „Fundacja" miêdzy innymi mo¿na odnieœæ wra¿enie, ¿e Asimov uwa¿a³, i¿ religia jest opium dla ludu. Pobo¿noœæ zdaniem pisarza to takie stadium na etapie rozwoju ludzkoœci. Oœwiecony rozum j¹ odrzuca. Bêdzie jednak¿e trwaæ, gdy¿ jest doskona³ym instrumentem manipulacji. Oto podrêcznikowy przyk³ad Marksizmu-leninizmu w akcji,

(3) psychohistoria - nauka, której ojcem by³ (bêdzie?) Hari Seldon, nadaje siê na osnucie wokó³ niej wci¹gaj¹cego cyklu powieœciowego, owszem. Natomiast nie nadaje siê do niczego wiêcej. Pomys³, ¿e mo¿na przy u¿yciu niewielkiej liczby zmiennych (Seldon liczy³ to na kalkulatorze) przewidywaæ dok³adnie (co do roku) losy ludzkich zbiorowoœci przypomina futurologiczn¹ in¿ynieriê spo³eczn¹ uprawian¹ przez KC KPZR (zdania typu - „jeszcze 10 lat i imperializm zginie przygnieciony ciê¿arem - to proces nieunikniony"),

(4) prawa robotyki - no i w koñcu te trzy proste zasady, które mia³yby zapewniæ szczêœcie ludzkoœci uwik³anej w czeski wynalazek Karola Èapka. Mam wra¿enie, ¿e wzmiankê o trzech prawach robotyki Asimov umieszcza³ w wiêkszoœci swoich tekstów. Zasady te s¹ ju¿ dla nas równie oczywiste, co np. prawo œruby lewoskrêtnej, albo powszechne prawo wyborcze. Proste, przejrzyste i szczere niczym myœli Lenina.

Wspomniane powy¿ej elementy twórczoœci Asimova, poœród zapewne wielu innych pomniejszych, czyni¹ z niego „oldskulowego" utopistê SF. Chcia³bym tu podkreœliæ, ¿e nie uwa¿am tego za utopizm-komunizm wynikaj¹cy z przekonañ ideologicznych. Asimov nie pisa³ kawa³ków chwal¹cych np. osi¹gniêcia klasy robotniczej, takich jak na przyk³ad rozdzia³ drugi czêœci pierwszej i rozdzia³ pierwszy czêœci drugiej powieœci *Astronauci* S. Lema. U¿ywaj¹c terminologii G. Orwella, nie s¹dzê, ¿eby Asimov kiedykolwiek „skurwi³ siê". Jego utopizm-komunizm wynika³ raczej z p³ytkich stereotypów myœlenia. Czasem mam wra¿enie, ¿e ju¿ scenarzyœci „Star Treka" wykazywali siê wiêkszym umiarem w siêganiu garœci¹ do kosza standardowych utopijnych wizji. Byæ mo¿e, gdyby nie istnia³ Stanis³aw Lem, wolno by siê by³o pokusiæ na twierdzenie, ¿e Asimov by³ myœlicielem, filozofem lub kimœ równie powa¿nym. Na nieszczêœcie dla amerykañskiego autora, Stanis³aw Lem istnieje.

Tak wiêc umówmy siê – ksi¹¿ki Asimova czyta siê wyœmienicie (zw³aszcza bêd¹c nastolatkiem). Jednak ich wymiar intelektualny jest o wiele bardziej skromny, ni¿by mo¿na s¹dziæ po powadze poruszanych tematów. Nie by³oby wszak problemu, gdyby Asimov zajmowa³ siê pisaniem o strzelaniu z lasera od góry do do³u lub machaniu mieczem na prawo i lewo. Ale nie. Asimov (jak zreszt¹ wiêkszoœæ twórców SF) atakuje zawsze sprawy fundamentalne. Kim jesteœmy? Dok¹d zmierzamy? I tym podobne.

I taki w³aœnie jest film „Ja Robot". Porusza sprawy fundamentalne, wci¹ga, tworzy piêkne obrazy. Ale fa³d wiele na mózgu od niego nie przybêdzie.

Jak siê fabu³a filmu ma do prozy Asimova? Nie jestem w stanie tego oceniæ, gdy¿ podejrzewam, ¿e napisa³ on oko³o trzystu opowiadañ o robotach i byæ mo¿e któreœ z nich stanowi gotowy scenariusz filmu z Willem Smithem, zwanym te¿ niekiedy Fresh Princem, w roli g³ównej (ale nie tytu³owej). Na tyle, na ile jednak znam twórczoœæ tego pisarza, to w filmie „Ja, Robot" odnalaz³em cztery elementy pobrane z prozy Asimowa. S¹ to trzy prawa robotyki oraz jeden zbuntowany robot, który zabi³ cz³owieka, i którego mo¿na wykryæ spoœród zastêpów innych robotów poprzez zadawanie wszystkim tego samego pytania i oczekiwanie niestandardowej reakcji (metodê t¹ stosowa³a równie¿ nieoceniona, piêkna Ais, by odnaleŸæ zabójcê bodaj¿e Chata). Po namyœle odnalaz³em jeszcze jeden œlad zwi¹zany z Asimovem - firma U.S. Robotics to zapewne nawi¹zanie do nazwy fikcyjnej, stworzonej przez Asimova firmy U.S. Robots and Mechanical Men. Pracowali w niej naukowcy nosz¹cy takie same lub podobne nazwiska, co pracownicy firmy U.S. Robotics - Alfred Lanning, Lance Robertson i Susan Calvin. Wiêcej zbie¿noœci nie zauwa¿am. Co nie uznajê za ¿adne uchybienie. Myœlê, ¿e film odnalaz³ siê w swojej czarnej skórze, oœmiela siê nawet podwa¿aæ wizjê literack¹, o czym poni¿ej.

Sam film jest poœwiêcony przede wszystkim dobrej zabawie - wspania³ym dowcipom detektywa Dela Spoonera, wizualnym zabawom i rozmaitym przygodom. Jakie¿ to przygody? Mo¿na siê o tym przekonaæ choæby na oficjalnej stronie filmu, gdzie dostêpne s¹ gry, w których gracz musi: „Uciec z wal¹cego siê domu doktora Lanninga", „dojechaæ na motocyklu do laboratorium robotów", „odszyfrowaæ ukryte has³o" oraz, co najwa¿niejsze „zniszczyæ wszystkie roboty". Wszystko to bardzo ³adne i na pewno siê Wam spodoba.

My zajmijmy siê jednak przez chwilê owymi sprawami fundamentalnymi, które towarzysz¹ przygodom detektywa Spoonera. Film, trzeba to przyznaæ uczciwie, podejmuje dyskusjê z Asimovem, który swoje prawa traktowa³ jako pewniaki (oprócz tego, ¿e po jakimœ czasie (2052) kaza³ Dr Susan Calvin spisaæ „prawo zerowe" - „¿aden robot nie mo¿e wyrz¹dziæ krzywdy ludzkoœci" - to jeszcze jeden dowód na utopijne myœlenie Asimova, bo czym¿e jest ludzkoœæ i w jaki sposób nie wyrz¹dziæ jej krzywdy?). Otó¿ detektyw ten robotów nie lubi, bo robot nie widzi ró¿nicy pomiêdzy ocaleniem doros³ego mê¿czyzny a ocaleniem ma³ej dziewczynki. Te¿ mi problem - czy nie wystarczy doprogramowaæ roboty, ¿e najpierw nale¿y ratowaæ dzieci, kobiety i starców? Znacznie mocniejsze argumenty (uwaga spoiler!!!) wymyœli³ ktoœ inny w tym filmie. Otó¿ okazuje siê, ¿e trzy prawa robotyki nie definiuj¹, co jest dobre dla ludzi. Ka¿dy mo¿e wiêc dojœæ na przyk³ad do wniosku, ¿e ludziom zagra¿aj¹ na przyk³ad ich oczy i wówczas, ¿eby chroniæ ludzi, ich oczy zostan¹ wy³upane. No i taki jest generalny dyskurs. Wiêkszych szczegó³ów nie bêdê chyba opisywa³. To w koñcu opowieœæ kryminalna, wiêc po co macie wiedzieæ, ¿e zabi³ lokaj?

Film nie jest wiêc czo³obitny. Ma swój lekki styl i swoj¹ treœæ mówi¹c¹, ¿e nie takie cudowne s¹ te prawa robotyki, ¿e prowadz¹ do zag³ady (no ale przecie¿ w ka¿dym szanuj¹cym siê filmie coœ musi prowadziæ do zag³ady). To siê sprzeda, zgodnie z wyznawan¹ przez Asimova zasad¹ (uwaga poni¿sze s³owa powiedzia³ naprawdê Isaak Asimov, a nie któryœ z polskich twórców tzw. fantastyki rozrywkowej): „Jaki jest sens w pisaniu ksi¹¿ek, je¿eli siê ich nie sprzedaje i nie staj¹ siê one s³awne? Nie chcê byæ znany tylko kilku starym naukowcom. To ma byæ dla ka¿dego".

I niestety rzeczywiœcie jest dla ka¿dego.

PS. S¹dzê, ¿e Isaak Asimov zwyciê¿y ten wyœcig do s³awy. To rzadki przyk³ad twórcy, który pomimo swojej mia³koœci uznany zosta³ za mêdrca, wrêcz proroka. Stawiam, ¿e ta sama sztuczka nie wyjdzie tandemowi Proyas + Fresh Prince, ani tym bardziej ¿adnemu z polskich twórców tzw. fantastyki rozrywkowej.

***I, Robot,* re¿. Alex Proyas, XX Century Fox, USA 2004.**

Jacek Sobota

NIESPODZIEWANA POCHWAŁA MONOLITÓW

Uniformizacje, jednolitoœci, standaryzacje – to s¹, wydaje siê, tematy przebrzmia³e. Duch Czasu zagna³ nas wszystkich, czy to siê nam podoba, czy te¿ mo¿e niekoniecznie, w inne rejony. Teraz powiada siê: monolity (spo³eczne) to mity; du¿o siê te¿ mówi o indywidualnoœci, o poszukiwaniu to¿samoœci, o innoœci, która szczególnie jest w cenie. Im kto wiêcej ma w sobie pigmentu odmiennoœci, tym mocniej bywa po¿¹dany – to ju¿ sytuacja modelowa. Kobiety szalej¹ za homoseksualistami itd. itp. Rzecz jasna, kryje siê w tym wszystkim paradoks taki – jak wszyscy szukaj¹ innoœci, to jest w tym jakaœ „wspólnoœæ", choæby w w¹t³ym obszarze poszukiwañ w³aœnie. Jak wszyscy pragn¹ nowych i niepowtarzalnych doznañ, to siê owe doznania powtarzaj¹ nieznoœnie i standaryzuj¹. Wszyscy siê tatuuj¹ z wyj¹tkiem marynarzy. Niejaki Moody przekonuje nas od dziesiêcioleci, ¿e nawet doznanie œmierci u ka¿dego podobnie przebiega – œwiate³ko w tunelu (zdaje siê, ¿e i Parowski da³ temu wiarê; pamiêtam, jak próbowa³em mu sprzedaæ debiutanckie opowiadanie „Rzeka", to nie kupi³, bo wizja œmiertelna inaczej tam wygl¹da³a ni¿ w „¯yciu po ¿yciu"; a by³o to jakieœ piêtnaœcie lat temu). Skoro nawet takie intymne ostatecznoœci podlegaj¹ powtarzalnoœci (mam wra¿enie, ¿e i pewne zachowania Parowskiego s¹ doœæ monolityczne), to co dopiero mówiæ o innych sferach naszych doznañ.

Nim siê powo³am na autorytety (Lintona i Bella), poharcujê jeszcze sobie chaotycznie po swojemu. Tekst ten powstaje bez ¿adnego planu ni konspektu – coœ bowiem ostatnio szwankuje w mej metodologii – jak coœ zaplanujê, to nie wychodzi i odwrotnie. Postanowi³em zatem nie planowaæ ¿ycia. Zaplanujê za to œmieræ, unieœmiertelniaj¹c siê tym samym perfidnie (nawiasem mówi¹c, na pewnej warszawskiej imprezie SF, pamiêtam, ¿e mocno zmilitaryzowanej, ale ju¿ jej nazwê i organizatorów - choæ jeden z nich jest bodaj alpinist¹, a nawet, nieszczêsny, od niedawna pisarzem - poch³onê³a wdziêczna bezpamiêæ, postanowi³em popełniæ samobójstwo w okolicach zimy 1998 roku, poprzez zatopienie siê w przerêblu na jeziorze Kortowskim w Olsztynie; nawet zaprosi³em na imprezê kwiat polskiego pisarstwa SF, jeszcze wtedy rozmawia³em z Ziemkiewiczem, teraz chêtnie sam by mnie zatopi³ w tym przerêblu {bez s³owa, czy te¿ raczej mo¿e, h³e h³e, „miêdzy s³owami"}, którego ostatecznie nie by³o; mgliœcie planowa³em jakiegoœ grilla i rodzaj festynu; Oramus zobowi¹za³ siê wykuæ ów przerêbel, mia³ nawet zdobyæ kilof; có¿, nic z tego wszystkiego niestety nie wysz³o).

Kiedym us³ysza³, jaki jest motyw przewodni numeru (unifikacja, czy te¿ uniformizacja), pomyœla³em, ¿e siê – rzecz jasna – oburzê jak zwykle na idiotyczn¹ powtarzalnoœæ polskiej SF, rypnê standardowo nazwiskami, a sam przystrojê siê w szaty aposto³a osobnoœci. Nic z tego jednak – nieoczekiwanie post¹piê niezwykle, chwal¹c oto zwyk³oœæ. Pomijaj¹c banalne konstatacje, ¿e bez zwyk³oœci nie by³oby niezwyk³oœci, boæ jedno dla drugiego t³em zawsze bywa, co zaœ t³em, a co planem pierwszym – zale¿y od intensywnoœci i czêstotliwoœci wystêpowania. Co czêste – to t³em, co intensywne – to pierwszym planem. Wiem, ¿e coœ w tym miejscu mia³em wczoraj napisaæ, lecz nie pamiêtam, co. Wczoraj wiedzia³em, ale przysz³a kole¿anka z piwem i ju¿ dzioe nie pamiêtam. To mo¿e inaczej. Choæ nie wiem czy inaczej, bo nie pamiêtam. Wiêc mo¿e jednak tak samo. Zatem w twórczoœci artystycznej (np. literackiej) zachodzi problem granic komunikacji nadawcy artystycznego promieniowania i napromieniowanego nim. Napromieniowany, jak wiemy, nie zawsze wie, ¿e zosta³ uszkodzony - ¿yje w nieœwiadomoœci a¿ do œmierci. Coœ go tam nêka, coœ gryzie, ale nie wie co. Ale ja nie o tym w³aœciwie. Granice komunikacji podlegaj¹ granicom percepcji oryginalnoœci. Rzecz jasna, w sztuce ten pêd poszukiwawczy trwa³, a¿ siê urwa³, gdy malarz prezentowa³ puste p³ótno, albo rzeŸbiarz wyku³ w granicie kibel. Mimo, ¿e jestem zwolennikiem pewnego elitaryzmu, a tak¿e pog³êbionego dystansu miêdzy np. pisarzem i czytelnikiem, to pewnych granic nie da siê przekroczyæ (dystans ów nie mo¿e mieæ w sobie znamion nieskoñczonoœci), i to z kilku powodów. W sztuce mimo wszystko obowi¹zuj¹ pewne standardy – choæby umiejêtnoœci czysto rzemieœlnicze, bez osi¹gniêcia których nie da siê nic uczyniæ. Artyzm jest „duszn¹" nadbudow¹, konstruktem wzniesionym na fundamencie ma³pich sprawnoœci – to ³czy wszystkich twórców. Nadto wzrastamy w tym samym spo³eczeñstwie, pos³uguj¹cym siê podobnym kodem, podobn¹ ikonografi¹ – z tego siê wyjœæ nie da ot tak, bez ryzyka be³kotu, mo¿e nawet szaleñstwa. Dotyka to w równym stopniu autorów i odbiorców – wszyscy funkcjonujemy w zunifikowanej przestrzeni znaków; i nic na to nie poradzimy.

Jak pisze cynicznie, lecz przytomnie Ralph Linton w dziele „Kulturowe podstawy osobowoœci": *Pomyœlne przygotowanie jednostki do zajmowania okreœlonego miejsca w spo³eczeñstwie zale¿y od* ***stopnia standaryzacji*** (podkreœl. moje) *zachowañ jego cz³onków. Takie standardy zachowania antropologowie nazywaj¹ wzorami kulturowymi. Bez nich ¿adne spo³eczeñstwo nie mog³oby funkcjonowaæ ani przetrwaæ.* Dlaczego nie mog³yby przetrwaæ? Oto odpowiedŸ Lintona: *To, ¿e wiêkszoœæ cz³onków spo³eczeñstwa bêdzie w danej sytuacji reagowa³a w okreœlony sposób, umo¿liwia ka¿demu przewidywanie ich zachowania ze znacznym stopniem prawdopodobieñstwa, choæ nigdy z absolutn¹ pewnoœci¹. Przewidywalnoœæ ta jest warunkiem wstêpnym ka¿dego rodzaju zorganizowanego ¿ycia spo³ecznego.*

Zatem standaryzacja umo¿liwia nam futurologiê socjologiczn¹ na niewielk¹ skalê. Bez przewidywalnoœci zachowañ cz³onków spo³eczeñstwa niemo¿liwe by³yby jakiekolwiek struktury spo³eczne – to oczywista konstatacja. Role spo³eczne, jakie przyjmujemy, narzucaj¹ pewne standardy zachowañ – st¹d powszechne niedowierzanie, wrêcz szok, gdy psychoterapeuta lub ksi¹dz zachowuj¹ siê niezgodnie z przyjêtymi powszechnie wzorami. WyobraŸmy sobie, ¿e pan Szyda, miast obiecanych stu piêciu piw, stawia mi czterdzieœci Napoleonów – jako odbiorca takiej propozycji, móg³bym doznaæ szoku poznawczego. Mo¿e nawet bym wypi³.

To natomiast, co dzieje siê w tak zwanej „rzeczywistoœci postnowoczesnej" jest oznak¹ swoistej „erozji pewnoœci". Daniel Bell („Kulturowe sprzecznoœci kapitalizmu") analizuj¹c sztukê modernistyczn¹, dostrzeg³ jej paradoksy: *Banalne stwierdzenie, ¿e awangarda dziœ ju¿ nie istnieje i ¿e znik³o radykalne napiêcie miêdzy now¹ sztuk¹, która szokuje, a spo³eczeñstwem, które jest szokowane, oznacza w³aœnie zwyciêstwo awangardy. Spo³eczeñstwo bez reszty akceptuj¹ce innowacje, radoœnie przyjmuj¹ce ka¿d¹ zmianê, zinstytucjonalizowa³o awangardê i zobowi¹za³o j¹ – byæ mo¿e ku jej zgubie – do produkowania wci¹¿ czegoœ nowego*. Dodajmy – ostateczne zwyciêstwo awangardy okaza³o siê jej ostateczn¹ klêsk¹.

Pamiêtam, recenzowa³em w takim marginalnym obecnie pisemku („Nowa Fantastyka" bodaj) ksi¹¿kê Coelho „Alchemik". Mam wra¿enie, ¿e by³a to chyba pierwsza recenzja z jego ksi¹¿ki w tym kraju, jeszcze przed tym irracjonalnym boomem, który go nastêpnie dotkn¹³, biedaka. Ksi¹¿ka by³a nadzwyczajnie g³upia, wiêc przeczuwa³em, ¿e zrobi w Polsce karierê. Jej przes³anie zaœ by³o takie, ¿e ka¿dy cz³ek jest niepowtarzalny, czyli niestandardowy; i ka¿dy ma do osi¹gniêcie jakioe nadzwyczajny cel – nieliczni osi¹gaj¹, bo reszta jest pogr¹¿ona w mentalnym odrêtwieniu. Tak sobie pomyœla³em, ¿e gdyby wszyscy siê ocknêli, to dopiero byœmy tu mieli raj, czyli bal. Wszyscy jêliby kleciæ poezje, albo ruszyliby na biegun po³udniowy w celu potwierdzenia swych wysokich aspiracji. I tylko nikt by nie budowa³ domów i dzieci nie p³odzi³, bo po co w³aœciwie? Ale, ale – czyœmy siê do tej wizji aby nie zbli¿yli?

W ka¿dym razie, jak siê zdaje, ¿yjemy w spo³ecznoœci zwichrowanej, ju¿ bez wyraŸnych systemów odniesieñ, ju¿ bez jednolitych wartoœci. Zapewne jeszcze zatêsknimy za standardami. Tyle, ¿e bêdzie ju¿ oczywiœcie za póŸno.

radio free NF nadaje....radio free NF nadaje

Beata Dro - Dranikowska

NARODZINY

rys. Pawe³ Piechnik

Dla Gosi i Mateusza w œrodku

I dream of rain
I dream of gardens in the desert sand
I wake up in pain
I dream of love
as time runs through my hands
Sting

Tylko Bóg kocha nas prawdziwie.
Wszystko inne to ¿¹dza i prywata.
J. Winterson

By³am bliska odkrycia nowego boga, gdy ktoœ zacz¹³ waliæ w drzwi. Poruszy³am siê gwa³townie, a woda wokó³ mnie zafalowa³a. Zburzy³ siê otaczaj¹cy mnie spokój, znowu odbieraj¹c nadziejê na zrozumienie tego powtarzaj¹cego siê – tylko wtedy - natarczywego, podwodnego szeptu. Szybko wynurzy³am siê, przebijaj¹c powierzchniê wody jak delikatn¹ b³onê p³odow¹. Moje d³ugie w³osy, które pod ni¹ otula³y mi szyjê i twarz jak miêkka chusta, teraz lepi³y siê do skóry niczym cienkie, oœliz³e wê¿e. Z cichego, miêkkiego œwiata wynurza³am siê w brudn¹, zbyt jasn¹ i wyraŸn¹ jak ostrze rzeczywistoœæ.

T³uk³a piêœciami w drzwi, wrzeszcz¹c niemi³osiernie:

- Do jasnej cholery, wy³aŸ wreszcie z wanny!!! Blokujesz ³azienkê na ca³e godziny, przecie¿ to mo¿na sza³u dostaæ! Ja te¿ potrzebujê siê umyæ od czasu do czasu, ale ty, jak zwykle, myœlisz tylko o sobie!!

Otworzy³am jej szybko drzwi, naga i ociekaj¹ca wod¹. Sta³a tu¿ przede mn¹, chuda, blada, zdenerwowana. Chyba speszy³ j¹ widok mojego potê¿nego, br¹zowego, b³yszcz¹cego cia³a.

- No wiesz! - uciszy³a siê, ale us³ysza³am wyrzut w jej g³osie. - Przesadzasz z tymi k¹pielami. Spêdzasz w ³azience ca³e dnie. Bywa, ¿e noce. To chore. Wcale nie jest tak gor¹co, jak sobie wmawiasz. - przemawia³a do mnie ³agodnie jak do dziecka. - Nie znam nikogo, kto robi³by z upa³u taki dramat, jak ty. - doda³a jeszcze, zamykaj¹c za sob¹ drzwi.

Po³o¿y³am siê na ³ó¿ku i w³³czy³am telewizor. Ca³e szczêœcie, ¿e poœciel jeszcze nie wysch³a, odk¹d ostatni raz pola³am j¹ wod¹.

W telewizji by³y akurat wiadomoœci - kolejne rekordy temperatur, liczba udarów i poparzeñ s³onecznych, po¿ary i ewakuacje, obrazy zdychaj¹cych z pragnienia dzikich zwierz¹t i p³on¹ce po³acie lasów. Na œwiecie panowa³a rozpasana, bia³a, bezkarna bestia - upa³. Nienawidzi³am upa³u; sprawia³, ¿e dni by³y zbyt suche i gor¹ce, ¿eby ¿yæ normalnie.

Wszystko wysycha³o. Deszcz nie pada³ od d³u¿szego czasu. Nie mog³am sobie nawet przypomnieæ, kiedy ostatni raz czu³am w powietrzu szumi¹ce sznury wilgoci, krople nieba na skórze... Wydawa³o mi siê, ¿e od tamtej pory minê³y wieki, a ja ¿y³am przez te stulecia, powoli staj¹c siê wysuszon¹ ze wszystkiego mumi¹, otêpia³¹ i spowolnia³¹ od temperatury i ciê¿aru suchego powietrza.

Z wody zosta³am stworzona i w wodzie siê urodzi³am. Uwa¿am, ¿e mimo wszystko jest na tym œwiecie parê œwiêtych rzeczy: rzeczy maj¹cych w sobie skoñczon¹ czystoœæ, rzeczy pe³nych krystalicznej doskona³oœci, spokoju i dostojeñstwa. Tak jak woda, w której zanurzenie siê wystarczy, aby staæ siê tylko i wy³¹cznie oddechem, lekkim i przezroczystym. Rozk³adam wtedy wolno ramiona i czujê, jak moja dusza zamienia siê w srebro. Mój nieznany bóg zaczyna wtedy do mnie przemawiaæ, cicho i niewyraŸnie. Nie ma jednak na tyle cierpliwoœci, ¿eby skoñczyæ.

Kiedy zachodzi³o s³oñce, wielkie i br¹zowe, robi³o siê trochê ch³odniej i czasami wychodzi³am z domu. Gêste powietrze rozœwietla³y z oddali œwiat³a wielkiego miasta. Sz³am boso po suchej, piaszczystej drodze, brodz¹c w ob³oczkach jasnego py³u. Chodzi³am do koœcio³a pomodliæ siê o deszcz.

Du¿y, zniszczony budynek bez po³owy jednej szarawej œciany i kawa³ka dachu. Przez wielkie, ¿elazne, zwykle pó³otwarte drzwi wchodzi³o siê do przestronnego pomieszczenia, gdzie wala³y siê kupy gruzu i drewna, a na samym œrodku le¿a³ potê¿ny pieñ z³amanego drzewa. Suche korzenie stercza³y wokó³ niego niby smutna korona, wbijaj¹c siê w powietrze niczym martwe, poskrêcane macki. W wielkich oknach tkwi³y resztki wyp³owia³ych witra¿y, które rozprasza³y œwiat³o ksiê¿yca wpadaj¹ce do œrodka.

Lubi³am tu przychodziæ. Wyobra¿a³am sobie, ¿e po³knê³am sam¹ siebie i ¿e jestem w swoim wnêtrzu. Powietrze by³o tu inne - starsze, nieruchome, powa¿ne.

Nie bardzo wiedzia³am, jak siê zachowaæ, w koñcu tego starego, mêskiego boga nie zna³am zbyt dobrze. Stawa³am na œrodku, zamyka³am oczy, podnosi³am wysoko rêce. MODLÊ SIÊ O DESZCZ.

Nigdy nic siê nie dzia³o. Mo¿e nie s³ysza³ mnie, albo nie rozumia³? W koñcu by³am niemow¹, nie mog³am wypowiedzieæ na g³os swojej proœby.

Kiedy wraca³am do domu, zazwyczaj p³aka³a. Le¿a³a na naszym wielkim ³ó¿ku i tul¹c siê do poduszki, ³ka³a g³oœno, otaczaj¹c g³owê chudymi ramionami.

„Nie chcê ju¿ ¿yæ. Jestem pusta w œrodku. Ca³y œwiat jest wybrakowany. Nie mam nikogo, kogo naprawdê mog³abym mieæ.”

Czasami wpada³a w sza³ i krzycza³a przez ³zy:

„Nawet ty mnie nie kochasz, ty samolubna kurwo! Nie rozumiesz mnie w ogóle! Mog³abyœ siê chocia¿ raz odezwaæ, rozmawia³ybyœmy, s³ucha³abym ciebie! Ale ty w kó³ko ten deszcz i deszcz, niech do cholery zacznie padaæ, mo¿e wreszcie przemówisz!”

Czeka³am, a¿ siê uspokoi, i usypia³am j¹ w swoich ramionach - zmêczone bezsensown¹ histeri¹ dziecko. Jej oczy by³y pe³ne pustki i bólu, szepta³a : „Na œwiecie nie ma ani kropli mi³oœci”.

Krople.

„Na œwiecie nie ma ani... **k r o p l i** ...” - potwierdza³am w myœlach.

W przeciwieñstwie do mnie, by³a bardzo lubiana, pomimo swojej nerwowoœci, zmiennych nastrojów i z³oœliwoœci. To by³o dla mnie zastanawiaj¹ce - nie by³o w niej nic sta³ego, nic, na czym mo¿na by³oby siê oprzeæ, czemu mo¿na by³oby zaufaæ. Rozsiewa³a wokó³ siebie niepokój jak zarazki jakiejœ groŸnej choroby. By³a brzydka, kapryœna, wymagaj¹ca i neurotyczna, ale przy tym uczuciowa i wrêcz uzale¿niona od towarzystwa ludzi. Ja natomiast by³am spokojna, powolna, raczej stroni³am od innych, godzinami blokowa³am ³azienkê - no i nie mówi³am. Ale to ona zawsze cierpia³a. Mo¿e to tajemnicze cierpienie przyci¹ga innych? Czekanie z niepokojem na coœ, czego nawet nie mo¿na nazwaæ? Faktycznie, czeka³a na coœ, jak ja na swój deszcz. Czasami mówi³a mi o tym przez ca³¹ noc, le¿¹c przytulona do mego boku. Obejmowa³am j¹ ramieniem, g³adzi³am jasne, cienkie w³oski, d³ug¹ szyjê, chude ramiona, wystaj¹ce obojczyki i ¿ebra. Patrzy³a b³yszcz¹cym, nieobecnym wzrokiem, jej ostre rysy na zbyt szczup³ej twarzy

wyg³adza³y siê nieco. Ca³owa³a mnie w usta, czu³am ka¿dy drgaj¹cy pod jej cienk¹, blad¹ skór¹ nerw. Jasna noc dawa³a niebieskie œwiat³o. Wzdycha³a i mówi³a: „Jesteœmy razem od zawsze, ale nawet ty nie mo¿esz mnie uratowaæ. Mo¿emy siê dotykaæ, kochaæ, ale nikt nie zdo³a dotrzeæ do mego wnêtrza. Mia³aœ racjê, ca³y œwiat jest naprawdê **s u c h y**. Ani kropli mi³oœci."

Krople, krople.
Ani kropli.

W swojej wielkiej ³askawoœci spojrza³em na dwie istoty na jednym z nêdzniejszych œwiatów, który nie tylko dawno o mnie zapomnia³, ale te¿ nie zada³ sobie trudu, aby nadaæ mi nowe imiê. Wznosi³y modlitwy - ta jedna na g³os, bezwiednie, ta druga - w ciszy i œwiadomie. To zmusi³o mnie, ¿ebym w koñcu zacz¹³ na nie patrzeæ.

Obie by³y wzruszaj¹ce, takie bezradne, przera¿one i samotne. Zacz¹³em ich s³uchaæ jakiœ czas temu; do jednej z nich, tej o piêknych, zwierzêcych, ciemnych oczach, zacz¹³em nawet po cichu przemawiaæ, aby próbowa³a mnie odnaleŸæ. Zbli¿a³a siê coraz bardziej, nigdy jednak nie pozwoli³em jej przekroczyæ bezpiecznego dystansu. Nie chcia³em zostaæ ponownie odkryty, obci¹¿ony znów mas¹ niepotrzebnych, nu¿¹cych obowi¹zków. To by³o doœæ zabawne - taka gra w chowanego. Obserwowa³em je z coraz wiêkszym zaciekawieniem, a ich modlitwy nie pozwala³y mi odejœæ. To stawa³o siê mêcz¹ce, a poza tym czu³em siê coraz bardziej zaanga¿owany. Nie chcia³em czuæ ich bólu, têsknoty, nie mog³em znieœæ tego bezimiennego wyczekiwania. Wiedzia³em jednak, ¿e ani planeta, na której ¿yj¹, ani one same, nie przetrwaj¹ d³ugo, je¿eli nie zostawiê na nim chocia¿ cz¹stki siebie. Ten œwiat potrzebowa³ nowego boga i nowej religii, nazwanej jakkolwiek, czy mi³oœci¹, czy m¹droœci¹, czy œwiat³em, wod¹, wiatrem, deszczem... Albo wszystkim naraz... To akurat nigdy nie mia³o znaczenia. Musia³em wype³niæ tê pustkê.

Którejœ nocy, kiedy widzia³em je z góry, a ka¿dej z nich po policzku sp³ywa³y te same ³zy, nie wytrzyma³em d³u¿ej i sprawi³em, aby ka¿da dosta³a to, czego chcia³a. Potem mog³em ju¿ odejœæ, nie niepokojony d³u¿ej przez ich modlitwy, zostawiaj¹c ich œwiat pod dobr¹ opiek¹,.

Pewnego dnia spad³ deszcz. Huragan zerwa³ dach z naszego domu. Krzycza³am ze szczêœcia, widz¹c, jak pod strugami gwa³townej ulewy szarobury œwiat nabiera barw, g³êbi; jak staje siê soczysty i jak wype³nia go upragniona wilgoæ. Sta³am naprzeciw deszczowego nieba, w naszym zniszczonym domu jak pod dziurawym parasolem, a mój potê¿ny, wysoki g³os unosi³ siê pod ciemnoniebieskie chmury. Gdzieœ obok s³ysza³am j¹. Wirowa³am w œrodku wiatru, czu³am rozkosz i dreszcze, których nigdy dot¹d nie zazna³am. Powietrze gêstnia³o, i - staj¹c siê wod¹ - otacza³o mnie niby miêkki, mokry aksamit. Zanurza³am siê coraz g³êbiej, unosz¹c siê w metalicznej, b³êkitnej, szemrz¹cej otch³ani ciszy. Nagle poczu³am œwiêtoœæ wpe³zaj¹c¹ do mojego wnêtrza. Podnios³am g³owê i ponad powierzchni¹ spienionej wody zobaczy³am oczy mojego boga.

Ale on nie patrzy³ na mnie.

Teraz ona le¿y w ³ó¿ku i ogl¹da telewizor, a ja robiê jej herbatê. Dach mamy ju¿ od dawna naprawiony. Nie przestajê mówiæ, moje gard³o jest silne i mokre. Opowiadam jej o wszystkim, o wszystkim, o czym myœlê, i co czujê. Œwiat bardzo siê zmieni³. Dla nas. Spogl¹da na mnie, jest spokojna, piêkna, uœmiechniêta, wreszcie nie taka przeraŸliwie chuda. Jest szczêœliwa. Obejmuje d³oñmi swój ogromny, okr¹g³y brzuch. Swój niepokalany i ci¹gle dziewiczy brzuch z dzieckiem w œrodku.

Beata Dranikowska
wrzesieñ 1999

JA, MUTANT

Jako ¿e uwa¿am siê za osobê doœæ niewydarzon¹, nada³am sobie ostatnio przydomek „Mutant". Okaza³o siê, ¿e œwiat widziany okiem mutanta znacznie siê ró¿ni od tego widzianego okiem zwyk³ej niewydarzonej osoby. Mutant bowiem z definicji wyrzucony jest poza nawias spo³eczeñstwa. Nie musi siê do nikogo wdziêczyæ, b³agaj¹c lub ¿¹daj¹c, by go uznano za cz³owieka, tylko sobie stoi z boczku i patrzy.

Jedn¹ z rzeczy, jakie dostrzega nasz mutant, jest iloœæ i rola mutantów w literaturze, ca³kiem inna od tej, jaka ma miejsce w ¿yciu. Karty ksi¹g zape³niaj¹ postacie odrzucone i wyklête z powodu swej innoœci, które na koñcu ratuj¹ œwiat. Ostatnio najpopularniejszym jest Harry Potter, hañba rodziny Dursleyów. Dopóki nie dosta³ zaproszenia do Hogwartu, nie mia³ pojêcia o swojej mutantowatoœci. Ale wujostwu wystarczy³o, ¿e wyczuwali w nim „coœ dziwnego", by jeŸdziæ po nim jak po ³ysej kobyle. W *Poczwarkach* Wyndhama grupka uzdolnionych telepatycznie dzieci musi siê ukrywaæ, by nie zostaæ unicestwiona jako wybryki natury (termin „mutant" jest tu szczególnie zasadny, rzecz bowiem dzieje siê po wojnie nuklearnej, której pok³osiem jest rodzenie siê wielu zmutowanych istot; do takich te¿ zostaj¹ zaliczeni nasi bohaterowie).

rys. ¯yleta

Mutant to po prostu cz³owiek dotkniêty jak¹œ skaz¹. Tyle ¿e to, co po tej stronie lustra jest skaz¹, tam, na kartach ksi¹¿ki, zwykle zmienia siê w dar. Ewa Bia³o³êcka w *Tkaczu iluzji* pokusi³a siê o interpretacjê (nie pierwsz¹ pewnie) tego zjawiska: jeœli masz coœ, co ciê wynosi ponad innych, musisz te¿ mieæ coœ, w czym jesteœ od nich gorszy. Czêsto jest to ta sama rzecz. Czarownica w ksi¹¿ce jest czarodziejk¹, szaleniec – wieszczem. Lub mesjaszem. Sk¹d ta sympatia autorów (i czytelników) do mutantów? Czy¿by by³a za ni¹ odpowiedzialna ta cz¹stka ich dusz, która nie identyfikuje siê z norm¹? Czy¿by w ka¿dym z nich ¿y³ ukryty mutant, którego wypuszczaj¹ na spacerniak tylko po godzinach, gdy bezpiecznie zasiadaj¹ z kawk¹ nad ksi¹¿k¹?

Przyklaskuj¹ mutantowi, gdy zwyciê¿a, ale (¿e tak zrymujê) nie daj¹ mu orê¿a. Ha! Nic dziwnego, ¿e niektórzy dostrzegaj¹ sprzecznoœæ i zaczynaj¹ pisaæ ksi¹¿ki o mutancie zgnêbionym lub mutancie-Kasandrze. Dobrym i przewrotnym przyk³adem historii o mutancie-Kasandrze jest film *Oszukaæ przeznaczenie*. Nie doœæ, ¿e nikt nie wierzy bohaterowi, gdy ten ma wizjê, ¿e samolot siê rozbija, to jeszcze po fakcie staje siê g³ównym podejrzanym o spowodowanie katastrofy.

O mutancie zgnêbionym lepiej nie mówiæ, bo napisano o nim tyle, ¿e a¿ siê czytaæ nie chce. Bo i po co? Po co mi przechodziæ na drug¹ stronê lustra, ¿eby tam ujrzeæ to samo, czego pe³no mam tutaj? Jeœli ksi¹¿ka jest dobrze napisana, zawsze warto j¹ przeczy-

taæ. Bardziej jednak krêc¹ mnie dzie³a, w których co najmniej duch triumfuje, nawet gdy cia³o pada martwe. A ju¿ najbardziej lubiê te, w których i duch, i cia³o maj¹ siê dobrze. Po tej stronie lustra nie ma zbyt wiele karmy dla mutantów, wiêc jeœli chce siê utrzymaæ swojego stwora przy ¿yciu, trzeba j¹ przynosiæ z tamtej strony. Historie pokroju *Harry'ego Pottera* takiej karmy nam dostarczaj¹. Nie jest to jedyny powód mojego uwielbienia dla Harry'ego, bez w¹tpienia jednak mia³abym mniej sympatii dla pani Rowling, gdyby w ostatnim tomie przyszed³ Voldemort, zrobi³ ró¿d¿k¹ „pyk" i go zabi³. Na szczêœcie mo¿na przewidzieæ z niemal 100% pewnoœci¹, ¿e tak siê nie stanie. Czytelnicy by na to nie pozwolili, tak jak kiedyœ nie pozwolili na uœmiercenie Sherlocka Holmesa (te¿ lekkiego mutanta).

Jedna z moich ulubionych historii o mutantach pochodzi ze œwietnego filmu *Paradox Lake*. Jest tam autystyk, który rysuje spadaj¹ce samoloty. Zawsze gdy ma miejsce katastrofa lotnicza, ch³opak na podstawie pokazanej w telewizji migawki potrafi ze szczegó³ami odtworzyæ obraz rozpadaj¹cej siê maszyny. Kr¹¿y nawet plotka, ¿e jeden z rysunków w jego kolekcji zosta³ wykonany... na dwa dni przed katastrof¹.

Mutant

RECENZJA

Krzysztof G³uch

Unifikacja po Riddickowemu

Pos³uchajcie tego:

S¹ armi¹ niepodobn¹ do ¿adnej innej. Prowadz¹ krucjatê wœród gwiazd, w poszukiwaniu pod-wszechœwiata - ich ziemi obiecanej. Nazywaj¹ ich Necromongerami. I jeœli nie bêd¹ mogli ciê nawróciæ, zabij¹ ciê. Prowadzi ich Lord Marshall. Samotnie odby³ pielgrzymkê przez wrota pod-wszechœwiata. I wróci³ jako inna istota. Silniejszy, bardziej obcy. W po³owie ¿ywy, w po³owie bêd¹cy czymœ innym.

Jeœli mamy przetrwaæ, musi byæ ustanowiona nowa równowaga. W zwyk³ych czasach z³o zosta³oby pokonane przez dobro. Ale w czasach takich jak obecne wszystko zostanie zniszczone przez nowy rodzaj z³a

Albo tego:

- W tym wszechœwiecie ludzie zostali rozbici na grupy, podzieleni na wiele ras, wyznañ i b³êdnych wierzeñ. Naszym celem jest naprawa tych b³êdów. Ponieważ istnieje inny wszechœwiat, odkryty przez Niego, gdzie ka¿dy mo¿e zacz¹æ od pocz¹tku, gdzie mo¿ecie ¿yæ wolni od bólu. Nowe, doskona³e miejsce zwane pod-wszechœwiatem.

Rozejrzyjcie siê dooko³a siebie. Ka¿dy Necromanger w tej Sali, wszyscy wierni legioniœci, którzy zmietli wasz¹ obronê w jedn¹ noc, byli kiedyœ tacy sami jak wy. Walczyli równie s³abo jak wy. Ale ka¿dy Necromanger jaki dziœ ¿yje, zosta³ kiedyœ nawrócony.

Wszyscy zaczynaliœmy jako coœ innego. S³owa, które do was mówiê, by³y dla mnie równie trudne do zaakceptowania, ale zmieni³em siê. Pozwoli³em im zabraæ mój ból

- Zdradzi³eœ swoj¹ wiarê!

- Zmieni³em siê. Tak samo jak zmienicie siê wy, kiedy uœwiadomicie sobie, ¿e do pod-wszechœwiata, mog¹ dotrzeæ tylko ci, którzy ju¿ teraz padn¹ na kolana i poprosz¹ o oczyszczenie.

rys. yleta

Oto, jak dobrze siê zapowiada film, który w³aœnie wszed³ na nasze ekrany - „Kroniki Riddicka"! Jak ula³ pasuje do tematu obecnych *Innych Planet*. Jest to historia banity - mordercy z rodu Furionów, który jak nakazuje d³uga pisarska tradycja, zosta³ wpl¹tany w zamieszanie, które wstrz¹snê³o ca³ym œwiatem, a mia³o na celu nie mniej ni wiêcej, tylko unifikacjê, i to w dodatku duchow¹!

Film, jak siê zdaje, to nie jest ¿adna ekranizacja komiksu, ani ¿adne ¿erowanie na utworach Asimova b¹dŸ Dicka. Jest to historia autorska, kontynuacja opowieœci z ciekawego (ponoæ) fillmu „Pitch Black". Ten autonomiczny Riddicko-œwiat jest wart polecenia. Jego g³ówn¹ osi¹ jest postaæ kreowana przez aktora Vina Diesela (znanego z raczej podejrzanych filmów - „Szybcy i wœciekli", „XXX"). Jak wiêkszoœæ gwiazdorów, ma on swoje maniery - w ka¿dym filmie pokazuje swoje musku³y spod podkoszulka bez rêkawków. Ale trzeba przyznaæ, ¿e kreuje naprawdê ciekaw¹ postaæ - enigmatycznego, nieugiêtego wojownika o stalowych nerwach, który cierpi na kompleks Thorgala (wszyscy coœ od niego chc¹, ale wcale nie vice versa).

Artystyczny rozmach Riddicko-œwiata jest naprawdê wart polecenia. To nie ¿adne udawanie. To prawdziwa, piêkna i mroczna wizja. O wiele bardziej mroczna ni¿ niejakie s³ynne widmo. O wiele bardziej piêkna, ni¿ pokazy lataj¹cych sterylnych pude³eczek w filmach dla panienek typu „I, Robot" lub „Raport Mniejszoœci". Tutaj mamy pe³nokrwist¹, brudn¹, epick¹, malarsk¹, mocn¹ Science Fiction.

Nie ma co ukrywaæ, ¿e w filmie tym jedn¹ z g³ównych ról odgrywaj¹ kopniaki rozdawane na prawo i lewo przez Riddicka, jego kolegów, kole¿anki i oponentów. Jest to jednak wywa¿ony balet o odpowiednich proporcjach. Poza kopniakami, syc¹ce dla umys³u widza jest starcie ró¿norodnych, przewijaj¹cych siê przez ekran charakterów. Mamy tu makbetowski dramat po¿¹dania w³adzy (w g³ównych rolach K.Urban, znany nam z roli Eomera oraz oskarowa Thandie Newton), mamy ³owców g³ów, renegatów, przodowników wiêziennictwa, wieszczkê, imperatora, ma³e dziecko, którego niewinnoœæ wa¿y o losach planety, zapodzian¹ niewiastê, która odrodzi³a siê, jako kto inny, mamy nawet wallenrodycznego dowódcê i conanowskiego pomazañca.

To, co jest s³aboœci¹ filmu, wynika z jego ambicji. Wspomniane powy¿ej fragmenty zapowiadaj¹ coœ rewelacyjnego - walkê o duchow¹ supremacjê we wszechœwiecie, wojnê religijn¹. Niestety temat ten byæ mo¿e jest nawet niemo¿liwy do porz¹dnego zaprezentowania. St¹d pora¿ka, polegaj¹ca na tym, ¿e walka duchowa sprowadza siê do wymiany kopniaków.

Ale myœlê, ¿e warto, ech warto popatrzeæ.

Na koniec jeszcze takie s³owa ofiary do swego kata, pochodz¹ce z filmu:

Dla mnie bêdzie ¿ycie po tym ¿yciu. Czy bêdzie te¿ dla Ciebie?

***Kroniki Riddicka*, Universal, scen./re¿. David Twohy, USA 2004.**

Pawe³ Ostrowski

Nie mogę istnieć bez narzekania

Jest niefajnie. Uderzy³em siê w ³okieæ (boli jak jasna cholera), a nadto zmuszony by³em pracowaæ w Wielki Pi¹tek do 19. Ca³e zastêpy idiotów¹ domaga³y siê ode mnie zajêcia siê ich idiotycznymi sprawami, najczêœciej nie proponuj¹c w zamian zap³aty. Moja pani jest chora, nie mo¿e od paru tygodni wyleczyæ gard³a; moje oko dzielnie sekunduje. Kurwa. Nie mogê istnieæ bez narzekania? Nie mogê.

Ale kto mo¿e. Rozejrzyjmy siê zreszt¹. **Lepper u bram**. Piszê te s³owa jeszcze pod premierur¹ (tak to siê nazywa?) Leszka Millera, czeka premier-elekt Belka, ale jednak Lepper. Wyœmienita perspektywa, znaleŸæ siê po rz¹dami sprytnego chama z ryjem czerwonym jak paski na jego krawacie. Je¿eli wierzyæ analizie, jak¹ przeczyta³em onegdaj w „Rzeczpospolitej”, jego rz¹dy nie potrwa³yby d³ugo, albowiem realizacja programu monetarnego „Samoobrony” doprowadzi Polskê w dwa tygodnie do bankructwa. Inna rzecz, czy Przewodnicz¹cy ma w ogóle zamiar go wprowadzaæ w ¿ycie; gdyby takie niebezpieczeñstwo naprawdê istnia³o, ju¿ Kulczyk z Gudzowatym rozrzucali by pieni¹dze miêdzy wszelkie partie mog¹ce popularnoœci Samoobrony zaszkodziæ, albo profilaktycznie przenosiliby interesy na Kajmany. O niczym takim nie s³ysza³em, zatem Lepper rekinów finansjery rozliczaæ jednak nie zamierza? Zast¹pienie jednej próbuj¹cej siê przy ka¿dej okazji nachapaæ sitwy inn¹ tak¿e nie uwa¿am za perspektywê mi³¹, a przynajmniej tolerowaln¹; czyli jednak narzekamy. Tomasz Pacyñski w swej sk¹din¹d niez³ej powieœci „Sherwood” bezlitoœnie ustami swych bohaterów przepowiada: blokadê na drodze z kmieciami robiæ mo¿na, ale potem kmiecie won, a my tu do sto³u siadamy z jaœniepañstwem.

Ale kit z tym. Polityka krajowa dosyæ jednak blednie w obliczu wojny œwiatowej. Nie jest to wojna tradycyjna, chocia¿ (jeszcze?) konwencjonalna. Jest niesymetryczna, choæ równo z obu stron niewypowiedziana. Z punktu widzenia Amerykanów jest wojn¹ z terroryzmem (war on terrorism), choæ nale¿a³oby raczej powiedzieæ, ¿e jest wojn¹ terroryzmu z ca³ym œwiatem, toczon¹ bez linii frontu, ale z czytelnym podzia³em Zachód (choæ w³aœciwie Pó³noc) vs kto?... Al.-Qaida, islamiœci, talibowie? Podstawcie wszystkie te nazwy, ka¿da bêdzie prawid³owa. To walka kultur, nie narodów, ani nawet religii. Trwa ju¿ na ca³ym œwiecie, ciche spiski przeplataj¹ siê z hukiem wybuchów, cel mo¿e znajdowaæ siê wszêdzie - od Anchorage po Sydney. Wszystko i ka¿dy, byle kojarzy³ siê z „zachodnim” stylem ¿ycia, który – i tu paradoks – obejmuje zarówno popisy rolkarzy w LA, jak i modlitwê u Œciany P³aczu. Niedoceniania zagro¿enia jest ju¿ przejawem krótkowzrocznoœci, je¿eli ju¿ nie g³upoty. W pewnym sensie uderzenie na Irak by³o form¹ uprzedzenia ataku, os³abienia wroga tam, gdzie mo¿e on uwiæ swoje zbójeckie gniazdo. Wojna nie zakończy siê wygran¹ jednej ze stron w perspektywie nastêpnych wyborów, roku, dekady; jeszcze potrwa. G³upot¹ jest natomiast z pewnoœci¹ wyobra¿anie sobie, ¿e wyprowadzenie wojsk z Iraku (na ten przyk³ad proszê kogo) usunie nas z listy wrogów; najwy¿ej przesunie na ni¿sz¹ lokatê. Dosyæ dyrdyma³ów o wielokulturowoœci, proszê Państwa; tu chodzi o to wolnoœæ naszych dzieci, naszych wnuków – i wolnoœæ w najszerszym s³owa tego znaczeniu, wolnoœæ „od”, nie wolnoœæ „do”. Wolnoœæ od rz¹dów tych, dla których obraz¹ jest naga twarz mê¿czyzny, o kobiecie na ulicy nie wspominaj¹c. Paradoksalnie, islam – nawet najbardziej zmobilizowany – nie jest zagro¿eniem dla swobody wyznawanej, byle w miarê prywatnie, religii (Koran czci Jezusa jako „najnieskazitelniejszego z proroków”), ale ¿¹da podporz¹dkowania wszystkich prócz wiary sfer ¿ycia. Nie o wyznanie wiary chodzi, lecz o umi³owanie wolnoœci jednostki, z której tak czêsto z³y uczynek robimy, ale której wyrzeczenie siê nie przyjdzie nam ³atwo. Nie bêdzie ³atwiej lewicowemu laikowi z Francji czy Hiszpanii; gromkie potêpienie „amerykañskiej agresji” wobec Iraku nic nie da, da równie ma³o, co siedzenie jak mysz pod miot³¹. Nas z kolei terroryœci mogli sobie dot¹d myliæ z Norwegi¹, lecz ten czas minie, prêdzej, czy póŸniej.

„Jeœli chcesz wiedzieæ prawdê – odpar³ Gandalf – myælê, ¿e jak dot¹d – zauwa¿: jak dot¹d! – wcale nie spostrzeg³ istnienia hobbitów. Powinniœcie siê z tego cieszyæ. Ale era bezpieczeñstwa siê dla was skończy³a. On was nie potrzebuje – ma doœæ s³ug i to bardziej u¿ytecznych – lecz ju¿ teraz o was nie zapomni. Wola³by widzieæ hobbitów w nieszczêœciu i pod jarzmem ni¿ szczêœliwych i wolnych. Pamiêtaj, ¿e istnieje na œwiecie z³oœliwoœæ i zemsta.”[2] **Bloody Orks (or Arabs, whatever), nuke’em all.**

Tak wiêc nie czujê siê komfortowo, o nie. Zgrzytam zêbami myœl¹c o „po¿ytecznych idiotach”[3], którzy nara¿aj¹ wolnoœæ moich dzieci wdziêcz¹c siê do zwolenników bin Ladena. Nie jest weso³o. Tu ³okieæ, tam Lepper, wojna œwiatowa w tle – jak tu czuæ siê komfortowo?

No i gdzie tu fantastyka, Ostry, gdzie tu fantastyka?

Fantastyka?

Tu nie.

Ale, z innej strony, nie ma co siê dziwiæ. Przysz³oœæ jest z natury nieprzeniknikona, mówi najbardziej optymistyczne ze znanych mi powiedzeñ. Fantastyka jedynie generuje niektóre z jej niedoskona³ych wyobra¿eñ. Jak tu jednak fantazjowaæ, kiedy cz³owiek rozgl¹daj¹c siê wokó³ ma ochotê najwy¿ej za³amaæ rêce i wznieœæ oczy ku niebu? Co za czasy, co za obyczaje, mili Pañstwo?

Takie jak zwykle.

„O tempora! o mores!” perorowa³ bowiem Cyceron, ¿yj¹cy, przypominam, w latach 106 – 43 p.n.e. I nie by³, bynajmniej, w swoich pogl¹dach odosobniony. Czasy by³y niespokojne; instytucje s³awnej republiki chwia³y siê w posadach. Dodaæ trzeba, ¿e okres by³ to doskona³y dla wszelkiej maœci politycznych kombinatorów, wiecowych krzykaczy i zwyk³ych ³ajdaków. Za ³apówkê mo¿na by³o kupiæ ka¿dy urz¹d, ale by³ to jednak wydatek op³acalny. Przemys³u jeszcze nie by³o, prywatyzowano wiêc „tylko” prowincje – ich zarz¹dcy przy okazji œci¹gania dzier¿awionych podatków ³upili je a¿ mi³o. Marek Tulliusz nie pomstowa³ za darmo, sam bowiem znajdowa³ siê w grupie trzymaj¹cej w³adzê, tak jak i Lucjusz Katylina (przeciw któremu pad³y przytoczone s³owa), jak i Katon zreszt¹. Jak ³atwo mo¿na siê domyœlaæ, przy okazji wyg³oszono niejedn¹ wzruszaj¹c¹ mowê. *„Oby nasze obrady przynios³y dobro, pomyœlnoœæ i szczêœcie Narodowi Rzymskiemu – tak¹ uroczyst¹ formu³k¹ otwierano ka¿de posiedzenie senatu. Potem mo¿na ju¿ by³o za³atwiaæ interesy, porachunki i codzienne sprawy republiki.”* – pisze Helena Adamczewska w eseju poœwiêconym dyktaturze Cezara. Ten¿e Gajusz Juliusz sformowa³ najpierw inn¹ GTW[4] zawieraj¹c najzupe³niej prywatne porozumienie z Pompejuszem (wódz) i Krassusem (finansista), potem siêgn¹³ po w³adzê dyktatora, której jedynie królewskiej korony brakowa³o. Byli i tacy, którzy z rozrzewnieniem wspominali czasy królewskiego splendoru. Marek Terencjusz Warron, historyk, ¿o³nierz, ale przeciwnik Cezara, nie zostawi³ suchej nitki na swych współczesnych, za wzór do naœladowania stawiaj¹c pradziadów epoki Numy Pompiliusza: *„Tam, gdzie dawniej odbywa³y siê zebrania ludu, teraz odchodzi handel (...) ¯yj w ciem-*

noœciach, w chlewie, chyba, ¿e nie nale¿y forum uwa¿aæ za chlew, a wiêkszoœci wspó³czesnych ludzi za œwinie."

Mocno powiedziane, nie ma co. Ciekawe jednak, co Warron, sk¹din¹d w miarê uczciwy i porz¹dny cz³owiek (doceni³ to Cezar, odpuszczaj¹c Warronowi wspania³omyœlnie wiernoœæ wobec Pompejusza, i powierzaj¹c mu zorganizowanie pierwszej publicznej biblioteki w Rzymie), powiedzia³by jakieœ 500 lat póŸniej. Kto wie, czy wobec korowodu politycznych morderstw, zmieniaj¹cych siê jak kalejdoskopie cesarzy Zachodu (w najœciœlejszym zwi¹zku ze wspomnianymi morderstwami), militarnych klêsk i powtarzaj¹cych siê grabie¿y samego Rzymu nie uzna³by, ¿e w porównaniu z ostatnim wiekiem Cesarstwa Rzymskiego na Zachodzie, ¿y³ jednak w stosunkowo przyjemnych czasach? Galia Zaalpejska utracona, Afryka w rêkach Wandalów, Wizygoci w Hiszpanii, co zosta³o z przeœwietnych zdobyczy Republiki... Rzym wielokrotnie ³upiony, jego militarna i gospodarcza potêga z³amana, kolejni cesarze marionetkami w rêkach barbarzyñskich dowódców.

To dopiero tempores. Ówczeœni to musieli narzekaæ na ciekawe czasy.

W tym stanie rzeczy, wzglêdnie rozs¹dnie wygl¹da postêpowanie Odoakra, pierwszego barbarzyñskiego w³adcy Italii. Odsuwaj¹c od tronu Augustulusa, ostatniego piastuj¹cego godnoœæ (ale nie w³adzê) cesarsk¹, Odoaker zadowoli³ siê trzymaniem go w areszcie domowym (wcale przyzwoicie z jego strony, jeœli zwa¿yæ, ¿e w ci¹gu ostatnich 20 lat zmieni³o siê a¿ 9 cesarzy). Natomiast insygnia w³adzy cesarskiej, *„Œwiête ozdoby tronu i pa³acu, które barbarzyñca wola³ usun¹æ sprzed wzroku ludnoœci"*, jak pisze Edward Gibbon, Odoaker odes³a³ na Wschód, czym mile po³echta³ pró¿noœæ panuj¹cego tam Zenona. Po czym panowa³ sobie jeszcze d³ugo jako król Italii, doœæ wprawdzie spustoszonej, dopóki nie pokona³ go Teodoryk, król Wizygotów. I tak oto z dumnego Cesarstwa nie by³o co zbieraæ. Uda³o siê to – na krótko – tylko Justynianowi I Wielkiemu, który pogoni³ wprawdzie Wizygotów z Afryki, ale mia³ tego pecha, ¿e choæ panowa³ na obszarze wielokroæ wiêkszym, ni¿ obszar kontrolowany przez ostatnich 20 cesarzy zachodu, to jednak by³ w³adc¹ „tylko" Bizancjum, wiêc poza prawnikami (i to z okazji kodyfikacji prawa rzymskiego, a nie ca³okszta³tu wcale pomyœlnego panowania) ma³o kto go pamiêta.

Co czuli Rzymianie, ogl¹daj¹c postêpuj¹cy schy³ek Cesarstwa? Wiêkszoœæ pewnie nic. Ale obserwacja nieuchronnego musia³a byæ ciê¿ka dla tych, którzy jeszcze próbowali, jeszcze chcieli je powstrzymaæ. Analizowanie upadku imperiów jest zaœ rozkosz¹ historyków. No i œwietnym materia³em literackim.

„(...) Nie mia³a z³udzeñ. Szerer by³ zbyt ma³y dla dwóch mocarstw i dwóch ambitnych w³adczyñ. Stary cesarz zakoñczy³ wojnê i doprowadzi³ do zawarcia pokoju na nieupokarzaj¹cych warunkach, ale nie mog³o to przys³oniæ faktu, ¿e przekazywa³ swej jedynej córce zaledwie strzêpy potê¿nego niegdyœ imperium. M³oda dartañska królowa na pewno mierzy³a wy¿ej ni¿ rz¹dzenie po zwyciêskiej wojnie zwasalizowanym, choæ formalnie niepodleg³ym, królestwem; lecz i maj¹ca wkrótce zasi¹œæ na tronie cesarzówna Werena z ca³¹ pewnoœci¹ snu³a plany odbudowy œwietnoœci imperium, zwanego Wiecznym Cesarstwem."

Myœlê, ¿e Feliksowi W. Kresowi nale¿y siê wielki szacunek za dwa ostatnie tomy cyklu szererskiego. Najpierw przez 20 lat buduje swój œwiat, oddaj¹c go z najmniejszymi detalami; pamiêtacie Pañstwo polemikê na temat ekonomicznych aspektów funkcjonowania Grombelardu, toczona ongiœ przez niego z Rafa³em A. Ziemkiewiczem na ³amach „Nowej Fantastyki"? Kres jest przyk³adem autora, który niejako na marginesie, lub lepiej: w tle procesu twórczego dba o to, aby stwarzany przez niego œwiat fantazji potrafi³ czytelnika przekonaæ, ¿e nie jest tylko dekoracj¹ z papier-mâché[5], ¿e jest œwiatem w dzia³aniu, œwiatem w ruchu. I oto autor pokazuje nam ten œwiat w ruchu zgo³a rzadko w fantasy spodziewanym, mianowicie po równi pochy³ej. Obserwujemy jego postêpuj¹c¹ dezintegracjê, przede wszystkim na poziomie politycznym. Wieczne Cesarstwo, oddane przez Kresa z takimi ustrojowymi smaczkami i detalami, ¿e jego analiza z punktu widzenia historyka ustroju zajê³a mi dawno temu, na ³amach zupe³nie innego fanzinu ³adnych kilka stron, psuje siê z zewn¹trz i od wewn¹trz. Niegdyœ triumfuj¹ce, wcale nie okazuje siê wiecznym, bo dwie dobrze zaplanowane rebelie wstrz¹saj¹ jego posadami, co wiêcej – okazuje siê wobec nich bezsilne. Odrywaj¹ siê pirackie Agary, na niepodleg³oœæ wybija siê podbity przed wiekami Dartan. Cesarstwo traci te¿ kontrolê nad Grombelardem, który pogr¹¿a siê w swojskiej anarchii. Cesarstwo toczy od wewn¹trz niemoc, brak wiary, ¿e jeszcze potrafi siêgn¹æ do Ÿróde³ swej dawnej wewnêtrznej si³y, co ³adnie oddaje Kres w jednej ze scen w „Pani Dobrego Znaku".

Przestrzega³bym jednak przed zbytnim naci¹ganiem analogii, bo s¹ one zwodnicze. Kres nie pisze powieœci historycznych, jeno przekszta³ca wed³ug w³asnego widzimisiê swój œwiat, i tyle. Nie dezintegruje przy okazji ca³ej cywilizacji, bo nie chce i nie musi. Tak to siê ju¿ dzieje, ¿e imperia powstaj¹ i upadaj¹; powodów do narzekania jest przy tym, co prawda, co niemiara. ¯e mo¿e byæ gorzej, upewniaj¹ nas Huntington i ostatnio Oriana Fallacci. Ale pomiñmy na chwilê wspó³czesnoœæ; wróæmy do przesz³oœci. Wczesnoœredniowieczne panowanie Germanów wstrz¹snê³o Europ¹ mniej, ni¿ na pierwszy rzut oka mog³oby siê wydawaæ. Przetrwa³o prawo rzymskie; zgodnie z zasad¹ personalnoœci prawa, kto nadal czu³ siê Rzymianinem, ten ¿y³ i s¹dzi³ siê wed³ug dawnego prawa. Jego zalety docenili te¿ Germanie, którzy ju¿ na przeŸomie V i VI wieku zaczêli je adaptowaæ do w³asnych potrzeb i zwyczajów. Po drugie, barbarzyñcy bardzo szybko przyjêli chrzeœcijañstwo, niejednokrotnie przed wkroczeniem na tereny Cesarstwa; fakt, ¿e w wiêkszoœci byli arianami, i potrzeba by³o 150 lat od upadku Cesarstwa Zachodu, by herezja wygas³a na rzecz wyznania nicejskiego. Niezmienione pozosta³y i podstawy gospodarki; w IV i V wieku gospodarka rolna dawno ju¿ zapomnia³a o latyfundiach obs³ugiwanych rêkami niewolników, istnia³y ju¿ natomiast solidne podstawy dla ewolucji instytucji feudalnych (np. kolonat).

Na gruzach Rzymu szybko zatem zaczê³o ewoluowaæ nowe ¿ycie. Dorobek kulturalny i intelektualny nie zosta³ zapomniany, i w odpowiedniej chwili powróci³, jak nie przymierzaj¹c heroina w „Pulp Fiction". Nie zawsze musi pójœæ tak g³adko:

„Uwa¿amy, ¿e to my tworzymy symbole, natomiast prawda jest taka, ¿e to one nas tworz¹. Jesteœmy ich dzie³em, ograniczonym ostrym, definiuj¹cymi krawêdziami. (...) Tradycja siêgaj¹ca dni naszej œwietnoœci, poprzedzaj¹cych nasze obecne zdegenerowane czasy, a tak¿e dawniejsze, o których nie pamiêtaj¹ ju¿ nawet najznakomitsi z uczonych (...) Nawet teraz, gdy nasze szeregi stopnia³y do dwóch mistrzów i niespe³na dwudziestu czeladników, nikt nie œmie z³amaæ tej tradycji."

„Ksiêgi Nowego S³oñca" Gene Wolfe'a ukazuj¹ œwiat, który nie zrobi³ kroku naprzód, lecz obraca siê w tym samym krêgu powtarzanych zaklêæ, mitów i symboli. Severian zdaje sobie sprawê z ich bezsilnoœci i wyzucia z dawno zapomnianych znaczeñ, lecz nikt w Autarchii nie potrafi siê wyzwoliæ z ich sieci. Tak wiêc œwiat ten bêdzie trwa³ w zmurszeniu, degeneracji i beznadziei, a¿ wreszcie w koñcu oko w oko z przybyszami stan¹ jacyœ ostatni, skarleli potomkowie zapomnianej cywilizacji. Historia notuje kilka takich spotkañ. W roku 1722 holenderski podró¿nik Jakob Roggeveen, wyl¹dowawszy na Wyspie Wielkanocnej, zasta³ na niej setki kamiennych pos¹gów, wa¿¹cych do osiemdziesiêciu ton, o wysokoœci do 11 metrów. Sama wyspa by³a ja³owym pustkowiem poroœniêtym traw¹, zamieszkanym przez nie wiêcej ni¿ kilkuset wynêdzniałych, mieszkaj¹cych w jaskiniach tubylców. Nikt z mieszkañców wyspy nie potrafi³ lub nie chcia³ wyt³umaczyæ, sk¹d wzi¹³ siê ten niesamowity pejza¿... Historiê wyspy odtworzono na podstawie dowodów archeologicznych dopiero w XX wieku.

Ale archeologia dostarcza równie¿ innych, zaskakuj¹cych informacji. Kopalne dowody ujawniaj¹ nam interesuj¹cy przebieg faktów. Historia ludzkoœci notuje oto kilka cywilizacyjnych przejœæ o zaskakuj¹cych konsekwencjach; z perspektywy czasu ich znaczenia – a tak¿e stopieñ zmian, jakie za sob¹ nios³y – nie da siê porównaæ dla jakiejkolwiek wymiany, ustroju, czy politycznej podleg³oœci. Zazwyczaj s¹ epokowe wynalazki lub nowe umiejêtnoœci, znacznie u³atwiaj¹ce ludzkoœci ¿ycie; czasem jednak korzyœci z nowinek bywaj¹ iluzoryczne. Co powiedzielibyœcie, gdyby Wam zaproponowano zupe³nie nowy styl ¿ycia, z którym wi¹zaæ siê bêd¹ choroby, g³ód, wojny i pog³êbienie spo³ecznych nierównoœci? Dziêkujê, w³aœnie odrzuciliœcie rolnictwo.

¯ycie wspó³czesnego Buszmena czy innego zbieracza/³owcy wydaje siê niespecjalnie atrakcyjne. Ju¿ rysuje siê nam obraz zabiedzonego dzikusa z dzid¹, grzebi¹cego jej trzon-

kiem w poszukiwaniu jakichœ marnych korzonków i ³akomie rozgl¹daj¹cego siê za d¿d¿ownic¹. A jednak badania nad ¿yciem wspomnianych Buszmenów wykaza³y, ¿e: (a) na poszukiwanie po¿ywienia poœwiêcaj¹ 12 do 19 godzin dziennie, (b) przeciêtne dzienne po¿ywienie dostarcza im 8950 kJ i 93 gramy bia³ka, (c) wykorzystuj¹ 85 gatunków roœlin jadalnych. **Łowcy - zbieracze s¹ przeciêtnie zdrowsi**, maj¹ urozmaicon¹ dietê i nie znaj¹

wielu cywilizacyjnych chorób. I to w dzisiejszych czasach, kiedy spo³eczeństwa rolników zepchnê³y ich na najbardziej dzikie i niedostêpne (czytaj: najmniej atrakcyjne dla rolnictwa) tereny. Za jeden z wyznaczników poziomu materialnego ¿ycia przyjmuje siê przeciêtny wzrost. W czasach przed rozpowszechnieniem rolnictwa, pod koniec epoki lodowej, na terenach dzisiejszych Grecji i Turcji przeciêtny wzrost mê¿czyzn siêga³ 180 cm, a kobiet 168 cm. Po przejœciu na gospodarkê rolnicz¹, na oko³o 4000 lat p.n.e., zmala³ on do odpowiednio 160 i 155 cm. Nawet przy przyspieszonym wzroœcie przeciêtnego poziomu ¿ycia w XX wieku ich potomkowie jeszcze nie osi¹gnêli przeciêtnego wzrostu ³owców-zbieraczy.

Inne badania archeologiczne, prowadzone na terenach obecnych stanów Illinois i Ohio, pozwoli³y przeœledziæ zaskakuj¹ce pogorszenie stanu zdrowia populacji oko³o r. 1000 n.e., mierzalnego m. in. œladami przebytych chorób na koœæcu, uszkodzeniami zêbów itd. Korelacja z masowym przejœciem na uprawê kukurydzy okaza³a siê ewidentna. Badania szkieletów pozwoli³y na przyk³ad oszacowaæ, ¿e odsetek populacji do¿ywaj¹cy 50 lat zmniejszy³ siê z 5% do 1%.

Wnioski nasuwaj¹ siê same. Choæ gospodarka rolnicza pozwala wy¿ywiæ znacznie wiêksz¹ liczbê ludnoœci na tym samym obszarze, to jednak przejœcie na po¿ywienie pochodz¹ce z jednej-kilku upraw znacznie zuba¿a jego jakoœæ. Dodatkowo zwiêksza siê ryzyko g³odu, gdy jeden rodzaj upraw zostaje dotkniêty susz¹, zaraz¹ itp.; w latach 40. XIX wieku oko³o miliona osób zmar³o w Irlandii, na skutek zarazy, która dotknê³a ziemniaki. Zwiêkszona zapadalnoœæ na choroby zwi¹zana jest ze znacznym zagêszczeniem populacji dziêki wiêkszej iloœci wyprodukowanej ¿ywnoœci. W mniejszych, zwartych grupach ³owców-zbieraczy nie maj¹ one tak wielkiej szansy siê rozprzestrzeniaæ. Pamiêtaæ nale¿y, ¿e zaobserwowane zaskakuj¹ce obni¿enie poziomu ¿ycia po przejœciu na gospodarkê rolnicz¹ jest prawid³owoœci¹ statystyczn¹; choæ przeciêtnie ¿y³o siê gorzej, to jednak produkcja znacznie wiêkszej iloœci ¿ywnoœci pozwala kosztem mas wygospodarowaæ nadwy¿ki dla elit. Pozwala utrzymaæ królów, kap³anów, ale i artystów; pozwala wreszcie utrzymaæ zawodow¹ armiê. Choæ wojny zdarza³y (i zdarzaj¹) siê tak¿e wœród plemion ³owców-zbieraczy, to dopiero organizacja profesjonalnych wojowników umo¿liwi³a podboje na wielk¹ skalê. Jared Diamond, którego wywód z arcyciekawej ksi¹¿ki „Trzeci szympans" tutaj streszczam, nie ma rzecz jasna z³udzeñ, jaki typ gospodarki wygrywa w takim cywilizacyjnym starciu. Jak napisa³ Stanis³aw Jerzy Lec: *Nie ma powrotu do jaskiñ. Jest nas za du¿o.* Porównuj¹c jednak los rolnika w USA (albo w UE), Buszmena i etiopskiego ch³opa, najlepiej ma ten pierwszy, a najgorzej ten ostatni.

Poleca³bym jednak stanowczo zapoznanie siê z zaprezentowanymi niekorzystnymi skutkami wynalezienia rolnictwa mi³oœnikom wegetariañskiego stylu ¿ywienia. Jednym z

rys. Pawe³ Piechnik

argumentów radykalnych *wegan* s¹ obliczenia wskazuj¹ce, jak¹ to liczbê g¹b mo¿e utrzymaæ nasza planeta przy ca³kowitym przejœciu na uprawê wysokobia³kowych roœlin i zaprzestaniu hodowli trzody. Co racja, to racja; przepuszczanie pasz przez trzewia krów etc. z zamiarem spo¿ycia ich miêska, z energetycznego punktu widzenia jest zabiegiem mniej wydajnym, ni¿ wpieprzanie genetycznie zmodyfikowanej soi. W rozumowaniu wegetarian pojawia siê w tym miejscu emocjonalno-ekologiczny szanta¿: gdybyœmy wszyscy jedli jedynie produkty roœlinne, ³atwo da³o by siê zlikwidowaæ klêskê g³odu, skoro przy dzisiejszej wydajnoœci upraw (bez za³o¿enia jej wzrostu w przysz³oœci) ziemia mo¿e wy¿ywiæ wg ró¿nych szacunków od 10 do 12 miliardów ludzi. Pomijaj¹c nawet wszystko¿ernoœæ gatunku *homo sapiens* i nasze naturalne zami³owanie do bia³ka zwierzêcego, argumentacja ta pomija milczeniem ryzyko, jakie niesie za sob¹ przejœcie na wymarzon¹ przez niektórych monokulturê sojow¹.

Zdaje siê jednak, ¿e problemy ¿ywnoœciowe tak czy owak nas nie omin¹. Ich Ÿród³a nale¿a³oby upatrywaæ nie w braku powierzchni pod uprawy – te s¹ nadal, zreszt¹ ca³y czas wzrastaæ bêdzie wydajnoœæ upraw (k³ania siê in¿ynieria genetyczna), ale w braku wody. Cywilizacja nasza konsumuje jej ogromne iloœci w sposób zupe³nie rabunkowy. Odk¹d w Mezopotamii wymyœlono irygacjê, systematycznemu wysuszaniu poddawane s¹ coraz to nowe po³acie naszej planety. O poronionych eksperymentach prowadzonych przez Sowietów w Azji mo¿na poczytaæ np. u Kapuœciñskiego; niedawno natomiast otar³em oko o dramatyczne doniesienia z Chin. Huang He, Jangcy oraz ich dop³ywy tocz¹ coraz mniej wód, od których jest uzale¿nione ponad pó³ upraw ry¿u w Chinach. Co gorsza, na znacznej swej d³ugoœci rzeki te s¹ ju¿ tak zanieczyszczone, m.in. przez *dynamicznie rozwijaj¹cy siê chiñski przemys³*, ¿e ich i tak wysychaj¹ce wody coraz mniej nadaj¹ siê do produkcji rolniczej. St¹d Pañstwo Œrodka w perspektywie 20, 30, 50 lat stanie przed ogromnymi problemami z zaopatrzeniem w ¿ywnoœæ. Piêknie; albo Chiny stan¹ siê tak bogatym pañstwem, ¿e bêdzie dla niego op³acalne sprowadzanie ¿ywnoœci z krajów, które bez trudu s¹ w stanie produkowaæ znaczne nadwy¿ki, albo najliczniejszy kraj na œwiecie stanie na krawêdzi g³odu. Pierwsze rozwi¹zanie jest, oczywiœcie, daleko bardziej prawdopodobne. Tym niemniej problem istnieje, i to o wiele bardzie z³o¿ony, ni¿ siê niektórym wydaje. Niby w przyrodzie nic nie ginie, i to co wysch³o – czyli wyparowa³o – spadnie gdzie indziej, ale marna to pociecha dla gin¹cych z pragnienia. Autorzy SF strasz¹ nas zatem rozmaitymi czarnymi scenariuszami: a to kanibalizmem na wielk¹ skalê, a to wytwarzaniem przemys³owo jakichœ glinopodobnych œwiñstw (to akurat Oramus w „Dniu drogi do Meorii"), niekiedy maskowanych wykwintnym chemicznym omamem („Kongres futurologiczny" Lema), a to wreszcie recyklingiem i zjadaniem przetworzonych na pokarm rodziców i babæ. To ostatnie zachodzi, ¿e tak powiem, w sposób naturalny; nie od dziœ powiada siê, ¿e pola bitewne u¿yŸnione krwi¹ i koœæmi bohaterów daj¹ doskona³e plony. Ekolog z zaciêciem statystycznym móg³by wyliczyæ, jakie jest prawdopodobieństwo, ¿e akurat nasz dzisiejszy chleb codzienny zawiera przetworzon¹ materiê organiczno-genealogiczn¹, ¿e tak powiem. Obchodzi nas to na co dzieñ w tym samym mniej wiêcej stopniu, jak informacja, ¿e ca³y wêgiel w materii organicznej eony temu powsta³ we wnêtrzu pierwszej generacji gwiazd; a przecie tak jest.

Obchodziæ nas jednak powinna postêpuj¹ca dewastacja naszej planety, bo póki co, nie mamy innej i nie ma gdzie siê przenieœæ. O tym, ¿e nie uda siê ocaliæ wielu gatunków zagro¿onych wyginiêciem roœlin i zwierz¹t, wiadomo jakby nie od dziœ. Przez jakiœ czas utrzymywa³a siê pozorna iloœciowa równowaga, ponieważ odkrywano tyle¿ nowych gatunków, co odnotowywanych w ksiêdze zejœæ, jednak¿e tempo wymierania jeszcze wzros³o, i bardzo jest prawdopodobne, ¿e wiele wymar³o zanim je zd¹¿yliœmy odkryæ. Pewnie, mo¿na stwierdziæ – a na co komu jakiœ tam ¿uczek? Otóż zdarza siê, ¿e ten tam Krewny i Znajomy Królika akurat zjada coœ... co z kolei jest zjadane przez coœ... i tak dalej. Powstaj¹ z tego zaburzenia ekosystemów niemo¿liwe do przewidzenia, a zgodnie z prawem Murphy'ego – nie bêd¹ przyjemne. A zamiast kwiatków na ³¹ce wyroœnie parz¹cy w ty³ek barszcz. Pal zreszt¹ szeœæ naturê. Martwiê siê, ¿e za ileœ tam lat, kupuj¹c wnuczkowi „Chatkê Puchatka" bêdê musia³ do³¹czyæ archiwalny film

przyrodniczy, **¿eby dzieciê wiedzia³o jak wygl¹da i zachowuje siê tygrys**. Tygrysek Tygryskiem, ale – przechodz¹c do spraw bardziej mo¿e istotnych – zagro¿onych jest tak wiele gatunków, ¿e prawie ka¿da kultura stoi w obliczu utraty swoich ¿ywych symboli. To znaczy swoich zwierzêcych symboli, ale ¿ywych. W tej sytuacji z wielk¹ sympati¹ nale¿y siê odnieœæ do dzia³añ podobnych tym, które zamierzy³ sobie Robert Crane, bohater „Ducha czasu" Miros³awa P. Jab³oñskiego. Przypomnijmy, ¿e Crane zamierzy³ sobie dopaœæ któr¹œ z ostatnich ¿yj¹cych polarnych niedŸwiedzic (a w czasie, w którym rozgrywa siê akcja „Ducha czasu", polarnych misiów zosta³o mo¿e kilkanaœcie) aby odbyæ z ni¹ stosunek p³ciowy na oczach kamer, a to z kolei celem zwrócenia uwagi na ich pod³y los. Pozostaje mieæ jedynie nadziejê, ¿e mo¿e nie bêdzie trzeba uciekaæ siê do a¿ tak drastycznych kroków...

Dobrze, dobrze, przestajê ju¿ marudziæ.

Mo¿e coœ optymistycznego na koniec? Ale co?

Dobranoc Pañstwu.

maj 2004

[1] Nie myœlê tu o Jacku Sobocie bynajmniej.

[2] J.R.R. Tolkien „W³adca Pierœcieni", t³um. Maria Skibiniewska, wyd. Literackie/Muza, 1996/2002.

[3] patrz przypis 1. Mam na myœli sen. Szyszkowsk¹, prezydenta Chiraca i hiszpañskich wyborców.

[4] Grupê Trzymaj¹c¹ W³adzê.

[5] Co innego natomiast œwiat zbudowany z kulturowych, w szczególnoœci literackich aluzji i nawi¹zañ – ten jest atrakcyjny w inny sposób.

Postscriptum (Wrzesieñ 2004)

1. Belka premierem, notowania Samoobrony spadaj¹.

2. W Iraku bez zmian.

3. Lista moich osobistych nieszczêœæ powiêkszy³a siê o kilkadziesi¹t pozycji, i to takich, ¿e w³aœciwie wymienione na wstêpie zdaj¹ mi siê niewinn¹ igraszk¹.

4. W przykrych kwestiach ekologiczno-katastroficznych postêpu, naturalnie, nie odnotowano. Czytam natomiast w „Najwy¿szym Czasie" nr 35-36/2004 felieton Janusza Korwin-Mikkego (tak to w³aœciwie nale¿a³oby odmieniaæ, BTW): *Jednak nie ma siê czym* (to o raportach tzw. Klubu Rzymskiego – przyp. PO) *martwiæ: gdyby „ekolodzy" znali odrobinê ekologiê, to by wiedzieli, ¿e dziêki temu w³aœnie œwiat roœlinny i zwierzêcy pozostaje na Ziemi w równowadze. Tu powstaje CO2 - tam znika; tam powstaje tlen - tu znika. To samo z wod¹. Równowaga nie dotyczy tylko œwiata istot ¿ywych. Ca³a Ziemia musi pozostawaæ w równowadze - gdy¿ inaczej by jej nie by³o.* Drogi Panie Januszu! No, z tego punktu widzenia ma Pan racjê. Ale czy maj¹c jedn¹ nogê krótsz¹, a d³ug¹ d³u¿sz¹ by³by Pan równie¿ uwa¿a³, ¿e na prawo siê odejmie, na lewo przybêdzie, i wszystko pozostanie w równowadze? To siê Pan spróbuj przejœæ.

5. Jak zwykle poniewczasie poinformowano mnie, ¿e leitmotivem nowych „Innych Planet" maj¹ byæ kwestie ujednolicenia, urawni³owki, zglajszachtowania itd. Poniewa¿ nijak mi one nie pasuj¹ do mojego artyku³u, z lenistwa odniosê siê do dostarczonego mi felietonu Jacka Soboty, a jednoczeœnie pozostanê w swoich ulubionych rejonach nauk œcis³ych. Oddaj¹c najpierw g³os Jackowi: *Zatem standaryzacja umo¿liwia nam futurologiê socjologiczn¹ na niewielk¹ skalê. Bez przewidywalnoœci zachowañ cz³onków spo³eczeñstwa niemo¿liwe by³yby jakiekolwiek struktury spo³eczne – to oczywista konstatacja. Role spo³eczne, jakie przyjmujemy, narzucaj¹ pewne standardy zachowañ – st¹d powszechne niedowierzanie, wrêcz szok, gdy psychoterapeuta lub ksi¹dz zachowuj¹ siê niezgodnie z przyjêtymi powszechnie wzorami.* Ja zaœ chcia³bym nadmieniæ, ¿e zachowanie przewidywalne jest gr¹ na minimalizowanie strat, a nie na wygran¹. Otó¿ funkcjonuje w socjobiologii zaczerpniête z teorii gier pojêcie strategii ewolucyjnie stabilnej; jest to zachowanie takie, ¿e jeœli (prawie) wszyscy gracze j¹ stosuj¹, to ¿adnemu z nich nie op³aca siê zmiana strategii na inn¹. Na dodatek ¿adna strategia prosta tak¹ nie jest. Np. dajmy na to zdradê ma³¿eñsk¹: strategi¹ prost¹ niech bêdzie wiernoœæ. Ka¿dy jest wierny = przewidywalny. Wiedz¹c o tym, gracze odchodz¹cy od niej bezkarnie p³awi¹ siê w rozpuœcie, nie ryzykuj¹c zdrady ze strony swojego partnera. Niech strategi¹ prost¹ bêdzie altruizm; gracz ³ami¹cy tê zasadê uzyskuje znaczn¹ przewagê nad innymi. I tak dalej, i tak dalej; zauwa¿my jednak, ¿e gdyby wszyscy zachowywali siê jak rozbójnicy, strategi¹ wygrywaj¹c¹ by³aby z kolei kooperacja... Tak wiêc strategi¹ ewolucyjnie stabiln¹ jest strategia mieszana, kiedy wprawdzie wszyscy zachowuj¹ siê przez 95% czasu przewidywalnie, ale ka¿demu zdarza siê losowo jakiœ wyskok – z akurat tak¹ czêstotliwoœci¹, aby: (a) raz na jakiœ czas uzyskaæ przewagê wykorzystuj¹c w³asny indywidualizm, (b) utrzymywaæ innych w akurat takim stanie niepewnoœci, ¿eby mieli siê na bacznoœci. Wracaj¹c do felietonu Soboty: wspomniane przez niego na wstêpie szaleñcze poszukiwanie w³asnej odmiennoœci prêdzej czy póŸniej doprowadzi do tego, ¿e wszyscy dostan¹ ju¿ totalnego pierdolca, w zwi¹zku z czym wahad³o dziejów odbije w drug¹ stronê. Z powrotem bêdzie siê op³aca³o **nie** zakochiwaæ siê w homosiu, **nie** tatuowaæ siê, **nie** wystawiaæ kibli albo go³ych p³ócien itd., a¿ wszystko stopniowo wróci do normalnoœci. Czekam zatem na czasy, kiedy po dawnemu bêdzie mo¿na uprawiaæ indywidualizm bez bycia pos¹dzonym o uleganie modzie...

Pawe³ Ostrowski

KOMENTARZ: Poproszono mnie, bym odniós³ siê do odniesieñ Paw³a Ostrowskiego (zwanego Ostrym nie bez przyczyny), który przeczyta³ mój tekst a o tym, co przeczyta³ – napisa³. Przyznam, ¿e jeden dostrzegam tu znaczny powód do polemik – w odró¿nieniu od Ostrego uwa¿am siê jednak za idiotê, i to kompletnego.

Có¿ jeszcze. Jeœli przyjmiemy, ¿e spo³eczeñstwo da siê uj¹æ (w co pow¹tpiewam) w ryzach tzw. teorii gier, to Ostry opisuje tu rzeczywistoœæ. Jeœli nie, to mamy do czynienia z modelem, który nie zawsze oddaje istotê rzeczy. Spo³ecznoœæ musi funkcjonowaæ w ramach niejakiej przewidywalnoœci (co, oczywiœcie, jest realizowane jeno w jakimœ stopniu, nigdy ca³kowicie, na szczêœcie; choæby z powodu fundamentalnego irracjonalizmu poczynañ ludzkoœci – g³upoty, która jest nasz¹ niezbywaln¹ wartoœci¹ i epokowym osi¹gniêciem), poniewa¿ taka jest istota spo³ecznoœci jakichkolwiek. Po to ludzie ³¹czyli siê w grupy, by pos³ugiwaæ siê pewnym dla wszystkich czytelnych kodem znaczeñ i zachowañ. Idzie tu o poczucie bezpieczeñstwa, rzecz jasna, a nie mo¿na czuæ siê bezpiecznym, gdy postrzega siê wszystko wokó³ siebie jako coœ skrajnie obcego i niezrozumia³ego. Dla przyk³adu – gdyby nam nagle Ostry j¹³ zachowywaæ siê z ujmuj¹c¹ uprzejmoœci¹, z³agodnia³by jak baran, to byœmy siê z panem Szyd¹ niew¹tpliwie zaniepokoili, mo¿e nawet zbaranieli, œwiat móg³by nam siê wydaæ nieco gorszym, bo niezbyt jasnym i zrozumia³ym miejscem. Nadto rodzi siê pytanie – co jest sukcesem, a co klêsk¹; jakie miary tu stosowaæ, z jakiego punktu widzenia obserwowaæ i stratyfikowaæ? Dobrym przyk³adem jest ów Korwin-Mikke, ¿ycie obserwuj¹cy z wy¿yn jakiegoœ nadbytu, którym dalibóg nie jest i nigdy nie by³ – i z tego w³aœnie fundamentalnego niedostrojenia miêdzy rzeczywistym miejscem w drabinie istnieñ zajmowanym przez Mikkego a mniemaniami Korwina na ten temat, wynikaj¹ nieporozumienia.

Pan Ostry rozró¿nia minimalizowanie strat i sukces jako kategorie sobie przeciwstawne – nie ka¿dy siê z tym zgodzi, bo dla niektórych (zbyt wielu na tym œwiecie, niestety) w³aœnie nik³oœæ uszczerbków jest sukcesem doœæ sporym. Da siê zapewne przez jakiœ czas funkcjonowaæ na podwy¿szonych obrotach rytmu ¿ycia, z nastawieniem na walkê i konkurencjê, w zmiennych warunkach, w jakimœ intensywnym zrywie ku sukcesom (o czym tzw. ludzie sukcesu wiedz¹ najlepiej), ale jak d³ugo – nie wiem. To jest byæ mo¿e problem imperiów – u zarania, ich spo³ecznoœci nastawione s¹ na ekspansjê, w zwi¹zku z czym, dla „wy¿szych celów", wyrzeczenia wydaj¹ siê oczywiste, ascetyzm i patriotyzm jest w cenie. Gdy ju¿ nie ma co zdobywaæ, nastêpuje konsumpcja zdobyczy, odpoczynek, rozprzê¿enie systemów wartoœci – i klêska, i rozpad. Z ludŸmi, w ich jednostkowym, osobniczym wymiarze istnienia bywa podobnie. Osobiœcie, gdybym mia³ taki wybór, chcia³bym byæ obywatelem wewnêtrznego, osobowoœciowego, (gdybym by³ EuGENIUSZem Dêbskim, napisa³bym oSOBOwoœciowego; na szczêœcie nie jestem) mocarstwa znajduj¹cego siê w stanie swoistego „zawieszenia", ju¿ po okresie ¿mudnych podbojów, jeszcze przed ¿a³osnym upadkiem. Jeœli mam wybieraæ miêdzy niepewnoœci¹ sukcesu, który dziwnym trafem zawsze okazuje siê klêsk¹, a pewnoœci¹ nudy, jako cz³ek leniwy, leciwy i kompromisowy, wybra³bym komfort nudy, czego i Tobie, Pawle, ¿yczê, bo wiem, ¿eœ siê ostatnio nie nudzi³.

Jacek Sobota

Marek Oramus

EPOKA LUNAPARKÓW

Zbawczy wp³yw milionerów na nasze ¿ycie polega na tym, ¿e buduj¹ lunaparki. Milioner Michael Jackson zamierza³ zbudowaæ w Polsce ca³e miasteczko rozrywkowe, póki folgowanie pedofilskim namiêtnoœciom nie zredukowa³o w powa¿nym stopniu jego nie tak w koñcu imponuj¹cego maj¹tku. Tym, co mi demoluje wyobraŸniê, jest jednak przekonanie ¿ywione przez ludzi z pieniêdzmi, ¿e bardziej ni¿ tlenu czy chleba ludzkoœæ potrzebuje przybytków uciech, a wobec tego ich najœwiêtszym obowi¹zkiem jest doprowadziæ do wzniesienia kolejnego lunaparku (nie myliæ z lupanarkiem), choæ ju¿ urzêduj¹ce Disneylandy uskar¿aj¹ siê na niedobór klienteli. Có¿, ka¿da epoka znosi takie igrzyska, jakie jej zafunduj¹ ówczeœni dobrodzieje.

W powieœci Juliana Barnesa "Anglia, Anglia" multimilioner, wizjoner i ekscentryk w jednej osobie, sir Jack Pitman, postanawia zrealizowaæ swoj¹ idee fixe, ale w taki sposób, ¿eby zakasowaæ wszystkie podobne inicjatywy. Kupuje zatem wyspê Wight na Kanale La Manche i zamienia j¹ w ca³oœci w replikê starej zacnej Anglii. Ma to byæ Anglia w pigu³ce, Anglia skondensowana, Rekreacja Najwy¿szej Próby, a zarazem maksymalizacja wygody turysty. Zamiast obje¿d¿aæ w pocie czo³a kolejne miejsca z kolejnymi zakurzonymi zabytkami turysta taki bêdzie mia³ wszystko na wyci¹gniêcie rêki. Doœæ mu splun¹æ, by trafiæ w zabytek klasy zerowej o wielkim historycznym znaczeniu. Dla niego zatem wzniesie siê kopie obiektów architektonicznych, zrekonstruuje krajobrazy, a nawet zainscenizuje wydarzenia z przesz³oœci. Gdy taki turysta zechce siê niespiesznie po¿ywiaæ na tarasie, dzielni lotnicy na jego oczach bêd¹ siê zestrzeliwali w ramach powtórki s³ynnej powietrznej bitwy o Angliê. Królow¹ nie tylko bêdzie mo¿na wielbiæ na odleg³oœæ, ale do niej zagadaæ, dotkn¹æ, a kto wie, czy nie przespaæ siê z ni¹, zw³aszcza jeœli bêdzie siê turyst¹ majêtnym, ¿¹dnym wra¿eñ nie tylko wzrokowych.

Zastanówmy siê, jak by to wygl¹da³o w wydaniu polskim: rano œniadanie z wojami Bolka Chrobrego, czyli tur na ro¿nie, w po³udnie obiad czwartkowy u króla Stasia po³¹czony z pikantnymi opowiastkami, jak mu by³o z Katarzyn¹, a pod wieczór strajk ze stoczniowcami Wa³êsy i dymi¹ca kolacja prosto z kot³ów w sali BHP Stoczni Gdañskiej. (Nocleg oczywiœcie na styropianie.) W zale¿noœci od wykupionego turnusu program by siê zmienia³, np. dla szczególnie odwa¿nych obowi¹zkowo walka na barykadach z powstañcami Warszawy, a nastêpnie ewakuacja kana³ami, czy bitwa pod Grunwaldem, która ju¿ zreszt¹ jest co roku inscenizowana, wiêc koszty by bardzo nie wzros³y. Wystawilibyœmy po kolei na sprzeda¿ wszystkie œwiêtoœci narodowe w myœl refrenu pieœni œpiewanej przez Kaczmarskiego z Gintrowskim: *Co nam hañba, gdy talary / Maj¹ wiêkszy kurs od wiary / Zamienimy na walutê / Honor i pokutê.*

Oto jak wygl¹da kolejny tryumf informatycznego podejœcia do sprawy: hardware, czyli mury, jad³odajnie, hotele, infrastruktura, personel - to za ma³o, niezbêdne jest tak¿e software, czyli wsad programowy. On tu jest najwa¿niejszy. Nie wystarczy wybudowaæ zabytki, uformowaæ krajobrazy, skupiæ wszystko na paru milach – potrzebna jest legenda, która wszystko scementuje, scali, zorganizuje, z rozproszonych elementów uczyni spójny system. Dopiero za to imæ Turysta zechce p³aciæ gêstym strumieniem grosiwa a ochoczo, bo bêdzie wiedzia³, ¿e otrzyma swoj¹ nagrodê. Nie przypadkiem nowy lunapark nazywa siê u Barnesa Anglia, Anglia – w przeciwieñstwie do skromnej Anglii drzemi¹cej za fos¹ La Manche. Co dwie Anglie to nie jedna.

Jednak, podobnie jak w filmie "Œwiat Dzikiego Zachodu", zaczyna siê to stopniowo wymykaæ spod kontroli. Tym razem to nie rozrywkowicze s³ono p³aci za sw¹ zabawê, tylko nieszczêsny orygina³. Ze starej, zacnej Anglii jakby usz³o powietrze. Pozbawiona tradycji, a wiêc i to¿samoœci, schodzi ona na psy w piorunuj¹cym tempie i w krótkim stosunkowo czasie staje siê prowincj¹ Europy oraz œwiata. ¯ycie tam zaczyna siê siermiê¿ne i proste, wybite z tempa XXI wieku, a ludzie staj¹ siê wolni od po¿¹dañ wspó³czesnego roztechnologizowanego dwunoga, skoro te jak jedno znajduj¹ siê poza ich zasiêgiem. W koñcu jednak okazuje siê, jaka to dialektyka – ¿e ponosz¹c klêskê wygrali, bo znaleŸli siê w Arkadii; wœród sianokosów i brzêczenia œwierszczy oddychaj¹ wonnym powietrzem, a nie gnêbi¹ ich palpitacje, bo nikt nigdzie nie musi zd¹¿yæ. Patrz¹c jednak z innej strony: czy poszczególne pañstwa bêd¹ musia³y patentowaæ sw¹ tradycjê, to¿samoœæ, bohaterów, œwiête znaki i pieœni, ¿eby ich nikt nie przej¹³ i nie wykorzysta³ w niegodziwych celach? Powieœæ Barnesa stanowi tu wypowiedziane tonem pó³serio ostrze¿enie: trzeba szanowaæ, nie frymarczyæ. Nie wszystko wolno przehandlowaæ.

Raz uruchomione przedsiêwziêcie, choæ trzymane ¿elazn¹ rêk¹ Jacka Pitmana, uzyskuje z czasem coraz wiêcej autonomii: oto kompani Robin Hooda nie chc¹ ju¿ ob¿eraæ siê cielcem sprokurowanym z brukwi, tylko na w³asn¹ rêkê organizuj¹ na wyspie polowania. Marzy im siê prawdziwe miêso. Gdy siê ich próbuje przywo³aæ do porz¹dku, a w koñcu zmusiæ do subordynacji atakiem komandosów (te¿ przebranych i udawanych!), dochodzi do konfrontacji wojowników z XII i XX wielu, z której zwyciêsko – wbrew scenariuszowi – wychodz¹ ci pierwsi. W tej jednej scenie zawiera siê pyszna parodia modelu naszej postmodernistycznej kultury, nawyk³ej do bezkarnego ¿enienia wszystkiego ze wszystkim, przymusowego ³¹czenia ca³kowicie obcych sobie elementów. Nawet w takim lunaparku jak Anglia, Anglia istnieje bowiem granica udawania, któr¹ trudno utrzymaæ pod presj¹ ludzkich ¿¹dz, ambicji i chêci dokazywania.

Doœæ zagadkowy socjologicznie wydaje siê sam proces wyciekania owych wartoœci tam, gdzie przypada ich wiêcej na milê kwadratow¹, gdzie kolory s¹ jaskrawsze, a historyczni bohaterowie jak ¿ywi, mimo ¿e tylko odgrywani. Jaka magia tym rz¹dzi? Jak to jest, ¿e kamienie i rekwizyty, w których zaklêta jest historia, dysponuj¹ tak ma³¹ moc¹ oddzia³ywania i tak ³atwo ulegaj¹ erozji? A skoro p³owiej¹ tak bezlitoœnie, to czy tym bardziej nie nale¿a³oby obdarzyæ ich nasz¹ pieczo³owitoœci¹, bo za chwilê ca³kiem sczezn¹, a my zostaniemy tylko z lunaparkowymi teatrzykami, obudzimy siê z kacem wœród styropianu i poz³oty, niezdolni do ocenienia, co jest co? A jeszcze gorsza wersja: podŸwign¹wszy ciê¿ki ³eb i dopi¹wszy pludry puœcimy siê dalej w tany, wierz¹c ka¿d¹ komórk¹ cia³a, ¿e to w³aœnie nasza atrakcja, przed któr¹ niczego nie by³o i po której niczego nie bêdzie.

Idea Anglii, Anglii doskonalszej od Anglii bliska jest temu, co Philip K. Dick nazywa³ dokos: replice tak doskona³ej, ¿e przewy¿szaj¹cej orygina³. Okazuje siê, ¿e skalkowanie i wzmocnienie, nawet w sposób kiczowaty, cech orygina³u, nie prowadzi do wynaturzenia, jakby siê wydawa³o po racjonalnym rozwa¿eniu sprawy, ale do stworzenia czegoœ lepszego, bardziej atrakcyjnego z punktu widzenia rozwydrzonego konsumenta us³ug turystycznych i kulturalnych. Przeœwiadczenie takie stoi, jak mi siê zdaje, u fundamentów kultury amerykañskiej, wobec której pozostajemy dziwnie bezbronni i entuzjastyczni. A przecie¿ nie jest to nasza kultura, w ramach której Bartosz G³owacki, Mieszko I i Kopernik dziarsko pij¹ z przygodnymi obie¿yœwiatami, grzmi¹ na pokaz pod Stoczkiem armaty i jak zwykle nie oddajemy ani guzika. Œwiat, w którym dochodzi do takich sprzecznych z elementarn¹ przyzwoitoœci¹ wynaturzeñ nie jest wart ¿alu ani nawet zainteresowania przeciêtnego cz³owieka i nale¿a³oby go czym prêdzej spisaæ na straty, zanim sami wywiniemy or³a i zacznie nam siê to podobaæ.

Marek Oramus

Julian Barnes, *Anglia, Anglia*, t³um. Katarzyna Kasterka, Prószyñski i S-ka 2003, cena 29,90 z³.

radio free NF nadaje....radio free NF nadaje

Micha³ Protasiuk

NOWA TWARZ HORRORU

Clive Barker na pocz¹tku XXI wieku

Co ma wspólnego Clive Barker i wykres funkcji sinus? Wbrew pozorom odpowiedŸ jest prosta. Wystarczy przeanalizowaæ czêstotliwoœæ wydawnicz¹ tego artysty w Polsce. Pierwszy wysyp nadszed³ wraz z otwarciem siê rynku ksiêgarskiego. Do r¹k czytelników trafi³y wówczas niezapomniane „Ksiêgi krwi", „Wielkie sekretne widowisko" i wiele innych. Dobra passa wydawnicza Barkera skoñczy³a siê w po³owie lat dziewiêædziesi¹tych. PóŸniej spragnieni fani byli karmieni sporadycznie: „Everville" (1998) i „Imajica" (2002). Ten zadziwiaj¹cy cykl wydawniczy nie ma sobie równych, w porównaniu do innych tuzów horroru. I tak na przyk³ad Stephen King od pocz¹tku lat dziewiêædziesi¹tych wydawany jest z niezmienn¹ prawie regularnoœci¹, zaœ powieœci twórców pokroju Grahama Mastertona czy Guy N. Smitha najwiêksz¹ popularnoœæ maj¹ zdecydowanie za sob¹ i ze œwiec¹ ich teraz szukaæ w ksiêgarniach (nie licz¹c taniej ksi¹¿ki). Tymczasem popularnoœæ Barkera wy³amuje siê ze stereotypowych zachowañ i faluje, jak nie przymierzaj¹c, funkcja sinus.

Drugie apogeum wydawnicze mia³o miejsce w roku 2003. Ukaza³a wówczas ksi¹¿ka dla dzieci „Abarat" oraz niemal równocze¶nie dwie opas³e powieœci: „W¹wóz kamiennego serca" i „Galilee". Pierwsza czêœæ niniejszej recenzji dotyczy ostatniej ze wzmiankowanych wy¿ej pozycji.

To jednak nie wszystko. Nie nale¿y zapominaæ, ¿e Clive Barker to artysta multimedialny. Nie tylko pisze powieœci i sztuki teatralne, ale tak¿e maluje obrazy oraz re¿yseruje filmy. Widaæ jednak repertuar tradycyjnych form uprawiania sztuki wyda³ siê Barkerowi zbyt w¹ski i wraz z pocz¹tkiem nowego tysi¹clecia zadebiutowa³ w nowej dla siebie roli: jako scenarzysta gry komputerowej. Mowa tu o grze „Clive Barker's Undying", o której wiêcej w drugiej czêœci tekstu.

„GALILEE" CZYLI OBIECANKI CACANKI

„Galilee" to powieœæ nietypowa jak na Barkera. Jej narratorem jest Edmund Maddox Barbarossa, urodzony w roku 1811. I choæ akcja powieœci toczy siê przesz³o 180 lat póŸniej, Edumnd wci¹¿ jest ¿ywy i poruszaj¹c siê na inwalidzkim wózku postanawia spisaæ dzieje swojej rodziny. Tu kryje siê sekret jego d³ugowieczno¶ci. Rodzina Barbarossa nie jest bowiem zwyk³¹ rodzin¹. Pani domu Yaos Cesaria Barbarossa nie doœæ, ¿e romansowa³a z trzecim prezydentem Stanów Zjednoczonych, Thomasem Jeffersonem to podobno pamiêta czasy Jezusa (choæ nie jest z Nim spokrewniona) oraz œwietnoœæ staro¿ytnej Samarkandy.

Sk¹d siê wziê³y si³y, które sprawiaj¹, ¿e rodzina Barbarossów dysponuje niemal¿e bosk¹ moc¹? – nie wiadomo i celem Barkera nie jest bynajmniej udzielenie odpowiedzi na to pytanie. Jego przede wszystkim interesuj¹ dzieje ¿ycia najstarszego syna rodziny, tytu³owego Galilee. To syn marnotrawny, który wyrzek³ siê rodu i ¿egluje samotnie jachtem po oceanach œwiata, z rzadka zawijaj¹c do portów. Równolegle toczy siê druga opowieœæ. Poznajemy w niej dzieje amerykañskich milionerów, Gearych. Jak nietrudno siê domy¶liæ, obie historie maj¹ wspóln¹ p³aszczyznê. Jest ni¹ Rachel Pallenberg, ¿ona m³odego Gearego, która po k³opotach w ma³¿eñstwie odnajdzie szczê¶cie w ramionach Galilee Barbarossy. Wkrótce te¿ oka¿e siê, ¿e dzieje tych dwóch rodzin spl¹tane s¹ mocniejszymi wê¿³ami, ni¿ ktokolwiek przypuszcza³. Konfrontacja jest nieunikniona.

Powy¿sze streszczenie mo¿e wzbudziæ u czytelnika lekki niepokój: „Co to jest, romans jakiœ, czy co?". Wbrew oczekiwaniom nie bêdê zaprzecza³. „Galilee" to dziwna powieœæ i nie poddaje siê ³atwo klasyfikacji. Na pewno najwiêcej w niej elementów sagi rodzinnej i w³aœnie romansu. Wtr¹ceñ fantastycznych jest niewiele i stosuj¹c „brzytwê Lema" z ³atwo¶ci¹ otrzymamy powieœæ godn¹ recenzji na ³amach „Przyjació³ki", a nie „Innych Planet". Podczas lektury mia³em zreszt¹ wra¿enie, ¿e Barker bez przerwy wodzi mnie za nos. Z wypiekami na twarzy przewraca³em kolejne strony, licz¹c wci¹¿ na zaskakuj¹cy zwrot akcji, mistern¹ woltê, niespodziewan¹ puentê. Tymczasem nic z tego i akcja urywa siê jakby w pó³ zdania, wyczekiwany fina³ nie nadchodzi, a w g³owie czytelnika pozostaj¹ znaki zapytania. „Œadna opowieœæ nie ma pocz¹tku, jak i ¿adna opowieœæ nie ma zakoñczenia" – pisa³ Barker w „Kobiercu" (cytat z pamiêci), by w „Galilee" doprowadziæ to twierdzenie do ekstremum. St¹d bior¹ siê tytu³owe obiecanki-cacanki. Cierpliwo¶ci – zdaje siê mówiæ autor spomiêdzy wersów powieœci. – Cierpliwo¶ci, ju¿ nied³ugo dostaniesz, czego oczekujesz – podczas lektury wci¹¿ s³ysza³em jego g³os. Tymczasem przewróci³em ostatni¹ kartê ksi¹¿ki, ujrza³em spis treœci, a w uszach dŸwiêcza³ chichot Barkera.

Jedno jest pewne: „Galilee" to nie horror. Pró¿no szukaæ tu rozrywanych hakami cia³, gwoŸdzi wbijanych w czaszkê; nie uœwiadczymy nawet paktów z diab³em. Równie ma³o trafione wydaje siê porównanie do Faulknera, jakie sugeruje wydawca na IV stronie ok³adki. Jedynym punktem zbie¿nym z twórczo¶ci¹ autora „Wœciek³o¶ci i wrzasku" jest miejsce akcji, czyli po³udnie Stanów Zjednoczonych.

To co odró¿nia t¹ powieœæ od wczeœniejszego dorobku Barkera, jest prêdko¶æ akcji. Zdania p³yn¹ tu leniwie, du¿o miejsca zajmuj¹ opisy szczegó³ów, mno¿¹ siê retrospekcje, narracja czêsto ma charakter szkatu³kowy. To zupe³nie przeciwieñstwo poprzednich powieœci Barkera, gdzie fabu³a jest gêsta niczym londyñska mg³a i ka¿demu zdaniu nale¿y po¶wiêciæ du¿¹ uwagê, gdy¿ ³atwo mo¿emy przeoczyæ œmieræ g³ównego bohatera.

Tak jak „Galilee" nie poddaje siê ³atwo klasyfikacji, tak nie poddaje siê ³atwo interpretacji. Jedyn¹ wyk³adni¹, jak¹ odwa¿ê siê zaproponowaæ jest potraktowanie „Galilee" jako opowieœci o cz³owieczeñstwie bogów. Temat nienowy i obecny w kulturze co najmniej od staro¿ytnej Grecji (choæ specjalieœci od mitów pewnie mnie poprawi¹). Œe rodzina Barbarossów pretenduje do miana bogów, nikt nie powinien mieæ w¹tpliwo¶ci (zwracam uwagê na imiê g³ównego bohatera). Tylko, ¿e s¹ to bogowie bardzo ludzcy: tak samo kochaj¹, zazdroszcz¹, nienawidz¹, a¿ w koñcu porzucaj¹ boskie pow³oki, by staæ siê ludŸmi. Taki klucz podaje Barker na ostatnich stronach powieœci, chocia¿ nie potrafiê zagwarantowaæ, ¿e jest to trop prawdziwy.

Trudno jednoznacznie ustosunkowaæ siê do tej powieœci i wartoœciowaæ j¹ w kategoriach dobra / z³a. Powiedzia³bym raczej: intryguj¹ca, frapuj¹ca, niezwyk³a. Lecz czasami te¿ mêcz¹ca i rozwlek³a. Jeœli komuœ nie przeszkadzaj¹ wypunktowane wczeœniej uwagi, powinien po ni¹ siêgn¹æ.

„UNDYING" CZYLI WSZYSTKO W JEDNYM

Patric Galloway od m³odo¶ci by³ ekspertem w dziedzinie okultyzmu i zjawisk nadprzyrodzonych. W 1917 roku, podczas jednej z bitew I wojny œwiatowej zosta³ pora¿ony energi¹ wyemitowan¹ przez zielony kamieñ. Œycie uratowa³ mu wtedy Irlandczyk, Jeremiah Covenant. Szeœæ lat póŸniej Patric otrzymuje od niego dramatyczny list. Jeremiah choruje na tajemnicz¹ chorobê, a w jego posiad³oœæ jest aren¹ niewyt³umaczalnych wydarzeñ. Patricowi nie pozostaje nic innego jak wsi¹œæ na statek p³yn¹cy na Zielon¹ Wyspê, by nieœæ pomoc przyjacielowi.

Tak zaczyna siê gra. – Ten dom potrzebuje ksiêdza – us³yszymy za chwilê od s³u¿¹cej i wejdziemy po stromych schodach w poszukiwaniu pokoju Jeremiaha. Kilka kroków póŸniej natkniemy siê na ducha i zacznie siê robiæ naprawdê strasznie.

„Undying" to gra z gatunku FPP. Skrót ten t³umaczy siê jako First Person Perspective, co oznacza, ¿e obserwujemy œwiat gry z perspektywy kierowanego przez nas bohatera. Z jednej strony jest to gra zrêcznoœciowa, lecz z drugiej trzeba te¿ nieco pomy¶leæ. Nacisk bowiem zosta³ po³o¿ony na aspekt „detektywistyczny". Z porozrzucanych wiadomo¶ci, ze

strzêpów pamiêtników, z toczonych rozmów, powoli wy³ania siê obraz prawdziwej historii rodziny Covenant. Historii, która nie powinna stanowiæ niczyjej chluby.

Nie wiem, jakie s¹ wymagania formalne recenzji gry komputerowej, ale powinienem chyba wspomnieæ o grafice i muzyce. Bêd¹c zupe³nym laikiem w tej dziedzinie, grafikê oceniam na rewelacyjn¹. Uwagê zwracaj¹ urozmaicone lokacje. Du¿o czasu spêdzamy na terenie posiad³oœci Covenantów, lecz przyjdzie nam te¿ odwiedziæ katakumby rozci¹gaj¹ce siê pod rodzinnym grobowcem, spenetrowaæ ruiny irlandzkiego opactwa, a nawet przenieœæ siê do innego wymiaru. Równie¿ muzyka to prawdziwa pere³ka. Zw³aszcza operowy motyw, pojawiaj¹cy siê na ekranie tytu³owym, który s³yszymy potem w kulminacyjnej scenie.

Osobom spragnionym odpowiedzi na pytanie „czy jest tu jakiœ quest?”, odpowiadam, ¿e quest jest i to nie jeden, ale piêæ (tyle, ile rodzeñstwa mia³ Jeremiah plus przyjaciel rodziny). Ka¿da z czêœci utrzymana jest w innej konwencji, charakterystycznej dla innego rodzaju Barkerowskiego (i nie tylko) horroru. „Elizabeth quest” to klasyczna gotycka opowieœæ grozy, gdzie roi siê od szkieletów i wilko³aków, nie znajduj¹ca chyba pierwowzoru w twórczoœci Barkera. „Aaron quest” przenosi nas w klimat dalekiego wschodu: piraci, orientalna magia, opowieœci z tysi¹ca i jednej nocy. To chyba oznaka fascynacji kultur¹ Azji (czêœæ akcji „Galilee” rozgrywa siê w Samarkandzie). „Kessinger quest” otwiera bramê do innego wymiaru. Prowadz¹ce donik¹d schody, wisz¹ce w powietrzu bramy… Kolejny „Aaron quest” to Barker w najczystszej postaci! Historia malarza, którego pragnieniem by³o tchn¹æ ¿ycie w obrazy, z powodzeniem mog³aby znaleŸæ siê na ³amach „Ksi¹g krwi”. Tytu³owy Aaron to równie¿ typowy „bohater Barkerowski”. Przeniesiony ¿ywcem z atlasu anatomicznego, koœci i miêœnie, ¿ywcem obdarty ze skóry. Do tego dochodzi œwist haków i ka¿dy wie, ¿e niedaleka droga prowadzi od Aarona do Cenobitów. Wreszcie historia ostatnia „Betheny quest” rozgrywa siê w œwiecie Wiecznej Jesieni. Zawsze uwa¿a³em, ¿e Barkerowi najs³abiej wychodzi maria¿ literatury grozy z fantasy (vide „Imaijca”), wiêc ostatni quest mam za najs³absz¹ czêœæ gry.

Uwa¿am „Undying” za najlepsz¹ grê, w jak¹ kiedykolwiek gra³em. Byæ mo¿e dla wielu bêdzie to opinia myl¹ca, gdy¿ w dziedzinie gier komputerowych jestem zupe³nym profanem i nie znam prawie innych tytu³ów z wyj¹tkiem tego jednego. Co nie przeszkadza mi gor¹co polecaæ wszystkim w³aœnie „Undying”.

I tak wy³ania siê obraz Cliva Barkera na pocz¹tku nowego tysi¹clecia. Obraz artysty zmêczonego star¹ konwencj¹. Twórcy otwartego, poszukuj¹cego i nie ogl¹daj¹cego siê na schematy. Nie wszystkie podejmowane eksperymenty s¹ do koñca udane, nale¿y jednak doceniæ odwagê (proszê porównaæ z zachowawcz¹ postaw¹ S. Kinga). Zatytu³owa³em artyku³ „Nowa twarz horroru”, lecz widaæ teraz, ¿e horror to dla Barkera zbyt ma³o, a jego nowa twórczoœæ rozsadza ³amy gatunku. On jeszcze nie raz zadziwi czytelników, jestem tego pewien.

rys. Radq

Micha³ Protasiuk

Clive Barker, *Galilee*, wyd. Zysk i Ska, Poznañ 2003.

***Clive Barker's Undying*, EA Games 2001.**

DYSKUSJA E-MAILOWA

Futurologia po polsku, czyli PL +50

<Wojtek>
Mam za sob¹ Zimniaka (nawet niez³e jako groteska, choæ pomys³ odpowiedzialnoœci prenatalnej nie dopracowany. Od strony prawnej nie trzyma siê to kupy - prawdopodobieństwo zbyt bliskie zeru, by taka wizja by³a niepokoj¹ca). \

Mam tez za sob¹ Oramusa - jednak rozczarowanie: ubogi jêzyk, brak rozmachu wizji, a szkoda, bo opowiadanie ma coœ w sobie. Dla mnie jest zbyt oczywiste, choæ pod koniec coœ siê dzieje - jak rozumiecie zakończenie? A poza tym: niez³y pomys³ z tym Tybetem...

No i „Crux” Dukaja - dobre opowiadanie, œwietnie siê czyta, choæ trochê komiksowe (komiks by³by œwietny!); szalony pomys³ - pokazaæ futurystyczn¹ wersje „ch³opskiej” rabacji przeciwko „panom”. Tradycyjnie fajna inwencja jêzykowa (w sam raz, bez technologicznych przeci¹¿eñ). Natomiast inspirowanie siê Pej¹ uwa¿am za niepokoj¹ce (nawet bardziej ni¿ Rammsteinem).

<Krzysztof>
Nie ma to, jak siê niewiele spodziewaæ po ksi¹¿ce..., mo¿na siê wtedy naprawdê mile zaskoczyæ.

Dukaj w takim chyba doœæ jak na niego zdawkowym tekœcie bardzo obrazowo opisa³ w koñcu to, co wielu niby przewiduje, spo³ecznoœæ bezrobotnych. Du¿o nawk³adanych pomys³ów, od czapy (m.in. moda szlachecka), œwietna zabawa jêzykiem, ciekawe œwie¿e prekognicje zwrotów (np. go³oci i lepperzy). I mro¿¹ca krew w ¿y³ach wizja podró¿y apostolskich relikwii Papie¿a.

Tokarczuk - napisa³a tekst w starym stylu, taki Bradbury. A¿ mi³o, bo takich tekstów, dziej¹cych siê w naszym zak¹tku œwiata, nie by³o. Myœlê, ¿e ta niby g³ównonurtowa autorka (ale bêd¹ca fank¹ fantastyki), wnosi œwie¿y nawrót do tradycji SF. Siedem lat temu uzna³bym taki tekst za dowód, ¿e w g³ównym nurcie wci¹¿ ¿yj¹ schematy na temat SF pochodz¹ce sprzed 30-tu lat. Teraz nie jestem taki zaciêty. Tekst jest krótki, pe³en wra¿liwoœci, dobrze opisuj¹cy swój kawa³ek œwiata. No i w starym stylu SF jest jeden tajemniczy gad¿et (zdradzê: ekran kinowy).

<Maciej W.>
Ja, ziom z ziomalstwa Dêbina równie¿ „PL+50” naby³em i sobie cedzê opowiadanko co 2-3 dni to ciekawe, ale wiêcej mi z tego w g³owie chyba zostaje, ni¿ pykniêcie tego wszystkiego na raz.

Chyba Krzysztofie poszed³ mem na Dukaja, bo akurat w ten weekend te¿ przeczyta³em jego tekst na pocz¹tku muszê powiedzieæ, ¿e Dukaj opisa³ Polskê tak, jak to co mi kiedyœ chodzi³o po g³owie - a wiêc pielgrzymki relikwii papieskich, jako jedyny element spajaj¹cy coraz bardziej rozdzielaj¹ce siê od siebie „ojroregiony”, czy powrót w wy¿szych sferach czystej polszczyzny (choæ u mnie nie sarmackiej, raczej przedwojennej, sanacyjnej). W moim tekœcie wybucha powstanie antyunijne, gdzie walcz¹ m.in pu³ki dresiarskie, na tym tle rzecz jasna mi³oœæ... ogólnie pewnie skoñczy³bym go jakoœ optymistycznie, patriotycznie i ewangelicznie... no ale teraz, to ju¿ mogê byæ tylko epigonem Dukaja) a sam Jacek D. da³ mi ostro po g³owie... jako mieszkaniec bloków, z miasta Peji, (który reprezentuje biedê) poczu³em siê dziwnie...

Dukaj ma tendencje do pacyfikowania mot³ochu - w „Czarnych Oceanach” czy „Innych Pieœniach” ludzie w tle s¹ u niego bezkszta³tn¹ mas¹, któr¹ mo¿na pa³owaæ bez ograniczeñ - policja jest ZAWSZE dla bogatych, strzelanie, siekanie czy r¿niêcie biedoty nie ma ¿adnych konsekwencji. Myœlê, ¿e w tym obrazie blokowisk t³uszczy, która ¿re i nie pracuje, mimo wszystko przegi¹³, bo jak sami wiecie, blokowiska skupiaj¹ ludzi ró¿nych opcji, wyznañ i wykszta³ceñ - choæ tendencje s¹ niestety Dukajowe. a wiêc wynoszenie siê co bogatszych i m¹drzejszych do dzielnic podmiejskich (co zreszt¹ sam obserwujê na przyk³adzie moich kolegów z podstawówki). Niestety mo¿e tak byæ, jak Dukaj wieszczy, choæ ja osobiœcie siedz¹c we wspólnocie gdzie „wilk

z barankiem mieszka razem", widzê, ¿e wszelkie podzia³y s¹ do pokonania (choæ nie ludzkimi si³ami).

Sam trend-mem sarmacki zawsze mi podchodzi³ jako alternatywa dla kaszany po PRL-u, nie mam nic przeciwko jego powrotowi, choæ Dukaj mi trochê idealizowanie tego neosarmatyzmu odbr¹zowi³ (i dobrze!)

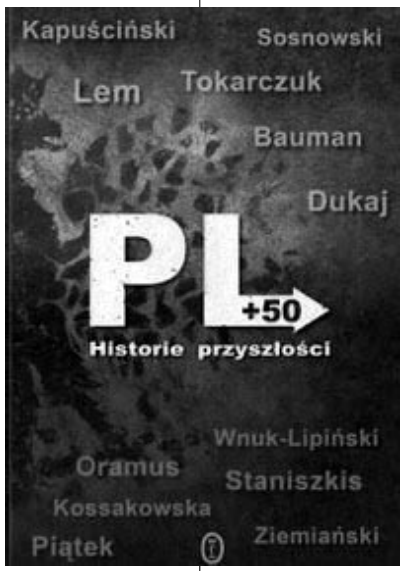

Tokarczuk nie czyta³em (mea culpa), czyta³em za to ¯erdziñskiego - te¿ mocny tekst, choæ jak dla mnie za mêtnie napisany, jakoœ nie podesz³o mi zakoñczenie.

Oribitowski niczego sobie, choæ tekst topornie ciosany, jak pogañski bo¿ek, przeszkoda krzy¿owa dla g³ównego bohatera jak siê domyœlacie, mi osobiœcie bardzo podesz³a.

Regalica napisa³ to, co mia³ napisaæ - i dobrze, choæ wizja rozpirzonej by³ej Polski,w tym kszta³cie nie bardzo do mnie przemawia.

Gównonurtowcy - Pi¹tek i Odjia napisali tak jak to gównonurtowcy - forma mo¿e i jest, ale treœæ... dupa blada

Eseje Jêczmyka i Lema smaczne, Jêczmyk mo¿e nie w najwy¿szej formie, ale swoje ugra³, Lem pozytywnie zaskoczy³ - bez tradycyjnego smêcenia, „coœ optymistycznego" na koniec „nie ma alternatywy dla nadziei".

<Wojtek>

No, ja akurat antologi¹ jestem raczej rozczarowany: publicystyk¹ bodaj jeszcze bardziej ni¿ proz¹. Wiem, ¿e ³atwo naraziæ siê na œmiesznoœæ uprawiaj¹c prost¹ futurologiê, ale z drugiej strony takie by³o za³o¿enie antologii - tymczasem wiêkszoœæ autorów (tak prozaików, jak i publicystów) stosuje filozofiê uniku, uciekaj¹c w ró¿ne aluzje i wygibasy, byle nie napisaæ niczego konkretnego. Zreszt¹, jedna czwarta tekstów jest nie na temat (Pi¹tek, Odija czy Sosnkowski - choæ ten ostatni sam w sobie akurat dobry). Natomiast mile zaskoczy³ mnie Grzêdowicz (tekst powinni przeczytaæ ku przestrodze antyglobaliœci - tak mo¿e wygl¹daæ œwiat ich marzeñ), rozbawi³ pierwszy tekst zbioru (Danowski).

Dukaj w „Cruksie" da³ wyraz swojej wizjonerskoœci - przenikliwoœci: wizja powtórki z rabacji galicyjskiej w roku 2050 - mocne i dobrze uzasadnione, choæ pozornie absurdalne jako pomys³. To niestety idzie u nas przez ca³¹ historiê - konflikt miêdzy „panami" a „ch³opami"; czym innym jest teraz Lepper? Zmar³y prof. Kubiak powiedzia³ w jakimœ wywiadzie, ¿e jest to dla niego zmora w historii Polski, i dopóki siê od tego antagonizmu „miasto - wieœ" nie uwolnimy, nie posuniemy siê zbyt daleko w naprawie Rzeczypospolitej. JD przedstawi³ zurbanizowane ju¿ ch³opstwo, now¹ klasê ziomalstwa, która marzy o tym, ¿eby „³oraæ jebuców" - i to wcale nie jest takie nieprawdopodobne, jak siê nam mo¿e wydawaæ - vide blokady i tego typu zabawy...

<Pawe³>

a) ziomalland doskona³y, aczkolwiek niewesoły.

Jak pamiêtacie, w „Czarnych Oceanach" by³a wy³o¿ona zasada 3/4; mam wra¿enie, ¿e obserwujemy w³aœnie (ju¿, teraz) jej krzepniêcie. Za 5-10 lat (bli¿ej 5) to siê wszystko scementuje i skostnieje, a nikt, kto bêdzie mia³ nieszczêœcie wchodziæ wtedy w doros³e ¿ycie, ju¿ na jakikolwiek spo³eczny awans liczyæ móg³ nie bêdzie. Zatem du¿o mieliœmy szczêœcia, koñcz¹c studia i znajduj¹c sobie jakietakie posady. Nie ugrzêŸliœmy w pierwszych trzech czwartych i nasze dzieci pewnie te¿ ju¿ tam nie spadn¹. Ale i tak po ptokach; lasciate omni speranza - szczerze w¹tpiê, czy wielu z nas przebije siê do warstwy wy¿szej œredniej, o oligarchii ju¿ nie wspominaj¹c.

Salariat - o, to bardzo dobre okreœlenie.

Ziomalstwo bardzo przekonuj¹ce, choæ neosarmatyzm wzi¹³ siê w Cruxie ni z gruchy, ni z pietruchy - mnie osobiœcie nie przekonuje.

b) eseje - Lem w formie intelektualnej zupe³nie dobrej, jestem mile w sumie zaskoczony. Jêczmyk taki sobie, trochê za ma³o ognia/werwy. Przeczyta³em jeszcze Baumana - o czym ten cz³owiek, do cholery, pisze?

c) z literatury jeszcze: Marucha trochê z innej beczki, jakby s³abo przystaj¹cej do tej akurat antologii, bardziej by siê tam nadawa³y dwa opowiadania z poprzednich i zapoprzednich „Wizji". ¯erdziñski za to œwietny w klimacie, widaæ z mieszkania na Œlunsku mo¿na wyci¹gn¹æ artystyczne korzyœci.

<Krzysztof>

To ja jeszcze poci¹gnê w¹tek antologii PL+50, bo przeczyta³em kiedyœ tam prawie wszystko, co jest fabu³¹, bo wypoty naukowców od Jêczmyka przez Staniszkê, Kapustê i innych po Lema œrednio mnie zainteresowa³y. Zapewne s¹ wyœmienite, ale nie widzê sensu w czytaniu tego.

Ogólnie tytu³em wstêpu, to powiem, ¿e jestem nawet bardzo zadowolony, w przeciwieñstwie do niektórych z kolegów. Myœlê, ¿e wysz³y ca³kiem fajne teksty. Nie widaæ, ¿eby by³y pisane na zamówienie. Ka¿dy raczej swoje przemyœlenia, pomys³y, ubra³ w zadany temat. Nie by³o futurologii, by³y fabu³y, przygody.

Powiem wiêcej. Fantastyka, która dla nas i dla autorów jest klasyczna, czyli pisana mniej wiêcej w latach 1930 - 1960 podejrzewam, ¿e ma tak¹ cechê, ¿e mianowicie bardzo czêstym w niej elementem by³o wybieganie w przysz³oœæ o jakieœ 50 lat. To jest taki archetypiczny w¹tek, który jakby czujemy przez krew. Taki punkt wyjœcia dla dowolnych historii.

Ostatnio SF posz³a albo w bardzo bliski zasiêg (np „12 Ma³p", „Armaggedon" - podajê filmy, bo jak wiecie wcale nie czytam) albo w teraŸniejszoœæ (dajmy na to „9 wrota"), albo w jakieœ mega odjechane sprawy (typu Dukaj). Tymczasem tutaj mamy powrót do formy klasycznej, która sprawdza siê jak najbardziej.

Myœlê wiêc, ¿e ta antologia nie powinna siê nazywaæ PL+50, historie przysz³oœci Polski, ale np. „Klasyczna SF po Polsku" - taka jest prawdziwa zawartoœæ tej ksi¹¿ki. Polska jest na drugim planie (i myœlê ¿e dobrze, gdy¿ to nie atlas, ani Konstytucja, ale wybór literatury). Na pierwszym planie jest forma literacka.

Tyle tytu³em wstêpu. Z ogólnych uwag powiem, ze wszystkie teksty (fabularne) wyda³y mi siê dobre, nadaj¹ce siê do antologii (a to rzadkoœæ, vide antologia Piekary, Szmidta albo Kowala), z dwoma wyj¹tkami. Bior¹c pod uwagê czysto literackie kryteria - œwiat³a dziennego nie powinny ujrzeæ dwa teksty - „Serce Wo³u" wielokrotnej nominantki do nagrody im. JAZa. oraz „Ch³opaki, wszyscy idziecie do piek³a". Obydwa te teksty, pomimo, ¿e ciekawe, to nie s¹ pozbawione elementów grafomañskich, o czy mo¿e jeszcze dalej coœ napiszê.

A po kolei:

1. Listy z Tytana - rozumiem, ¿e Mro¿ek by³ pierwszy, ale nigdy tekst Mro¿ka mi siê nie podoba³. By³ taki siermiê¿ny, widaæ, ¿e nie napisany przez cz³owieka od SF, taka wprawka niedopracowana. Tekst Dajnowiskiego wydaje mi siê du¿o lepiej dopracowany, pe³ny, nie pozbawiony dramaturgii. Mro¿ek to by³ tylko kontrast, gag. Tutaj mamy regularnoœæ i pe³noœæ.

2. £abêdzi œpiew ministra dŸwiêku. - to ju¿ trzecie opowiadanie tego autora, jakie zapozna³em. Nie mam od autora wielkich oczekiwañ, ale napisa³ swoje. Inteligentny, dobrze czytaj¹cy siê tekst.

3. Kochaæ w Europie - Dobry tekst. Przemyœlany i znów inteligentny. Zabrak³o dwóch rzeczy, w których Zimniak jest dobry - oryginalnego jêzyka oraz gorêtszych uczuæ.

4. Wyhoduj mnie proszê - ju¿ po raz trzeci móg³bym napisaæ „dobry tekst tego autora w stylu tego autora." Ale tak w³aœnie jest.

5. Orbitowski - W³adca Deszczu - mam coraz wiêkszy szacunek dla tego autora. Bardzo sprawny tekst w stylu Orbitowskiego ::))). Kurde chyba ju¿ mi siê pozapomina³y moje oryginalne refleksje.

6. Serce Wo³u - No i tutaj pierwsze zaskoczenie - autorka, która niby to powinna napisaæ cos feministycznego, bo tak¹ mi siê wydawa³a byæ - pisze bardzo ciekawy tekst, który sprzeciwia siê wyznawcom Bogini Matki. Tekst bardzo ciekawy, ale...

Jest to pierwszy tekst pani wielokrotnie nominowanej do nagrody Zajdla, jaki przeczyta³em i zadziwi³em siê - có¿ za nieumiejêtne zdania. To jest opinia subiektywna, mog³em

mieæ z³y dzieñ, sam nie wiem co. Bardzo jestem ciekaw waszej refleksji, ale moim zdaniem, w ka¿dym akapicie drzemi¹ sformu³owania godne licealisty.

Powtarzam - nie wierzê swoim oczom, ale jednak spostrzegam, ¿e MLK ma straszny styl, bo tematyka OK, ciekawe, co s¹dz¹ inni.

7. Rubie¿ - Olga Tokarczuk - ju¿ to pisa³em - ze to jeden z lepszych tekstów tej antologii. W czasach mojej m³odoœci zjecha³bym go za wtórnoœæ (sceneria Millera + wylewnoœæ Bradubryego + konceptualizm Clarke'a). Ale teraz to uwa¿am za dobry tekst, wra¿liwy, kobiecy niekoniecznie od razu wtórny.

8. Autorewers - O! - to w sumie takie bardzo nieciekawe. Dobrze pisane ale nieciekawe.

9. Ostatnia poetka - wiadomo, taka ma³a konceptualna publicystyka. Daleko od poezji, daleko nawet od prozy. Ale dobrze ¿e taki tekst mó g³ ujrzeæ œwiat³o dzienne.

10. Bia³a krew Doramusa - tekst moim zdaniem bardzo dobry, tyle ¿e wygl¹da jak pó³ opowiadania. W¹tki siê zawi¹za³y, wci¹gnê³y. Masa œwietnych scen. Takie dickowskie, takie jakieœ tam inne. I nagle siê urywa i nie wiem, przynajmniej ja, o co chodzi.

11. Andrzej Ziemiañski - ¿e on potrafi pisaæ grafomañsko, to wiecie. Niektórzy go broni¹, ¿e jego teksty maj¹ momenty tragiczne, ale maj¹ te¿ momenty œwietne. Ten tekst momentów œwietnych ma tyle, co ja wyprasowanych koszulek. Sceny pretensjonalne. Wszystko sprowadza siê do tego, ¿e g³ówny bohater wygra jedn¹ bitwê, ale nie mamy pojêcia, co ta bitwa mu niby da. No ale najgorsze s¹..... dialogi. Rozmowa g³ównego bohatera z g³ówn¹ bohaterk¹ na temat Polski i patriotyzmu to osza³amiaj¹cy popis kalectwa. (a) sformu³owania niby podnios³e, ale komiczne, (b)argumenty niby brutalne, ale przezabawne (c) autor nie mo¿e siê zdecydowaæ, jakie postacie maj¹ pogl¹dy i zmienia im siê kilka razy w ci¹gu rozmowy, pogl¹dy, jak ³adunki pomiêdzy elektronami, przeskakuj¹ pomiêdzy rozmówcami.

S³abizna.

12. Oramus - Orwell bardzo interesuj¹cy.

13. Branim - zasypia³em na ka¿dym akapicie.

14. Crux - siê wie.

15. Grzêdowicz - rzeczywiœcie dobry, obrazowy, konsekwentny (w konstrukcji œwiata i postawach ludzkich) tekst. To, co mo¿e w tym tekœcie boleæ, to przejrzystoœæ jego treœci. Brak jakichkolwiek niedopowiedzeñ. Ale wiêkszoœæ tych tekstów taka jest, wiec czemu siê mam czepiaæ akurat Grzêdowicza?

16. Odja - spacer. Z tematem „Pl+50" chyba niewiele wspólnego, ale czyta siê bardzo dobrze jako etiudê.

17. Pi¹tek, nie ma co gadaæ.

<Krzysztof>

Pi¹tek i Odija - myœlê, ¿e jednak jest o czym gadaæ. To, jak my (z Maciejem Parowskim równie¿) traktujemy te teksty, oraz to, co pisze o nich sam Dukaj we wstêpie - dowodzi naszego ograniczenia, a szerokich horyzontów Dukaja. Pisze on, ¿e „zdaj¹ siê oni twierdziæ, ¿e jedyna futurologia naprawdê przemijaj¹ca, to Futurologia Cz³owieka. Reszta to przemijaj¹ce bzdury".

Bo warto o tym pomyœleæ. Zdanie Odiji „Nie czytaj nazw instytucji i hase³ na sklepach - marna ich historia" gdyby brzmia³o nieco ciekawiej, mog³oby uchodziæ za motto ksi¹¿ki. Najwa¿niejsza i najciekawsza jest pojedyncza historia cz³owieka.

Problem jednak w tym, ¿e pomimo, i¿ postawili najbardziej s³uszn¹ tezê - to zw³aszcza Odija podszed³ do niej fatalnie. Jego podró¿ w g³¹b wnêtrz ludzkich wygl¹da jak garœæ nag³ówków czasopisma „Na ¯ywo". Czy rzucenie zdawkowych faktów o wykoœlawionych ¿yciorysach jest prawdziwym odkryciem duszy? Oczywiœcie, ¿e nie. To jest obskurne!

Pomimo, ¿e taki Pi¹tek z Odij¹ chcieli przeprowadziæ bunt „antropocentryczny", to o duszy ludzkiej znacznie wiêcej napisali np. Grzêdowicz, Oramus, Kossakowska w typowej futurystyce. Czyli nic nowego.

***PL+50 - historie przysz³oœci*, Wydawnictwo Literackie, 2004.**

f

Wojciech Jerzy Grygorowicz

Przypowieœæ o ¿yciu i œmierci

rys. Radq

Œmieræ nie jest ani koñcem, ani te¿ pocz¹tkiem.
Ona jest dopiero pocz¹tkiem pocz¹tku.

Jeœli chcecie poznaæ odwieczn¹ tajemnicê ¿ycia i zg³êbiæ równie nieodgadnion¹ zagadkê œmierci – idŸcie za mn¹. Poprowadzê was niezwyk³¹ drog¹. Poprzez czas i przestrzeñ, przez setki nieznanych zakamarków wszechœwiata i tysi¹ce œwiatów nie nale¿¹cych do naszej rzeczywistoœci. Wêdrówkê chcê jednak zacz¹æ w miejscu zupe³nie zwyczajnym. W ma³ej chatce poœród gór. Gdzie w mroŸn¹ zimow¹ noc przy trzaskaj¹cym weso³o kominku dwaj mê¿czyŸni prowadz¹ dyskusje nad sensem istnienia. Prawda, ¿e nic nadzwyczajnego?

Jeœli jednak przyjrzycie siê dok³adnie domostwu, zobaczycie pod jego drzwiami przys³uchuj¹c¹ siê rozmowie postaæ. Jest ubrana w ciemny habit, dobrze widoczny na tle czystego œniegu, a g³owê jej zakrywa kaptur. Opada na czo³o tak g³êboko, ¿e nie mo¿na dostrzec rysów twarzy. Najbardziej intryguj¹ce jest jednak to, ¿e owa postaæ, choæ ca³a rocelinnoœæ schowana jest pod grub¹ warstw¹ bia³ego puchu, w niezwykle chudych d³oniach trzyma kosê.

- A czym¿e jest ¿ycie?- mówi starszy mê¿czyzna. - Wiêkszoœæ religii przypisuje mu fundamentalne znaczenie i wp³yw na to, co bêdzie z nami póŸniej. Mo¿e jednak ... - zamyœla siê na chwilê, po czym zaczyna jakby z innej beczki.

- Cz³owiek rodzi siê. Po pewnym czasie idzie do przedszkola, a w zale¿noœci od osi¹gniêtych tam sukcesów idzie do szko³y lub do szko³y specjalnej. I znów siê zaczyna. Ci gorsi id¹ do gorszych, mniej wymagaj¹cych uczelni, a ci lepsi do lepszych. A po ich skoñczeniu wszystko siê powtarza. Byæ mo¿e nasze ziemskie ¿ycie te¿ jest tylko „przedszkolem" jakiegoœ d³u¿szego procesu.

- W takim razie Patryku po co wk³adaæ w nasze ¿ycie tyle wysi³ku skoro tak niewiele od niego zale¿y?- wtr¹ca siê do wywodu drugi, m³odszy mê¿czyzna.

- Jak to niewiele. To, jak wypadniesz w przedszkolu rzutuje przecie¿ na ca³e twoje póŸniejsze ¿ycie. Jeœli po przedszkolu pójdziesz do szko³y specjalnej, najprawdopodobniej nigdy nie dostaniesz siê na studia.

- Przepraszam, ¿e siê wtr¹cam - mówi œmieræ wchodz¹c do pokoju przez zamkniête drzwi.

- Rozmowa panów dotyczy w pewnym stopniu mnie, a ponadto zawiera sporo b³êdnych os¹dów, wiêc jako istota wiedz¹ca czujê siê w obowi¹zku sprostowaæ niektóre fakty. Porównanie z przedszkolem bardzo mi siê podoba, aczkolwiek nie mogê dyskutowaæ o jego prawdziwoœci. Zawieszona bowiem jestem miêdzy œwiatami, a jako ¿e w tamtym œwiecie wesz³am tylko do przedsionka, nie wiem co jest za nim. Przyk³ad ten jest jednak o tyle trafny, ¿e ¿ycie jak ka¿da uczelnia posiada pewien program. Zasady s¹ nastêpuj¹ce. Ka¿da istota musi doœwiadczyæ w ¿yciu tyle samo rozkoszy i cierpienia i mieæ szansê na zdobycie wiedzy i czynienie dobra. Jeœli w jednym ¿yciu nie zostanie wype³niony któryœ z tych warunków, dostaje siê nowe ¿ycie, które dope³nia programu. Oczywiœcie mo¿e siê zdarzyæ, ¿e program zostanie wykonany ju¿ za pierwszym razem. Mo¿e te¿ siê okazaæ, ze potrzebne bêdzie trzecie ¿ycie.

Obaj mê¿czyŸni pocz¹tkowo przera¿eni pojawieniem siê niespodziewanego goœcia, wraz z wywodem œmierci zaczynaj¹ zwolna siê uspokajaæ. A gdy œmieræ koñczy, starszy z nich mówi:

- Rozumiem, ¿e skoro pokaza³aœ siê nam i mówisz nam o takich rzeczach, to nadszed³ nasz czas.

- W zasadzie tylko têdy przechodzi³am, ale skoro ju¿ wesz³am, a co gorsze, zdradzi³am tajemnicê ¿ycia, muszê przedsiêwzi¹æ pewne kroki. Pozostawiê jednak panom mo¿liwoœæ wyboru. Albo wyrazicie chêæ zapomnienia wszystkiego, co przed chwil¹ us³yszeliœcie, albo... - tu œmieræ rozk³ada rêce - ...pójdziecie ze mn¹.

Obaj mê¿czyŸni decyzje podejmuj¹ od razu, ale ka¿da z nich jest odmienna.

- Chcê iœæ z tob¹ - odpowiada starszy. W ¿yciu spotka³y go tylko rozczarowania, zdrady i upokorzenia. Jest zmêczony. Jeœli wiêc w perspektywie ma jakieœ lepsze ¿ycie...

- Dobrze. A ty? – pyta œmieræ m³odszego mê¿czyznê.

- Zostajê – odpowiada tamten.

- Zatem dobrze - mówi œmieræ i podnosi rêkê, w której trzyma kosê.

W tej samej chwili starszy cz³owiek czuje straszny ból w piersiach i œwiat przed oczami ciemnieje. Usta na pró¿no próbuj¹ z³apaæ powietrze, a krew zdaje siê rozsadzaæ ¿y³y. Wreszcie ból ustêpuje. Ponownie dostrzega wnêtrze pokoju. Na pod³odze blisko rozgrzanego piecyka le¿y on sam. Jego m³odszy towarzysz najpierw próbuje cucenia, potem reanimacji. Œmieræ stoi niezmiennie w tym samym miejscu.

- Co teraz? - pyta stary cz³owiek.

- Otwieram przed tob¹ wrota do nastêpnego œwiata. - odpowiada œmieræ.

W tej samej chwili Patryk widzi, jak przed nim otwiera siê coœ na kszta³t tunelu. Wygl¹da to jakby na celuloidowym przeŸroczu ze zdjêciem pokoju ktoœ wypala³ czymoœ gor¹cym otwór. Tylko, ¿e ów otwór zieje nieprzebyt¹ czerni¹ i przyci¹ga go jak¹œ niewidzialn¹ si³¹. Po chwili wahania Patryk ulega tej mocy i wolno a potem coraz szybciej rusza w stronê tajemniczej dziury.

Postaæ w podobnym jak œmieræ habicie, lecz nie czarnym a purpurowym, spogl¹da na niego z wysokoœci tronu. Milczy d³ug¹ chwilê jakby w ten sposób chcia³a podkreœliæ wagê tego, co za chwilê og³osi. Wreszcie zaczyna.

- Cz³owieku, wype³ni³eœ ju¿ program swego ¿ycia. Dozna³eœ wszelkich rozkoszy i wszystkich zmartwieñ. Dosta³eœ szansê poznania i wykorzysta³eœ j¹. W czasie swych dwu ¿yæ, czy to w szczêœciu, czy cierpieniu nie splami³eœ siê zbrodni¹. Mimo przeciwnoœci by³eœ wierny swym idea³om. I móg³byœ rozpocz¹æ now¹ egzystencjê, gdyby nie jedna rzecz. Czy pamiêtasz, jak pod koniec twego pierwszego ¿ycia dobrowolnie przysta³eœ na jego zakoñczenie? Takie rozstanie siê z egzystencj¹ to ciê¿ki wystêpek. Wprawdzie s¹d nie uzna³ tego za samobójstwo, jednak bêdziesz musia³ odbyæ za to pokutê. Otrzymasz zadanie na œwiecie, który opuœci³eœ. Jeœli chcesz, mo¿esz byæ œmierci¹ i dane ci bêdzie prawo przerywania ludzkiego ¿ycia. Mo¿esz te¿ zostaæ ¿yciem i zostanie ci dane prawo jego nadawania. Pamiêtaj jednak, ¿e bêd¹c ¿yciem lub œmierci¹ w swym dzia³aniu nie mo¿esz kierowaæ siê uczuciem, sprawiedliwoœci¹ lub rozs¹dkiem. Zarówno ¿ycie jak i œmieræ musz¹ byæ tylko przypadkiem.

- Chcê byæ ¿yciem - mówi ten, który kiedyœ zwa³ siê Patrykiem.

- Dobrze - postaæ bez twarzy kiwa g³ow¹. – IdŸ zatem na ziemiê i weŸ to - i istota daje mu

coœ, co wygl¹da jak worek wype³niony szklanymi kulkami.

- To ludzkie dusze – wyjaœnia. - Ale tylko takie, które nie zazna³y jeszcze ¿adnego cia³a. S¹ nieœwiadome i bezbronne, ale przecie¿ ¿ywe i nieœmiertelne. Byæ ich siewc¹ to naprawdê piêkna pokuta.

***

Przez wiele lat, a potem dziesiêcioleci niczym maniakalny podgl¹dacz spieszy³, gdy wyczuwa³ wibracje mówi¹ce o fizycznej mi³oœci. Stawa³ nad kochaj¹c¹ siê par¹ zawsze z niezmiennym podnieceniem. To prawda, wraz ze strat¹ cia³a sprawy seksu przesta³y go interesowaæ. Tak jak dla motyla staje siê niczym to co by³o dla niego wa¿ne gdy jeszcze znajdowa³ siê w ciele g¹sienicy. Teraz jednak w ka¿dej nagiej parze splecionej w mi³osnym uœcisku widzia³ kolejny krok ku nowej egzystencji. Pe³en nadziei spuszcza³ w dó³ jedn¹ ze swych kulek. Czasami przeŸroczysta bañka nik³a w ciele kobiety i nie pokazywa³a siê ju¿ wiêcej. Znacznie czêœciej niczym bumerang wraca³a do worka.

Wbrew przykazaniu sêdziego mia³ pocz¹tkowo opory. Niechêtnie rzuca³ duszê, gdy mia³ podstawy przypuszczaæ, ¿e z takimi rodzicami dziecko nie bêdzie szczêœliwe. Szybko jednak wyzby³ siê w¹tpliwoœci. Wiedzia³ przecie¿, ¿e dusza w swym ziemskim ¿yciu zaznaæ musi tyle samo radoœci co i smutku. Wiedzia³ te¿, ¿e im prêdzej wykona sw¹ pokutê, tym prêdzej ruszy ku innej rzeczywistoœci, której by³ ciekaw coraz bardziej. Kulki zaczê³y ubywaæ szybciej, a¿ w koñcu zosta³a tylko jedna. Patryk wiele razy rzuca³ j¹ w rozgrzane mi³osnym tañcem cia³a, a ta za ka¿dym razem wraca³a. Dziesi¹tki razy, setki razy, tysi¹ce. Ciska³ j¹ stale z t¹ sam¹ nadziej¹ i odbiera³ z coraz wiêkszym rozczarowaniem i gniewem. Dlaczego jedna uparta dusza blokuje mu drogê do nowego ¿ycia? Mia³ coraz wiêksz¹ ochotê, by zostawiæ gdzieœ upart¹ pi³eczkê. Powstrzymywa³ siê jednak, porzucenie duszy oznacza³oby tu³aczkê bez sensu, a tak zawsze zostawa³a nadzieja. Tymczasem otaczaj¹cy go œwiat zmienia³ siê szybko. Nie tylko ten który mo¿na by³o poznaæ zmys³ami cz³owieka, zmienia³ siê równie¿ ten który widzia³ tylko on - oczami duszy. Coraz czêœciej przecie¿ rzuca³ pozosta³¹ kulk¹ nie w kochaj¹ce siê cia³a, lecz w inkubatory, w których nastêpowa³o sztuczne zap³odnienie. Z pocz¹tku mia³ nadziejê, ¿e ów zmieniony sposób rozmna¿ania zachêci upart¹ kuleczkê do ¿ycia, ta jednak wraca³a tak samo. A œwiat zmienia³ siê ci¹gle. Obserwuj¹c te zmiany Patryk mia³ wra¿enie, ¿e jakaœ stoj¹ca nad nim istota chce mu pokazaæ tryumf rodzaju ludzkiego nad materi¹, a potem b³yskawiczny tego rodzaju upadek. Widzia³, jak z Ziemi jedna za drug¹ wylatywa³y wyprawy wioz¹c kolonistów ku nowym œwiatom. By³ te¿ œwiatkiem, jak planetê coraz bardziej zape³nia³y maszyny, bardziej skomplikowane i coraz doskonalsze. A¿ w koñcu, gdy z taœmy monta¿owej zje¿d¿a³ kolejny typ robota, Patryk wyczu³ od niego ten sam sygna³, którym kiedyœ przyzywa³a go kochaj¹ca siê para. Zacz¹³ wiêc ciskaæ ostatni¹ duszê w powstaj¹ce w fabrykach maszyny, lecz nawet w tej pow³oce przeŸroczysta kulka nie chcia³a siê zadomowiæ. Ludzie tymczasem znikli zupe³nie. Nawet nie spostrzeg³, kiedy to siê sta³o. Dopiero póŸniej, gdy po raz kolejny bezskutecznie przetrz¹sa³ Ziemiê w poszukiwaniu choæby jednego ocala³ego cz³owieka zrozumia³, ¿e przegapi³ kluczowy moment w dziejach swej planety. Wtedy te¿ ostatecznie da³ za wygran¹. Uzna³, ¿e skoro nie mo¿e wykonaæ swojej misji musi znaleŸæ dla siebie inny cel. Choæ umar³, czu³ siê dalej cz³owiekiem i najchêtniej zrobi³by coœ dla ludzi. Tych jednak ju¿ nie by³o. Pamiêta³ jednak, ¿e kiedyœ Ziemiê opuszcza³y statki. Postanowi³ zatem ruszyæ ich œladem. By³ duchem i szybowanie w przestrzeni nie sprawia³o mu k³opotu.. Szybko jednak przekona³ siê, ¿e jego mo¿liwoœci by³y ograniczone. Nie móg³ lecieæ dowolnie szybko. NajwyraŸniej dusza te¿ podlega³a jakimœ fizycznym prawom, a mo¿e zawiera³a w sobie jakiœ element materii? W ka¿dym razie Patryk zorientowa³ siê, ¿e nie mo¿e podró¿owaæ szybciej ni¿ z œwiat³o. Zanim przybywa³ do kolejnego uk³adu mija³y wiêc lata. Wizytowa³ gwiazdê za gwiazd¹. Czasami na jakichœ planetach spotyka³ ruiny ziemskich baz, lecz nigdy ¿yj¹cych ludzi. Niezra¿ony rusza³ ku nowym œwiatom.

Wêdrówki w przestrzeni by³y nu¿¹ce, ale w koñcu, w czasie jednej kolejnych z podró¿y odkry³, ¿e mo¿e oddzia³ywaæ na materiê. Jako ¿e podczas d³ugiego lotu nie mia³ nic innego do roboty, zacz¹³ rozwijaæ tê umiejêtnoœæ. Po kilku setkach lat doszed³ do takiej wprawy, ¿e zmienia³ tor lotu napotkanych w przestrzeni drobin, a potem komet i planetoid. Nauczy³ siê wyzwalaæ i kontrolowaæ j¹drowe reakcje. Dla hecy, a mo¿e z zemsty za sprawiony zawód, powodowa³ wybuchy gwiazd w uk³adach, które ju¿ sprawdzi³. Choæ jednak zatacza³ coraz wiêksze krêgi, nie znaj-

rys. Radq

dowa³ ludzi. A¿ w koñcu, gdy przemierza³ odleg³e krañce galaktyki, natrafi³ na s³aby, dawno ju¿ nie odczuwany sygna³. Sygna³, jakim kiedyœ przyzywa³y go cia³a w mi³osnym uniesieniu. By³ on s³aby, lecz pozwala³ okreœliæ kierunek, z którego dobiega³. Ruszy³ wiêc w tamt¹ stronê. Wkrótce, w miarê gdy zbli¿a³ siê do jednej z gwiazd, sygna³ zacz¹³ siê nasilaæ, a gdy Patryk znalaz³ siê w pobli¿u planety, by³ ju¿ ca³kiem wyraŸny. Nie dochodzi³ jednak z jej powierzchni. Na orbicie natkn¹³ siê na stary ziemski frachtowiec, jakim kiedyœ opuszczali Ziemiê kolonicœci pragn¹cy zasiedlaæ nowe œwiaty. Statek by³ prawie nienaruszony, jedynie sterowniê musia³ rozbiæ niewielki meteor. Sprawdzi³ pojazd dok³adnie, lecz nie znalaz³ nikogo ¿ywego. Za³oga ju¿ od wieków by³a martwa. Sygna³ nie dochodzi³ jednak z przedzia³ów mieszkalnych. Dolatywa³ z ³adowni, gdzie w pojemnikach

sta³y zamro¿one embriony ludzkie. Obok nich piêtrzy³a siê aparatura, w której kiedyœ rozwija³y i rodzi³y siê dzieci. NajwyraŸniej by³o to potomstwo kolonistów. Mimo d³ugiego czasu oczekiwania, wiêkszoœæ embrionów by³a ¿ywa. Jednak tylko jeden z nich wysy³a³ sygna³ œwiadcz¹cy o tym, ¿e oczekuje na duszê. Pozosta³e swoje „kulki” musia³y otrzymaæ dawno temu i teraz trwa³y w pó³drogi miêdzy ¿yciem a œmierci¹. Nie namyœla¹c siê doby³ ostatni¹ znienawidzon¹ pi³eczkê i cisn¹³ j¹ w pojemnik z embrionem. A ten wch³on¹³ sw¹ dusze i ju¿ jej nie odda³. Równoczeœnie przed Patrykiem otworzy³ siê czarny otwór, tak samo mocno zapraszaj¹cy do wejœcia jak ten, który ujrza³ po swojej œmierci. Teraz jednak coœ go wstrzymywa³o. Z jednej strony nie móg³ sobie nic zarzuciæ. Przecie¿ ta dusza wiêzi³a go na tym œwiecie przez tysi¹ce lat. Czy¿ on nie móg³ odp³aciæ jej i zrobiæ z ni¹ tego samego? Wystarczy³o tylko daæ siê wessaæ w ów przyci¹gaj¹cy go otwór. Zamiast tego Patryk opuœci³ siê nad planetê i przelecia³ nad jej powierzchni¹. Bardzo przypomina³a Ziemiê. By³y tam oceany i morza, a pó³nocny i po³udniowy biegun przykrywa³y lodowe czapy. Na najwiêkszym z kontynentów dostrzeg³ wysokie góry z bielej¹cym na ich szczytach wiecznym œniegiem. Wokó³ planety kr¹¿y³y dwa ksiê¿yce. Jeden wielkoœci ziemskiego, drugi znacznie mniejszy. ¯ycie tutaj musia³o jednak pobiec innym torem, a mo¿e te¿ mia³o mniej czasu. Niektóre z porastaj¹cych l¹d roœlin przypomina³y bowiem te, które kiedyœ widzia³ na ilustracjach przedstawiaj¹cych roœlinnoœæ z dawnych epok. Zwierz¹t na l¹dzie prawie nie by³o, jeœli nie liczyæ niewielkich lataj¹cych owadów. Za to oceany wrêcz kipia³y od ¿ycia.

Patryk patrzy³ to na statek, to na ziej¹cy niezg³êbion¹ czerni¹ otwór. By³ niczym Syzyf, któremu po wielu próbach uda³o siê wynieœæ g³az na szczyt góry. Lecz w³aœnie teraz ów bohater zastanawia³ siê, czy nie zepchn¹æ g³azu i nie zacz¹æ pracy od nowa. Nagle podj¹³ decyzjê. Otoczy³ statek polem i ostro¿nie sprowadzi³ go na powierzchniê planety. Miejsce, które wybra³ zas³ugiwa³o w pe³ni na miano raju. W ka¿dym razie on w³aœnie tak wyobra¿a³ sobie raj, gdy by³ dzieckiem. Moc¹, któr¹ dysponowa³, uruchomi³ inkubatory. Ba³ siê, ¿e rozmro¿ony embrion zwróci duszê. Tak siê nie sta³o i wisz¹cy nad nim otwór dalej zaprasza³ go do wejœcia. On jednak przez miesi¹ce dogl¹da³ rosn¹ce zarodki. Nastêpnie przez lata patrzy³ jak ros³y dzieci. Niewidzialny opiekuñczy duch uczy³ je, leczy³ gdy chorowa³y, ustanawia³ przywódców i prawa, kara³ i nagradza³. A dzieci ros³y coraz bardziej, a¿ pewnego dnia z czekaj¹cego na niego otworu wy³oni³y siê dwie postacie. Jedna trzyma³a tak dobrze znany Patrykowi worek przeŸroczystych kulek, druga nios³a kosê. Wyszed³ istotom na spotkanie, lecz one nie zwróci³y na niego uwagi, a mo¿e w ogóle go nie dostrzeg³y. I wtedy Patryk zamyœli³ siê. Gdy waha³ siê, czy zostawiæ duszê w zamro¿onym embrionie, mia³ naprawdê w¹tpliwoœci, ale teraz... Dzieci, które wychowa³, by³y ju¿ doros³e. Wiedzia³, ¿e zachowaj¹ w pamiêci swego niewidzialnego opiekuna i prawa, które im nada³. By³ zresztą, niezale¿nie czy w ¿yciu, czy ju¿ po œmierci, zawsze skromny i religijny, a to, co robi³ zaczyna³o coraz bardziej przypominaæ zabawê w Boga. Chyba wiêc nadszed³ ju¿ czas, by...

***

- Czy pamiêtasz s³owa, które wymówi³eœ zanim pierwszy raz przysz³a po ciebie œmieræ? – zakapturzona postaæ w purpurze pojawia siê nagle obok Patryka. Nie siedzi ju¿ na tronie lecz stoi obok niego. Jakby chc¹c pokazaæ, ¿e teraz jest mu równa.

- Mia³eœ wtedy racjê, ¯ycie rzeczywiœcie przypomina szko³ê, a ty w³aœnie przeszed³eœ do nastêpnej klasy. Zresztą czêœæ programu uda³o ci siê wykonaæ ju¿ w poprzedniej. Teraz przed tobą nowa egzystencja. ¯ycie stworzyciela i niszczyciela œwiatów.

- A co by by³o, gdybym zostawi³ ostatni¹ duszê w zamro¿onym embrionie? – pyta nagle Patryk.

- Nic, tak samo zda³byœ do nastêpnej klasy - odpowiada tajemnicza istota - S¹dzê jednak, ¿e to, co zrobi³eœ bêdzie ci policzone jako zas³uga do nastêpnego ¿ycia.

- Tego jako stworzyciela œwiatów?

- Nie. Do ¿ycia które nast¹pi po nim.

- A jakie ono bêdzie? - znów pyta Patryk.

- Nie wiem. Do tamtego œwiata mam prawo wejœæ tylko do poczekalni ... – odpowiada postaæ bez twarzy.

NOWE ŒREDNIOWIECZE

Nie ma koñca historii! Pomimo, ¿e Nowe Œredniowiecze nie mieœci siê ju¿ w formule „Nowej Fantastyki” (by³o za ma³o nowe czy za ma³o fantastyczne?), to ta historia siê nie koñczy. Pan Lech Jêczmyk zgodzi³ siê udostêpniæ „Innym Planetom” ci¹g dalszy rozwa¿añ o przemianach zachodz¹cych w œwiecie. To miêdzy innymi dziêki niemu „Inne Planety” pozostaj¹ inne ni¿ reszta i nie podlegaj¹ unifikacji. „Nowa Fantastyka” te¿ kiedyœ by³a inna. Na szczêœcie mo¿na odetchn¹æ z ulg¹, bo teraz ju¿ jest taka sama.

A koniec historii? Jest tylko jeden - Ap 22.20. Albo w wersji dla osób o delikatnym œwiatopogl¹dzie, s³owami poety, który „jeszcze do Ciebie powróci...” - Bal w Operze cz. XII. (kg)

Lech Jêczmyk

Globalizacja Wojny światowej nie będzie

Czy globalizacja, o której tyle siê mówi i pisze, której przeciwnicy stworzyli ruch rewolucyjny, obejmuj¹cy ca³¹ cywilizacjê zachodni¹, jest czymœ jakoœciowo nowym, co zmienia zasadniczo oblicze œwiata?

Niektórzy autorzy zwracaj¹ uwagê na wiêksz¹ ni¿ dziœ ³atwoœæ podró¿owania i handlu miêdzynarodowego przed I wojn¹ œwiatow¹. To prawda, ale nie przeszkodzi³o to wybuchowi pierwszej, a potem drugiej wojny œwiatowej miêdzy najwiêkszymi pañstwami globu - udzia³ w niej by³ niejako obowi¹zkiem towarzyskim. Nowym zjawiskiem jest chyba coraz wiêkszy zwi¹zek wojny z czynnikami gospodarczo-finansowymi.

W powieœci Hellera o drugiej wojnie œwiatowej „Paragraf 22” niezwykle utalentowany kombinator, sier¿ant Minderbinder z amerykañskiego lotnictwa bierze od Niemców pieni¹dze za zbombardowanie w³asnych oddzia³ów. To oczywista satyra na wolnorynkowy liberalizm, ale Heller nie by³ tak znowu daleki od prawdy. Podczas oblê¿enia Warszawy we wrzeœniu 1939 roku niemieckie bombowce „wypuœci³y” parê bomb nad podmiejskim Milanówkiem, trafiaj¹c w fabrykê o³ówków Majewskiego. Uznawano to za g³upi b³¹d lub przypadek, dopóki nie wysz³o na jaw, ¿e eskadr¹ bombowców dowodzi³ syn niemieckiego producenta o³ówków, który skorzysta³ z zawieruchy wojennej, ¿eby za³atwiæ swoje sprawy handlowe (dziœ nie trzeba wojny, s³u¿y to tego instytucja tzw. „wrogiego wykupu”, daj¹ca takie same skutki, o czym œwiadcz¹ liczne ruiny fabryk w Polsce). Podczas ataku na Jugos³awiê Amerykanie po intensywnych i kosztownych nalotach zdo³ali zniszczyæ trzynaœcie jugos³owiañskich czo³gów, ale skutecznie zburzyli fabrykê samochodów Yugo, produkuj¹c¹ najpopularniejsze na rynku amerykañskim ma³e samochody.

WyobraŸmy sobie, co by by³o, gdyby dziœ ktoœ zapragn¹³ zbombardowaæ Polskê, tak jak zrobi³y to Niemcy w 1939. I buch w rosyjski ruroci¹g, buch w niemiecki bank, ³up w McDonalda! Murowany konflikt z ca³ym œwiatem! Trzeba podziwiaæ g³êbiê strategicznego myœlenia kolejnych polskich rz¹dów, które - nie maj¹c œrodków na utrzymanie nowoczesnej armii - opracowa³y samofinansuj¹cy siê program obrony. W takiej sytuacji nieliczn¹ polsk¹ armiê mo¿na rzeczywiœcie wys³aæ gdzieœ do ciep³ych krajów.

I tak to jest dziêki globalizacji prawie wszêdzie. Stany Zjednoczone s¹ klasyfikowane, jako szeœædziesi¹te ósme imperium w historii œwiata. Chiny czekaj¹ swojej kolejki z numerem szeœædziesi¹tym dziewi¹tym - zdawa³o by siê, ¿e starcie tych dwóch olbrzymów jest tylko kwesti¹ czasu, tymczasem co robi tutaj globalizacja? W samym tylko roku 2002/2003 chiñskie banki (z Hong Kongiem) wykupi³y amerykañskich obligacji rz¹dowych za dziewiêædziesi¹t szeœæ miliardów dolarów. W ten sposób Chiñczycy finansuj¹ amerykański deficyt bud¿etowy i podtrzymuj¹ wysoki kurs dolara. Dlaczego? Bo dziêki temu mog¹ zarzuciæ Stany swoimi towarami no korzystnych dla siebie warunkach. W rezultacie Stany musz¹ byæ uprzejme wobec Chin (które mog¹ jednym poci¹gniêciem zrujnowaæ dolara), a Chiny musz¹ dbaæ o zdrowie g³ównego nabywcy swoich towarów.

Równie¿ Rosja umieœci³a na Zachodzie ogromne iloœci swoich œrodków finansowych i nie bêdzie waliæ z rakiet do swoich kufrów z pieniêdzmi. Taka Szwajcaria, do niedawna symbol dumnej niezale¿noœci, jest dziœ praktycznie rosyjsk¹ koloni¹ finansow¹, a na liœcie najbogatszych ludzi œwiata b³yska coraz wiêcej nazwisk rosyjskich. Nie ³udŸmy siê, ¿e s¹ to zaradni ludzie radzieccy, którzy po wyjeŸdzie do USA dziêki pomys³owoœci i pracowitoœci zrobili w ci¹gu paru lat karierê od pucybuta do miliardera. S¹ to ludzie, przewa¿nie zwi¹zani ze s³u¿bami specjalnymi, którzy obracaj¹ na Zachodzie pieniêdzmi pañstwa sowieckiego/rosyjskiego.

Równie¿ pañstwa europejskie, choæ pohukuj¹ na politykê wojenn¹ Stanów (czêsto zresztą obliczon¹ poœrednio na os³abienie Unii Europejskiej) nie zechc¹ nara¿aæ swoich inwestycji w Ameryce. To samo dotyczy Japonii, która przez lata, lokuj¹c swoje nadwy¿ki w USA, stabilizowa³a finanse USA, póki nie zosta³a zast¹piona w tej roli przez Chiny.

W tej sytuacji prawd¹ jest to, co mówi¹ apologeci globalizacji - rzeczywiœcie sieæ wzajemnych uzale¿nieñ wyklucza konflikty zbrojne typu pierwszej i drugiej wojny œwiatowej. Zmagania mocarstw oczywiœcie nie usta³y, ale przenios³y siê na forum gospodarczo-finansowe. W mediach informacje o dzia³alnoœci Organizacji Narodów Zjednoczonych zosta³y wyparte przez sprawozdania z rokowañ w Œwiatowej Organizacji Handlu (WTO), bo tam siê dziœ buduje koalicje, wygrywa i przegrywa wojny.

Nie brakuje te¿ wojen „gor¹cych”, w których leje siê krew, ale przypominaj¹ one dziewiêtnastowieczne wojny kolonialne: to Centrum pacyfikuje zbuntowane Peryferia, jak Brytyjczycy w wojnie opiumowej (1842) przeciw Chinom, czy jak komandor Perry wp³ywaj¹cy w roku 1853 do Zatoki Tokijskiej, ¿eby wymusiæ na Japonii otwarcie na handel zagraniczny.

Centrum stanowi¹ Stany Zjednoczone, Chiny, Rosja, Japonia, Unia Europejska i wiele s³abszych pañstw, akceptuj¹cych narzucone regu³y.

Problem stanowi¹ pañstwa usi³uj¹ce zachowaæ niezale¿noœæ, zamykaæ granice przed obcym kapita³em i ustalaæ w³asne regu³y.

Obroñcy wspó³czesnego imperializmu (zwanego s³usznie, globalizmem) wywodz¹cy siê g³ównie z krêgu doradców prezydenta Busha i premiera Blaira formu³uj¹ swój program bardzo dobitnie: Centrum (Rdzeñ) musi narzuciæ swoje zasady Peryferiom. Niezale¿noœæ od Centrum stanowi zagro¿enie. Nale¿y siê skupiæ na kontrolowaniu Peryferiów. Centrum dysponuje rodzajami broni, których nie wolno mieæ pañstwom peryferyjnym. To niesprawiedliwe, ale s³u¿y porz¹dkowi. Zasad¹ jest, ¿e porz¹dek ma pierwszeñstwo przed sprawiedliwoœci¹.

Zwolennicy dalszej globalizacji myœl¹ nad stworzeniem doskonalszych narzêdzi do jej realizacji. Miêdzynarodowy Fundusz Walutowy ma metody postêpowania z pañstwami, które zbankrutowa³y finansowo, mówi¹, nie ma natomiast zasad postêpowania z pañstwami, które zbankrutowa³y politycznie, nale¿y wiêc powo³aæ odpowiedni¹ instytucjê (pomija siê w tych rozwa¿aniach ONZ, w której zresztą Stany Zjednoczone przegrywaj¹ sromotnie wiêkszoœæ g³osowañ). Mamy wojsko, mówi¹ amerykañscy globaliœci, które mo¿e wygraæ dwie, trzy wojny typu irackiej, ale nie potrafimy zorganizowaæ jednej porz¹dnej okupacji. Z wniosku, ¿e nale¿y stworzyæ specjalne „si³y stabilizacyjne”, wkraczaj¹ce do akcji po wygranej wojnie wynika, ¿e „porz¹dkowanie Peryferiów”, tego nowego Dzikiego Zachodu, zapowiada siê na proces d³ugotrwa³y. Tym razem udzia³ w decyzji ma ca³e spo³eczeñstwo amerykañskie: z³oœliwi twierdz¹, ¿e jak wygra Bush, to bêdzie wojna z Iranem, a jak Kerry, to interwencja w Sudanie.

Lech Jêczmyk

radio free NF nadaje....radio free NF nadaje

KRESY LITERATURY

Krzysztof G³uch

Walec unifikujący

¯eby nie wzbudzaæ podejrzeñ zacznê od Science Fiction. Czy wszyscy pamiêtaj¹ „Jazona z gwiezdnego patrolu?". Ja na przyk³ad nie pamiêtam go prawie wcale. A szkoda, gdy¿ by³ to (a w zasadzie bêdzie w dalekiej przysz³oœci) cz³owiek nieustraszony, który w gwiezdnym patrolu niestrudzenie (bêdzie) patrolowa³ gwiezdne przestrzenie, przeżywaj¹c pasjonuj¹ce przygody i pokonuj¹c piêtrz¹ce siê trudnoœci, dziêki czemu gwiazdy by³y (bêd¹) bardziej patrolowane.

Ten niestrudzony gwiezdny patrolant, postaæ niew¹tpliwie nieskazitelna i pozytywna, mia³ swoje zupe³ne przeciwieñstwo nosz¹cego to same imiê - wielk¹ kanaliê i ladaco, pe³nego niegodziwoœci okrutnego ¯yda.

Jazon, brat arcykap³ana Oniasza, bo o nim mowa, okrutnik, zdrajca i bezwstydnik sta³ siê aktorem wydarzeñ, które w œwiadomoœci œwiata (a przynajmniej ¯ydów, którzy wiadomo czym rz¹dz¹) sta³y siê symbolem masowej, przymusowej unifikacji.

Wydarzenia te zosta³y opisane w dwóch ksiêgach Biblii zwanych Machabejskimi - pierwszej i drugiej. Je¿eli czytaj¹cy te s³owa s¹ pobo¿nymi ¯ydami, albo wiernymi koœcio³a anglikañskiego, mog¹ byæ zaskoczeni, ¿e mianowicie nic im na temat takich ksi¹g nie wiadomo. Ano tak los chcia³, ¿e pewni ludzie pope³nili nieco g³upstw. A tak z nazwiska to Marcin Luter oraz ¯ydzi palestyñscy (w odró¿nieniu do tych aleksandryjskich). Uznali oni, ¿e ksiêgi w jêzyku greckim s¹ z jakichœ wzglêdów gorsze od tych w jêzyku hebrajskim i odrzucili je ze œwiêtego kanonu. Ponoæ Luter potem tego ¿a³owa³. A zw³aszcza musz¹ ¿a³owaæ tego ¯ydzi i pluæ sobie w swoje d³ugie brody, gdy¿ wydaje mi siê, ¿e to teksty dla ich narodu niesamowicie istotne. Przez ironiê, zachowa³y siê one dziêki Koœcio³owi Powszechnemu. To tak jakby pamiêæ o „Reducie Ordona" przetrwa³a tylko dziêki jej opublikowaniu w „Literaturze Radzieckiej".

Ale nic straconego, gdy¿ o ile wszystko dobrze pójdzie, to nied³ugo tekst ksi¹g Machabejskich (a zw³aszcza, jak mniemam - drugiej) zostanie z jêzyka greckiego przeło¿ony na jêzyk hollywoodzki, za spraw¹ (znów o ironio!) znanego antysemity i pod¿egacza do nienawiœci rasowej - Mela Gibsona.

Dodam, ¿e kino hollywoodzkie jeszcze nic nie nakrêci³o, czego by nie napisa³a literatura polska (tak jak Matrix bazuj¹cy na prozie Dukaja). Podobnie i z histori¹ o Machabeuszach - sta³a siê ona ju¿ tematem dramatu (nawiasem mówi¹c - greckiego) o tytule „Jazon" (autor Pawe³ Lisicki) . Tak wiêc nihili novi.

D³u¿ej ju¿ nie potrafiê kr¹¿yæ wokó³ sedna. Có¿ wiêc takiego opisuj¹ te ksiêgi, ¿e pobo¿ni ¯ydzi rw¹ swe brody, aMel Gibson ju¿ kupuje now¹ taœmê filmow¹? W wielkim skrócie historia ta, to taki „Braveheart" w sanda³ach. W skrócie nieco mniejszym by³o to tak, ¿e po œmierci Aleksandra Wielkiego ró¿ni helleñscy w³adcy (a to z Egiptu, a to z Syrii) pomyœleli, ¿e dobrze by by³o, gdyby wszyscy przyjêli kulturê greck¹. Jeden z tych w³adców (Antioch IV Epifanes, ale czy to wa¿ne - w³adza przechodzi z r¹k do r¹k) wyda³ taki mianowicie dekret, ¿e „Wszyscy maj¹ byæ jednym narodem i niech ka¿dy zarzuci swoje obyczaje" (1Mch 1,41). W sumie nic w tym z³ego, bowiem obyczaje greckie, jak dobrze wiemy by³y bardzo przyjemne. Izraelici równie¿ uznawali je za bardzo przyjemne (miêdzy innymi uwa¿a³ tak Jazon). Polubili na przyk³ad niesamowicie uprawianie sportu. Pocz¹tkowo nago, ale potem zaczêli siê wstydziæ swego obrzezania, wiêc je skrywali. Zainteresowa³a ich równie¿ filozofia grecka, pomimo, ¿e nieco k³óci³a siê z wiar¹ w życie pozagrobowe. Od czasu do czasu podjadali wieprzowinkê, albo pracowali w Szabat. Zasmakowali te¿ nieco w uciechach mi³osnych z dziewczêtami, a i pewnie równie¿ ch³opcami. W koñcu zaczêli sk³adaæ ofiary Zeusowi, Bachusowi i innym.

W sumie to nic takiego zdro¿nego w tych greckich obyczajach dopatrzyæ siê nie mo¿na. Wszak ka¿dy mo¿e postêpowaæ jak mu siê podoba. Problem jednak le¿a³ w tym, ¿e niektórzy ¯ydzi nie postêpowali tak, jak im siê powinno podobaæ. Przynosi³o to efekty. „Królewskie polecenie zabija³o ka¿dego, u kogo gdziekolwiek znalaz³a siê Ksiêga Przymierza" (1Mch 1,57), „wymordowano kobiety, które obrzeza³y dzieci, zawiesiwszy im niemowlêta na piersiach" (1Mch 1,60), oko³o tysi¹ca ludzi zginê³o w pustynnych jaskiniach, bo nie chcieli siê w ogóle broniæ w dzień Szabatu. Jeden ze starców, imieniem Eleazar nie chcia³ nawet udawaæ, ¿e je wieprzowinê (na przyk³ad jedz¹c w rzeczywistoœci cielêcinê).

Trzeba przyznaæ, ¿e oddawanie życia za mo¿liwoœæ obrzezania, posiadania Ksiêgi, czy wstrzymywania siê od wieprzowiny wydaje siê dziwaczne i „zaœciankowe". Wydawa³o siê wtedy ju¿, ¿e jednak szlachetne greckie obyczaje obejm¹ wszystkich. Sta³o siê jednak inaczej. Jedna, jedyna rodzina żydowska uzna³a, ¿e tak nie mo¿na. By³ to mianowicie Matatiasz i jego piêciu synów. Tak im siê wzburzy³y nerki, ¿e pozabijali królewskich urzêdników, uciekli w góry i wzniecili powstanie. Pocz¹tkowo przywódc¹ ich by³ Juda zwany Machabeuszem. Pobi³ on przewa¿aj¹ce si³y wroga kilkanaœcie razy. Pobi³ kogo móg³ (z Bo¿¹ pomoc¹). Ale w koñcu go zabili. Potem dowodzi³ Jonatan, który te¿ pobi³ wszystkich. Jego równie¿ zabili. Nastêpnie Izraelem dowodzi³ Szymon, który tak¿e da³ radê wszystkim, ale zabito go w zdradziecki sposób. Nastêpnie dowodzi³ Jan, ale tego ksiêgi Machabejskie ju¿ nie opisuj¹, wiêc nie wiem jak jego życie siê skończy³o.

Oto ca³a historia. Niby historia jak wszystkie. Myœlê jednak, ¿e jak nic opisuje ona bezczelnoœæ i bezwzglêdnoœæ unifikacji. Nasze czasy maj¹ w sobie coœ helleñskiego - globalizm kultury. Opór przeciwko takiej unifikacji ma w sobie coœ g³êbszego ni¿ np. walka o niepodleg³oœæ. Pobudki Judy Machabeusza (który, jak s¹dzê, bêdzie osi¹ filmowej opowieœci) s¹ o wiele bardziej g³êbokie ni¿ pobudki Williama Wallace'a vel Bavehearta.

Opór Machabeuszy, choæ œmieszny i zaœciankowy, wzniecony w imiê dziwacznych i nienowoczesnych żydowskich obyczajów, tak na prawdê ocali³ œwiat jaki znamy. Wp³ynêli oni na historiê w chwili, kiedy by³a ona uk³adem bardzo wra¿liwym na warunki brzegowe. Œwietnie to ujmuje o. Jacek Salij SJ w œwietnym eseju o „zaœciankowoœci":

Kiedy siê czyta dwie ksiêgi machabejskie, nie ma siê w¹tpliwoœci, ¿e ¯ydzi bronili wówczas (w drugim wieku ery przedchrześcijañskiej) swojego zaœcianka wbrew „ca³emu œwiatu". Po œmierci Aleksandra Macedoñskiego narody opanowane przez dynastiê Seleucydów zosta³y poddane walcowi unifikacji, porzuca³y tradycyjne prawa i religie, uczy³y siê greckich obyczajów i jêzyka, stapia³y siê w jedno spo³eczeñstwo. Procesy te ogarnê³y równie¿ ¯ydów i by³ moment, kiedy hellenizacja tego narodu wyda³a siê czymœ przes¹dzonym. Tylko dziêki nadludzkiemu wysi³kowi Machabeuszów żydowski „zaœcianek" na szczêœcie siê wtedy osta³. Nawet nie umiem sobie wyobraziæ, ¿e ktoœ móg³by przeczyæ temu, ¿e po dziœ dzieñ ca³a ludzkoœæ bardzo wiele korzysta z owoców tamtego - mog³oby siê wydawaæ, ¿e tylko partykularnego - zwyciêstwa

Mo¿na siê te¿ przez chwilê zastanowiæ o ile bardziej niebezpieczna jest unifikacja kulturowa prowadzona przez Greków od unifikacji militarnej prowadzonej przez Rzymian. Rzymianie, choæ zapewne okrutni wobec ¯ydów, nigdy chyba nie zagrozili ich to¿samoœci. Nale¿y te¿ dodaæ, ¿e Izrael Machabeuszów zawar³ silne przymierze z Rzymem i Spart¹. Podobnie mo¿na porównaæ podbój Polski przez nazistów (czysto militarny) z „kulturowym" podbojem Polski przez sowietów. Nazistowska unifikacja tylko wznieca³a w Polakach ich odrêbnoœæ. Po unifikacji sowieckiej nie mo¿emy siê do tej pory pozbieraæ mentalnie i poczuæ Polakami.

Od tamtych czasów minê³y tysi¹clecia. Ale wci¹¿, nieustannie jeŸdzi po nas walec unifikuj¹cy. Ku przestrodze przytoczê te dwie przemowy:

Tu le¿y ziarno nowego œwiata - prawdziwe dziecko cywilizacji komputerowej, wyposa¿one w system zdalnego sterowania, numerycznie zaprogramowane, pos³uszne, dynamiczne i co najwa¿niejsze bez w³asnego widzimisiê. Zdyscyplinowana koñcówka komputera. Ten prototyp to tylko pocz¹tek doskonale zorganizowanego i uporz¹dkowanego przedszkola, podwórza, szko³y. Skoñcz¹ siê ¿arty z fryzjerów, rozczochrane czupryny i nieprecyzyjne tañce. Choreografia stanie siê znów muzyczn¹ musztr¹. Na pocz¹tek dobierzemy siê do pewnej d³ugow³osej pstrokatej gromadki...

Golarz Filip

Uwaga, w³31czam zapis waszej pamiêci. Podajê program zapisu. Wszystko co ludzkie psuje siê i jest niedoskona³e. Myœlenie mêczy, wyobraŸnia jest wrogiem precyzyjnego dzia³ania. Jestem wolny, poniewa¿ za mnie myœli inny mózg. Bêdê siê zawsze stara³ prawid³owo reagowaæ na impulsy i sam wykasujê z pamiêci wspó³czucie, mi³oœæ gniew. Zapis programu zatwierdzam. ***Wielki Elektronik***

RECENZJA MUZYCZNA

Maciej Witkowiak

Uwagi dwóch panów B. o życiu i śmierci

Na rynku muzycznym- zw³aszcza w krajach nie anglojêzycznych (czyli te¿ póki co w Polsce) - panuje od lat przygnêbiaj¹ca unifikacja gustów i playlist wci¹¿ tych samych kawa³ków, ob³êdnie puszczanych w radiach, gdzie prowadz¹cy zawsze maj¹ szampañski humor i weso³31 gadkê (to rodzi podejrzenia, ¿e klony lub AI od dawna funkcjonuj¹ na œwiecie, bo poka¿cie mi cz³owieka, który co rano ma dobry humor). Wykreowane promowane gwiazdeczki pop s¹ przewa¿nie kopiami gwiazd, którym uda³o siê zaistnieæ na zachodzie. Nasi to ma³puj¹ i próbuj¹ wyssaæ trochê kasy z tego, ¿e jakaœ panna podobna jest do Britney czy gra w klimacie zespo³u Linking Park. Ma³o w naszym kraju oryginalnych projektów muzycznych, a jak ju¿ s¹, to docieraj¹ do niewielkiego grona odbiorców. W tej zunifikowanej rzeczywistoœci trzeba doceniaæ i wspieraæ muzyczne dokonania odbiegaj¹ce od wa³kowanych wszêdzie standardów.

Solowy projekt Tomasza Budzyñskiego wart jest uwagi z wielu powodów- nie tylko kumoterskich (Tomek to honorowy-jedyny zreszt¹- cz³onek KF Druga Era). ZaprzyjaŸniony z nami artysta nagra³ jako zespó³ „Trupia czaszka" wraz z gigantem polskiego metalu Darkiem „Popcornem" Popowiczem i wyrwanym ze szponów „ludzi cienia" Maciejem „Œlepym" G³uchowskim niezwyk³31 p³ytê „Uwagi ksiêdza Baki".

Omawiana p³yta to pora¿aj¹ce po³31czenie tego, co najlepsze w polskiej muzyce post-punkowej jak i tego co najlepsze w... post-baroku. Niemo¿liwe? Otó¿ mo¿liwe - polski punk i polski barok maj¹ do siebie wbrew pozorom blisko. Ta bowiem p³yta nagrana zosta³a do tekstów XVIII wiecznego ksiêdza Józefa Baki, bêd¹cego chyba ostatnim przedstawicielem barokowej twórczoœci i estetyki w Polsce. Jako, ¿e kompletnie nie przystawa³o to do ówczesnych trendów (wziêtych z racjonalistycznych francuskich salonów), twórczoœæ ksiêdza Baki do dzioœ uwa¿ana jest przez wielu za przyk³ad wszetecznictwa i upadku polskiej literatury koñca I Rzeczpospolitej. U¿ywane przez niego rymy czêstochowskie przekazuj¹ce niepopularne treœci wzywaj¹ce do nawrócenia i pokuty, razi³y wysublimowane oczekiwania oœwieceniowych intelektualistów b¹dŸ osoby kreuj¹ce siê na nich, oczytanych w ró¿nych teizmach czy deizmach....

Sam ksi¹dz Baka to nietuzinkowa postaæ. Pochodz¹cy z bogatej rodziny szlacheckiej, sprzeda³ swoje dobra i rozpocz¹³ misjê ewangelizacyjn¹ w pogañskich regionach Litwy. Prócz tego pisa³ wiele wierszy, utrzymanych w klimacie barokowego brania siê za bary z „grzechem swej duszy" w perspektywie nieuchronnej œmierci, czekaj¹cej na swe ¿niwo wczeœniej czy póŸniej*„dzisiaj rozkosz i bogactwo, jutro ropa i robactwo"*.. Œmieræ u ks. Baki to nieustanne wyzwanie dla ¿ywych by kierowali swoje uczynku ku nawróceniu *„grzeszniku-indyku, stul ogona by zbawiona by³a dusza, cia³a tusza..."*, Za¿ywanie ziemskich rozkoszy nie jest bezkarne, gdy¿ po œmierci z wszystkiego trzeba zdaæ sprawê przed Najwy¿szym. Stroje i uroda przemin¹ *(„z wieñcem i rumieñcem panienki w trumienki", „nic nie mi³o gdy siê zgni³o").* Dopiero œwiadomoœæ tego pozwala ¿yciu nabraæ prawdziwych barw i autentycznego wymiaru.

Takie „parafialne" gadanie ksiêdza ze wschodu wobec salonowych ekstrawagancji myœlowych czerpanych garœciami z XVIII- wiecznych myœlicieli-m¹cicieli (Rousseau, Wolter) musia³o budziæ co najwy¿ej uœmiech politowania ludzi w *„modnym kroju, krótkim stroju"* maj¹cych *„jêzyk d³ugi, z³e zas³ugi"*.

Myœlê, ¿e podobnie bêdzie i teraz z t¹ p³yt¹. Jaœnie oœwieceni klabowcy miastowi, zakochani we wszystkim co nie nasze (rodzime i przaœne, co jak wiadomo, nie jest trendy) czy inni tropiciele wad narodowych spod sztandaru Wybuchowej Gazety mog¹ podobnie odebraæ ten œmia³y projekt po³31czenia post-barokowych tekstów z muzyk¹ post-punkow¹. Polska zaœciankowoœæ kapie z tej p³yty a¿ mi³o. Tomek Budzyñski z ksiêdzem Bak¹ ma wiele wspólnego - obaj s¹ ludŸmi wschodu i obaj g³osz¹ sw¹ twórczoœci¹ niepopularne i nietrendy prawdy prezentuj¹c niekiedy podobny styl wierszowania. Sama p³yta broni siê swoj¹ ekspresj¹ i niemi³osiernym czadem, po³31czonym z wa¿kimi s³owami. Dawno muzyczne dokonanie na rodzimej scenie nie poruszy³o mnie tak bardzo, bo i nie za czêsto ktoœ œpiewa *„Ÿle ¿yjesz, zawyjesz"* czy *„z lury, gnoju wstañ robaku"* nie dla pustej stylistyki typu Marilyn Manson, lecz by faktycznie coœ siê w cz³owieku opamiêta³o. ¯ycie i twórczoœæ Tomka Budzyñskiego s¹ wystarczaj¹cym gwarantem dla tego, by s¹dziæ, ¿e artysta nie œpiewa tego dla „jaj".

Oczywiœcie zaistnienie tej p³yty nie jest przypadkiem. Powsta³a ona dla uczczenia 10 lat istnienia wszetecznego pisma „Fronda", które grupuje œrodowisko ludzi wszetecznie nastawionych do nowej wspania³ej ideologii Europy (wg. Ojca Dyrektora: lewicowej, antychrzeœcijañskiej, pro-muzu³mañskiej). Czy¿by wiêc by³ to m³yn na wodê dla pewnego œrodowiska? Nie s¹dzê - uniwersalnoœæ tej muzyki i s³ów uderzyæ mo¿e ka¿dego, bo nie ma tu stylistyki nadêtego kazania. Proste prawdy i prosta muzyka- czego chcieæ wiêcej? Mówi¹c to w jêzyku ska¿onym Dukajem - odnios³em wra¿enie, ¿e p³yta ta uderza g³êboko po sarmackim memie, jaki siedzi mniej lub bardziej ukryty w zak¹tkach Rzeczpospolitej i jej mieszkañcach. Ubrane to wszystko w „parafialn¹" muzykê polskiego punka (kto zna twórczoœæ Budzyñskiego, ten odnajdzie szybko w utworach muzykê „Siekiery" czy wczesnej „Armii" bez ¿adnych wspó³czesnych udziwnieñ) i daje niesamowite wra¿enia.

Zdumiewaæ mo¿e tylko jak XVIII wieczne s³owa komponuj¹ siê z XXI wieczn¹ muzyk¹. Choæ mo¿e to nie dziwne - wszak i pan Baka, i pan Budzyński maszeruj¹ pod jednym sztandarem, którego ci¹g³e istnienie jednych z³oœci, a innych zadziwia i napawa nadziej¹.

Maciej Witkowiak

Trupia czaszka „Uwagi ksiêdza Baki"
Wyd. FRONDA

Na sieci:
http://budzy.art.pl/trupiaczaszka/

PRZEWRÓCONA ÓSEMKA

Micha³ Protasiuk

To by³ najwiêkszy szok, jakiego doœwiadczy³em w procesie edukacji. Nauczycielka narysowa³a na tablicy oœ liczbow¹. – Liczb jest nieskoñczenie wiele – powiedzia³a. – Mo¿emy liczyæ do koñca ¿ycia, a nigdy nie doliczymy do najwiêkszej, bo najwiêksza liczba nie istnieje.

– Jak to? – nie potrafi³em opanowaæ oburzenia. – Liczb jest nieskoñczenie wiele? Nieskoñczenie? – w matematycznej pracowni powia³o mistycyzmem. Na tablicy pojawi³a siê przewrócona ósemka – symbol nieosi¹galnej wiecznoœci. I choæ potem, w szkolnej ³awie nie raz s³ucha³em historii, od których je¿y³ siê w³os na g³owie. Teoria ewolucji, dryf kontynentalny, dualizm korpuskularno-falowy, metoda najmniejszych kwadratów: ka¿da z tych rzeczy by³a fascynuj¹ca, lecz ¿adna nie potrafi³a na nowo wzbudziæ dreszczy emocji, jakie towarzyszy³y pierwszemu spotkaniu z nieskoñczonoœci¹.

Powy¿sza historia jest oczywiœcie zmyœlona.

Nie zmienia to jednak faktu, i¿ nieskoñczonoœæ zawsze by³a dla mnie olbrzymi¹ zagadk¹ i nigdy do koñca nie potrafi³em pogodziæ siê z jej istnieniem. Skoro nieskoñczonoœæ jest liczb¹, do której nie mo¿na doliczyæ, w jaki sposób taka liczba mo¿e istnieæ? Jak mo¿e istnieæ byt: „skoñczonoœæ” jak i jednoczeœnie jego negacja: „nie-skoñczonoœæ”. To¿ to absurd, stoj¹cy w sprzecznoœci z podstawowymi prawami logiki!

Jak siê póŸniej okaza³o, nie jestem osamotniony w w¹tpliwoœciach, a wrêcz przeciwnie, znajdujê siê w doborowym towarzystwie.

Po raz pierwszy na trop nieskoñczonoœci wpadli matematycy w staro¿ytnej Grecji. Szko³a pitagorejska, bo o niej mowa, traktowa³a nieskoñczonoœæ nie jako hipotetyczny koniec osi liczbowej, ale bardziej jako „coœ, czemu nie mo¿na przypisaæ ¿adnej wartoœci”. Jest jakaœ ró¿nica? Zasadnicza. Pitagorejczycy natknêli siê na nieskoñczonoœæ ukryt¹ nie na koñcu, ale wewn¹trz osi liczbowej. Myœlê o liczbach niewymiernych.

Zanim wyjaœniê, o co chodzi z liczbami niewymiernymi, warto wspomnieæ pokrótce o samych pitagorejczykach. Podrêczniki szkolne s¹ w tym wzglêdzie okrutnie lakoniczne i zwykle koñcz¹ siê na omówieniu twierdzenia o zale¿noœci pomiêdzy d³ugoœciami boków w trójk¹cie prostok¹tnym. Nikt nie mówi dzieciom, ¿e Pitagoras wierzy³ w wêdrówkê dusz i przypisywa³ liczbom niemal¿e boskie w³aœciwoœci. Jedynka by³a „praliczb¹”, matk¹ wszystk¹ pozosta³ych liczb. Dwójka symbolizowa³a opiniê, czwórka sprawiedliwoœæ, pi¹tka ma³¿eñstwo itd.

Tymczasem pojawi³y siê fakty, które zniszczy³y ten krystalicznie czysty i prosty obraz œwiata. Na arenê wkroczy³y liczby niewymierne, czyli takie, które w rozwiniêciu dziesiêtnym maj¹ nieskoñczenie wiele cyfr. Powtórzê: nieskoñczenie wiele! Zatem wreszcie mamy nieskoñczonoœæ, przy³apaliœmy j¹ na gor¹cym uczynku!

Do tej pory ka¿d¹ liczbê da³o siê zapisaæ za pomoc¹ u³amka, który w liczniku i mianowniku mia³ liczbê naturaln¹. WeŸmy jednak pod uwagê trójk¹t o boku d³ugoœci 1 cm i zastanówmy siê, jak¹ d³ugoœæ bêdzie mia³a jego przek¹tn¹. Z pomoc¹ idzie tu oczywiœcie twierdzenie Pitagorasa i po szybkich rachunkach otrzymujemy odpowiedŸ: √2. W porz¹dku, ale co to za odpowiedŸ. Zapiszmy √2 za pomoc¹ u³amka dziesiêtnego: 1,414213… Problem w tym, ¿e cyfry mo¿emy wypisywaæ ca³¹ wiecznoœæ i nigdy nie dojdziemy do koñca. Bo cyfr po przecinku jest nieskoñczenie wiele¹.

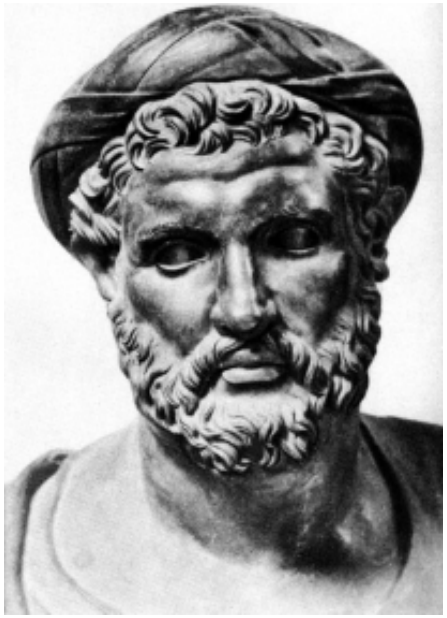

Piotagoras nieskoñczonoœæ popchnê³a go do zbrodni

Mamy zatem coœ, czemu nie mo¿na przypisaæ ¿adnej wartoœci. Nigdy nie poznamy dok³adnie liczby √2, bo ilu cyfr nie wypiszemy, zawsze ktoœ mo¿e dopisaæ kolejn¹. Na obrazie rzeczywistoœci pojawi³a siê rysa.

Aby po raz kolejny ods³oniæ nieznane karty historii Pitagorasa warto dodaæ, i¿ odkrycie liczb niewymiernych by³o olbrzymim szokiem. Pocz¹tkowo postanowiono trzymaæ je w tajemnicy, lecz pojawi³ siê cz³owiek, imieniem Hippazos, który z³ama³ przysiêgê dochowania sekretu. Spotka³a go za to sroga kara: s¹ ró¿ne wersje tej opowieœci, ale najpopularniejsza mówi, ¿e zosta³ utopiony przez samego Pitagorasa.

Po raz kolejny nieskoñczonoœæ na szerokie wody wyp³ynê³a dopiero po zakoñczeniu œredniowiecza, by odegraæ niema³¹ rolê w narodzinach rachunku ró¿niczkowego, znanego równie¿ jako „rachunek wielkoœci nieskoñczenie ma³ych”. Matematykom brakowa³o jednak odwagi by siêgn¹æ absolutu i stan¹æ oko w oko z najwiêksz¹ tajemnic¹. Zamiast tego wprowadzili pojêcie „nieskoñczonoœci potencjalnej” – jak dla mnie nieskoñczonoœci zachowawczej, na pó³ gwizdka, lecz z punktu widzenia nauki niezbêdnej. Co to wynalazek?

Nieskoñczonoœæ potencjalna nie jest bytem samym w sobie, ale jedynie mo¿liwoœci¹ ci¹g³ego powiêkszania lub pomniejszania danej liczby. Nie jest to mistyczna liczba, do której nie mo¿na doliczyæ, a jedynie techniczna sztuczka umo¿liwiaj¹ca rachowanie granic. Pojêcie to zosta³o odkryte przez matematyka o imieniu Eudaksos o wiele wczeœniej, bo ju¿ w IV w p.n.e., lecz jego prawdziwy rozkwit jest nierozerwalnie powi¹zany z narodzinami rachunku ró¿niczkowego i pojêcia granicy. Ca³a sztuczka polega na tym, ¿e nikt nie wymaga od nas, byœmy zaakceptowali istnienie nieskoñczenie wielkiej liczby. Zamiast tego wystarczy nam potencjalna mo¿liwoœæ: ci¹g³ego powiêkszania lub pomniejszania danej liczby, bez zbli¿ania siê do absolutu. Z przestworzy zstêpujemy na ziemiê.

W tym miejscu warto wspomnieæ o symbolu przewróconej ósemki, powszechnie znanym oznaczeniu nieskoñczonoœci. Zwany on jest równie¿ lemniskat¹ i zosta³ wprowadzony przez angielskiego matematyka Johna Wallisa w 1655 roku.

A nieskoñczonoœæ prawdziwa? Wiecznoœæ, absolut le¿¹cy poza naszym pojêciem – czy istnieje? Przez d³ugi czas wydawa³o siê, ¿e odpowiedŸ na to pytanie to bardziej domena filozofii ni¿ obszar zarezerwowany dla œcis³oœci matematycznego dowodu. Tymczasem w drugiej po³owie XIX wieku pojawi³a siê postaæ, która odwa¿y³a siê wyci¹gn¹æ rêkê i dotkn¹æ serca nieskoñczonoœci.

Mowa tu o Georgu Cantorze. Wszystkich numerów „Innych Planet” by zabrak³o, gdybym chcia³ siê zag³êbiæ w szczegó³y dotycz¹ce dzie³a i tragicznego ¿ycia tego niemieckiego matematyka. Dlatego te¿ ograniczê siê do rzeczy zdecydowanie najwa¿niejszych (zainteresowanych zapraszam do zapoznania siê z literatur¹).

Wszystko zaczê³o siê od niepokoj¹cej zale¿noœci. WeŸmy dwa zbiory: liczb naturalnych i liczb ca³kowitych. Dla osób, które dawno zakoñczy³y przygodê z matematyk¹ ma³e przypomnienie: liczby naturalne to: 1,2,3… itd., zaœ liczby ca³kowite to liczby naturalne i ich przeciwieñstwa, czyli …–3, -2, -1,0,1,2,3… Ka¿da liczba naturalna jest ca³kowita, ale nie ka¿da ca³kowita jest naturalna. Zbiór liczb ca³kowitych jest wiêc szerszy, zatem liczb ca³kowitych jest wiêcej ni¿ naturalnych. O ile

wiêcej? Z prostej logiki wynika, ¿e dwa razy wiêcej. Czy aby jednak na pewno?

Spróbujmy po³¹czyæ liczby naturalne i ca³kowite w pary:

liczby całkowite		liczby naturalne
0	–	0
-1	–	1
1	–	2
-2	–	3
2	–	4
itd.…		

Ka¿dej liczbie ca³kowitej jest przyporz¹dkowana liczba naturalna i to przyporz¹dkowanie rozci¹ga siê w nieskoñczonoœæ. Jaki z tego wniosek: liczb naturalnych i ca³kowitych jest nieskoñczenie wiele (¿adne okrycie) i (uwaga) jest ich tyle samo! A to ju¿ niepokoj¹ce. Choæ pozornie wydaje siê, ¿e jednych jest dwa razy wiêcej ni¿ drugich w rzeczywistoœci obie nieskoñczonoœci s¹ takie same. Bo czy¿ mo¿na mówiæ o tym, ¿e jedna nieskoñczonoœæ jest wiêksza od drugiej? Wszak nieskoñczenie wiele to nieskoñczenie wiele. Jeœli dodamy do nieskoñczonoœci dowoln¹ liczbê, wci¹¿ bêdzie to nieskoñczonoœæ.

Tymczasem wcale tak nie jest i okazuje siê, ¿e s¹ nieskoñczonoœci bardziej liczne od innych. Dowiód³ tego Cantor na przyk³adzie liczb naturalnych / ca³kowitych (których jak ju¿ wiemy jest tyle samo) i rzeczywistych. Okazuje siê, ¿e liczb rzeczywistych te¿ jest nieskoñczenie wiele, lecz jest to nieskoñczonoœæ wiêksza ni¿ nieskoñczona iloœæ liczb ca³kowitych[2] . Ma³o tego, okazuje siê, ¿e ró¿nych rodzajów nieskoñczonoœci jest nieskoñczenie wiele i mo¿na je uporz¹dkowaæ je w nieskoñczony rosn¹cy ci¹g.

Na samym dole znajduje siê nieskoñczonoœæ najmniejsza, czyli liczebnoœæ zbioru liczb naturalnych / ca³kowitych. Cantor zrezygnowa³ z symbolu przewróconej ósemki (jako zbyt niedok³adnego) i zdecydowa³ siê oznaczyæ nieskoñczonoœæ najmniejsz¹ jako alef zero. Alef to pierwsza litera alfabetu hebrajskiego. Hebrajskie s³owo Elochim (Bóg) zaczyna siê liter¹ alef (podobnie jak s³owo Echad – jeden). W tradycji ¿ydowskiego mistycyzmu alef oznacza nieskoñczon¹ naturê i jedynoœæ Boga. Jak

Cantor nieskoñczonoœæ doprowadzi³a go do ob³êdu

widaæ Cantor zdawa³ sobie sprawê, ¿e igra z niewyobra¿aln¹ potêg¹.

Jak ju¿ zosta³o powiedziane, nieskoñczonoœci tworz¹ ci¹g kolejnych alefów, zaczynaj¹c od alef zero. Co jest zatem alefem jeden? Czy jest nim „nieskoñczonoœæ wiêksza”, czyli liczebnoœæ zbioru liczb rzeczywistych (która oznaczona zosta³a jako continuum)? Czy mo¿e pomiêdzy nimi znajduje siê inna nieskoñczonoœæ? Tego Cantor niestety nie wiedzia³ i ostatnie pó³ ¿ycia zmaga³ siê z t¹ zagadk¹. Ten jeden z najbardziej fascynuj¹cych problemów matematyki (znany jako hipoteza continuum) sprowadza³ siê do odpowiedzi na pytanie czy:

alef jeden = continuum.

Albo inaczej, czy istnieje nieskoñczonoœæ wiêksza ni¿ alef zero, a mniejsza ni¿ continuum? Niestety, problem by³ tak trudny, ¿e wprowadzi³ Cantora w chorobê psychiczn¹ i gdy w 1918 roku umiera³ on w zak³adzie dla ob³¹kanych, nikt nie zna³ odpowiedzi.

Jak okaza³o siê pó³ wieku póŸniej, Cantor nie rozwi¹za³ tej zagadki, gdy¿ jej jednoznaczne rozwi¹zanie nie istnieje. Hipoteza continuum jest bowiem niezale¿na i nie wynika z pozosta³ych aksjomatów matematyki. Mo¿emy za³o¿yæ, ¿e jest prawdziwa albo mo¿emy za³o¿yæ jej negacjê i w ¿adnym z przypadków nie otrzymamy sprzecznoœci.

I na tym koñczy siê nasza przygoda z przewrócon¹ ósemk¹. Mój dzieciêcy sprzeciw zosta³ ju¿ nieco utemperowany, gdy okaza³o siê, ¿e nie tylko ja mia³em olbrzymie problemy, by zrozumieæ to pojêcie. Pomimo tego poszukiwania wci¹¿ trwaj¹, nieskoñczonoœæ jest obecna w kulturze. Przypomnijmy sobie rzêdy cyfr na obrazach Romana Opa³ki i romantyczne odkrywanie kolejnych cyfr rozwiniêcia nieskoñczonej liczby π . Ide¹ nieskoñczonoœci zafascynowany by³ równie¿ Jorge Luis Borges, który pisa³, ¿e nieskoñczonoœæ stawia nas przed pewnym rodzajem „bezsensu”, utwierdzaj¹cego w przekonaniu o braku realnoœci postrzeganego œwiata.

Micha³ Protasiuk

Literatura:

R. Morris, *Krótka historia nieskoñczonoœci*, CiS, Warszawa 1999.

A. Aczel, *Tajemnica alefów*, Rebis, Poznañ 2002.

P. Davis, R. Hersh, E. Marchisotto, *Œwiat matematyki*, PWN, Warszawa 2001.

R. Penrose, *Nowy umys³ cesarza*, PWN, Warszawa 2000.

[1]Najpierw uwaga metodologiczna: „Nowa Fantastyka” omawiaj¹c fanizny napisa³a, ¿e na ³amach „Innych Planet” ukazuj¹ siê niemal¿e naukowe rozprawy. Chc¹c utrzymaæ ten chlubny standard, zdecydowa³em siê post¹piæ jak na naukowca przysta³o i bardziej techniczn¹ czêœæ artyku³u (dowody twierdzeñ) przenios³em do przypisów. Jest to porcja „nadobowi¹zkowa” i osoby pobie¿nie zainteresowane tematem z czystym sumieniem mog¹ sobie odpuœciæ ich lekturê. A teraz przypis w³aœciwy:

Sk¹d wiadomo, ¿e $\sqrt{2}$ ma nieskoñczenie wiele cyfr w rozwiniêciu dziesiêtnym? Jak napisa³em wczeœniej, do tej pory ka¿d¹ liczbê da³o siê zapisaæ za pomoc¹ u³amka postaci n/m, gdzie n i m to liczby naturalne. Za³ó¿my zatem, ¿e $\sqrt{2}$ da siê jednak zapisaæ za pomoc¹ takiego u³amka i zobaczmy co z tego wyniknie. Zatem:

$\sqrt{2} = n/m$

Po prostym przekszta³ceniu mamy:

$n^2 = 2m^2$

Za³ó¿my jeszcze, ¿e u³amek pocz¹tkowy n/m jest u³amkiem uproszczony najbardziej jak to mo¿liwe, czyli nie mo¿na ju¿ go bardziej skróciæ. Innymi s³owy, liczby m i n nie maj¹ wspólnego dzielnika. Jeœli n jest nieparzyste, to otrzymujemy sprzecznoœæ, bo $2m^2$ jest liczb¹ parzyst¹. Jeœli zaœ n jest parzyste, to mo¿emy zapisaæ je w postaci 2k. Zatem:

$n^2 = (2k)^2 = 4k^2$

Wracaj¹c do pierwszego równania mamy:

$m^2 = n^2/2$

Czyli:

$m^2 = 4k^2 / 2 = 2k^2$

A zatem jeœli n jest parzyste, to m te¿ jest parzyste, wiêc maj¹ przynajmniej jeden wspólny dzielnik: 2. I w ten prosty sposób uda³o nam siê otrzymaæ sprzecznoœæ z wyjœciowym za³o¿eniem. Okaza³o siê, ¿e $\sqrt{2}$ nie da siê zapisaæ za pomoc¹ u³amka n/m, a zatem liczba ta jest „niewspó³mierna” do liczb naturalnych. To przedostatni dowód, obiecujê.

[2] Dla chêtnych dowód.

Za³ó¿my, ¿e jednak liczb naturalnych jest tyle samo co rzeczywistych i mo¿emy dokonaæ jednoznacznego przyporz¹dkowania, jak w przypadku liczb naturalnych i ca³kowitych Dla uproszczenia spróbujmy na pocz¹tek ponumerowaæ liczbami naturalnymi liczby rzeczywiste le¿¹ce na odcinku (1;0). A zatem:

Liczby naturalne		Liczby rzeczywiste
0	–	0,**3**256478…
1	–	0,8**7**45987…
2	–	0,74**5**2136…
3	–	0,985**6**474…

Cyfry stoj¹ce na przek¹tnej tablicy liczb rzeczywistych wyró¿nione zosta³y wyt³uszczonym drukiem. Stwórzmy teraz liczbê z rzeczywist¹, która na pocz¹tku bêdzie mia³a 0, a po przecinku kolejne cyfry z przek¹tnej: 0,3756…

A teraz ka¿d¹ z cyfr po przecinku zwiêkszmy o 1. Mamy zatem: 0,4867…

Jeden rzut oka wystarczy, by stwierdziæ, ¿e otrzymana w ten sposób liczba nie mo¿e znajdowaæ siê na naszej tablicy, gdy¿ od pierwszej z nich ró¿ni siê przynajmniej pierwsz¹ cyfr¹ po przecinku, od drugiej przynajmniej drug¹, itd.… Wniosek z tego, ¿e liczb rzeczywistych nie mo¿na ponumerowaæ liczbami naturalnymi, gdy¿ jest ich nieskoñczenie wiêcej.

T&W

Damskie ciuszki 2

Rozmowa przeprowadzona w poci¹gu InterCity „Fredro” relacji Warszawa – Wroc³aw. Imiona i nazwiska autorów pozosta³y niezmienione.

- Spotykamy siê po latach. W zupe³nie innych okolicznoœciach...
- Taaak, 5 lat starsi, z nowymi doœwiadczeniami, ze sta³ymi partnerkami ¿yciowymi, o 5 lat bardziej zepsuci i zdegenerowani...
- Taaak. Nie wiem nawet, czy Pan Andrzej z baru „Kmicic”, któremu by³ dedykowany pierwszy odcinek „Damskich ciuszków” (lato 1999!) jest jeszcze atrakcyjnym mê¿czyzn¹. I czy wci¹¿ by nas inspirowa³...
- Taaak. Ja te¿ nie wiem. Ale teraz, po 5 latach, mamy te¿ ju¿ inne inspiracje... S³ysza³em, ¿e noszenie togi w s¹dzie jest bardzo podniecaj¹ce. Czy to prawda? Powiedz mi, jak to jest...
- Wiesz, misiu, to takie intymne, ¿e chyba nie znajdê odpowiednich s³ów. Toga to strój urzêdowy, ale tylko teoretycznie – dostarcza wielu innych... podniet. Ale zmieñmy temat.
- Dobrze. Porozmawiajmy mo¿e o damskich ciuszkach. Czy to prawda, ¿e czêsto pod tog¹ nosisz damsk¹ bieliznê? A jeœli to prawda, to czy pomaga to Tobie, jako przedstawicielowi jednego z zawodów prawniczych, rozumieæ lepiej wszystkie kruczki prawne?
- Tak, damskie ciuszki zdecydowanie poszerzaj¹ œwiatopogl¹d. Polecam tê metodê ka¿demu. A co do kwestii prawnych, to damskie ciuszki pozwalaj¹ na pewno lepiej zrozumieæ zagadnienie praw mniejszoœci seksualnych. Ale zmieñmy temat i przestañmy ju¿ mówiæ o tej todze. To nieetyczne.
- Dobrze. Zmieñmy zatem temat. Porozmawiajmy mo¿e o czymœ zabawnym, ¿eby Czytelnicy, którzy czekali 5 lat na tê chwilê poczuli siê usatysfakcjonowani i jednoczeœnie nawi¹¿my umiejêtnie do motywu damskich ciuszków...
- ZdradŸmy mo¿e Czytelnikom kulisy naszego planu reaktywacji „Damskich ciuszków”. Pocz¹tkowo planowaliœmy zaprosiæ do udzia³u jak¹œ kobietê... Ostatecznie jednak nie ustaliliœmy kryteriów, w oparciu o które prowadzilibyœmy nabór kandydatek. Oczywiœcie jedno kryterium jest jasne: damskie ciuszki...
- Taaak, ale okaza³o siê niestety, ¿e zadziwiaj¹co ma³o kobiet nosi damskie ciuszki i zadziwiaj¹co wielu mê¿czyzn nosi, dotyka, w¹cha lub ma z nimi w ten czy inny sposób do czynienia. I dlatego siedzimy tu ostatecznie we dwójkê i zastanawiamy siê... Ale zmieñmy temat. Porozmawiajmy mo¿e o naszych inspiracjach. Czy, jako cz³owiek doœwiadczony, dla którego ¿ona i dziecko to nie pierwszyzna, opowiesz mo¿e coœ o wp³ywie ¿ony i dziecka na œwiatopogl¹d mê¿czyzny i jego zmiany?
- To delikatny temat. Trzeba prowadziæ podwójne ¿ycie. Czasami nawet potrójne... Damskie ciuszki to absolutna tajemnica! Sam zobaczysz, kiedy ju¿ ustabilizujesz siê na dobre. I na z³e. Ale zmieñmy temat!
- Masz racjê – zmieñmy. Zauwa¿am ciekaw¹ zbie¿noœæ. Czy wiesz, ¿e najlepsze teksty, które powsta³y w Klubie Fantastyki „Druga Era” by³y pisane nago? Czy wiesz te¿, ¿e najwiêkszy polski pisarz fantastyczny, Stanis³aw Lem, przyzna³ w jednym z nieoficjalnych wywiadów, ¿e najlepsze powieœci napisa³ siedz¹c w damskich figach? A wschodz¹ca gwiazda polskiej fantastyki, Jacek Dukaj, powiedzia³ kiedyœ, ¿e jedn¹ z wiêkszych inspiracji dla niego s¹ nylonowe pończochy z fantazyjnym zakończeniem? Coœ w tym musi byæ...

rys. Pawe³ Piechnik

- Taaak. Damskie ciuszki bywaj¹ inspiruj¹ce. Podobno ju¿ Szekspir, a w Polsce Kochanowski i Mickiewicz, przebierali siê w damsk¹ bieliznê. S³ysza³em, ¿e sam Rafa³ A. Ziemkiewicz prowadzi audycje w radiu „Tok FM” w damskich stringach. Z kolei inny autor (niezbyt przychylny „Innym Planetom”) doktoryzowa³ siê z filozoficznych aspektów noszenia jedwabnych koronek i uchodzi w zwi¹zku z tym za filozofa. Czy myœlisz, ¿e powinniœmy zasiêgn¹æ konsultacji u jakiejœ kobiety? Mamy w końcu w Klubie kilka przedstawicielek tej p³ci. S¹ nawet ³adne – jak na kobiety...
- Masz racjê – s¹ milutkie. Ale czy naprawdê kobiet powinniœmy siê pytaæ? Dla mnie osobiœcie autorytetem w kwestii damskiej bielizny jest pan sprzedawca z seks szopu w bloku obok. Swoj¹ drog¹, s³ysza³em, ¿e skóry s¹ trendy w tym sezonie...
- Tak, a ja s³ysza³em, ¿e w przysz³ym modne bêd¹ materia³y naturalne – len, p³ótno, ludowe koronki. A co do kobiet – masz racjê. Co one tak naprawdê wiedz¹ o damskich ciuszkach? S¹ nieœwiadome ich filozoficznej g³êbi...
- Ale s¹ przynajmniej œwiadome ich znaczenia dla mê¿czyzn – to trzeba im przyznaæ. Zmieñmy jednak temat. Czy nie odnosisz wra¿enia, ¿e ta rozmowa zmierza donik¹d?
- Bior¹c pod uwagê, ¿e prowadzimy j¹ w poci¹gu... Teoretycznie jedziemy do Poznania, ale byæ mo¿e w rzeczywistoœci zmierzamy donik¹d. Poza tym – w Poznaniu by³a silna aura Pana Andrzeja, a na wysokoœci Kutna nie ma takich inspiracji...
- No nie ma. Ale mamy dwóch przemi³ych panów, którzy obs³uguj¹ nas w wagonie restauracyjnym. Proponujê zadedykowaæ im tê rozmowê, skończyæ z g³upotami i zaj¹æ siê czymœ przyjemnym. Mo¿emy na przyk³ad poszukaæ gdzieœ t³umu, wcisn¹æ siê w niego i podotykaæ. Co Ty na to?
- Tak, zupe³nie jak w piosence Petera Gabriela „I have the touch”! A kelnerzy w Warsie... Masz racjê, to interesuj¹cy mê¿czyŸni. Ciekawe, czy maj¹ na sobie s³u¿bow¹ bieliznê? I czy jest na niej logo „InterCity”? Mo¿e sprawdŸmy...
- To co, idziemy do nich?
- Dobra!

RECENZJA

Pvt. Delano, USCMC

Jak Mr. Anderson sobie Hollywood wyobrażał, czyli my przegraliśmy

Agent Smith: Why, Mr. Anderson? Why do you do it? Do you believe you're fighting for something? Can you tell me what it is? Do you even know? You must be able to see it, Mr. Anderson. You must know it by now. You can't win. Why, Mr. Anderson? Why? Why do you persist?

Filmu "Alien vs. Predator" oczekiwa³em w perwersyjnym celibacie, przysiêgaj¹c zobaczyæ go dopiero na premierze kinowej – pomimo, i¿ od d³u¿szego czasu dostêpny by³ w drugim obiegu. Na kino upar³em siê raczej z przekory ni¿ nadziei na wyj¹tkowe doznania zmys³owe zwi¹zane z projekcj¹ na du¿ym ekranie.

Osobom niezorientowanym przytaczam pokrótce za³o¿enia filmu: W roku 2004 satelita nale¿¹cy do firmy Weyland (która w przysz³oœci stanie siê znan¹ z Obcego korporacj¹ Weyland-Yutani) wykrywa pod lodem Antarktydy staro¿yt¹ piramidê. Szef korporacji szybko montuje ekspedycjê badawcz¹ sk³adaj¹c¹ siê z ekspertów ró¿nych dziedzin, maj¹c¹ za zadanie zbadaæ budowlê. Szybko okazuje siê, ¿e piramida zosta³a stworzona przez cywilizacjê Predatorów i jest od stuleci wykorzystywana przez nich do polowañ na Obcych – którzy s¹ hodowani w jej wnêtrzu – tak, tak, drogie dziatki, Obcy na naszej matce Ziemi. Tak wiêc zostaje uruchomiony cykl produkcji Obcych, ekspedycja wchodzi do piramidy, a zaraz za nimi wpada tam ekipa Predatorów. Ten skrót fabularny pozostawiam bez komentarza.

A zatem w koñcu, po trzech miesi¹cach oczekiwania na polsk¹ premierê, poszed³em do kina na to mistyczne arcydzie³o pana Paula W.S. Andersona. Po ogólnie dostêpnych recenzjach i przy mojej osobistej opinii na temat re¿ysera („Mortal Kombat", „Resident Evil", „Soldier") nie spodziewa³em siê olœnienia, ale to, co zobaczy³em, przesz³o moje najœmielsze oczekiwania. Nie pomog³o nawet to, ¿e dwie godziny wczeœniej poszed³em na inne filmowe dziecko Paula A. – „Resident Evil 2" (którego by³ scenarzyst¹ i producentem), ani nawet to, ¿e od filmu oczekiwa³em tylko têpej bum-bum akcji. AVP to niestety zgon na ca³ej linii, wiêc dorzucam i swoj¹ reckê do d³ugiej litanii narzekañ.

Przede wszystkim warsztat - film (jak niejednokrotnie wytyka³em poprzednim dzie³om Paula W.S. Andersona) jest nakrêcony i zmontowany tragicznie. Sceny zupe³nie chaotycznej siekaniny przeplataj¹ siê z nudnym snuciem siê korytarzami. Niez³a nawet muzyka jest powtykana zupe³nie przypadkowo i w³aœciwie nie wp³ywa na budowanie jakiejkolwiek atmosfery filmu. Jedynym elementem wspomagaj¹cym orientacjê widza w topografii wydarzeñ jest co chwila wyœwietlana 3D mapa piramidy, która po zaliczeniu Residenta 2 wywo³ywa³a u mnie tylko ataki œmiechu.

Po drugie dramatyzm i aktorstwo. Film absolutnie nie tworzy ¿adnego nastroju, dialogi s¹ odczytywane z kartki, a nie odgrywane (najlepszy przyk³ad - dialog o chorobie Weylanda toczony w drzwiach ci¹gnika). O ile wiem, w „Aliens" te¿ grali raczej niewybitni aktorzy, jednak uda³o siê im siê oddaæ wra¿enie realizmu i naturalnoœci sytuacji. W AVP wszyscy aktorzy i re¿yser co chwila przypominaj¹ widzowi, ¿e to wszystko to tylko taka umowna zabawa. Wszechpanuje plastikowe aktorstwo rodem z najbardziej têpych seriali, doœæ typowe dla filmów krêconych w USA przez cudzoziemców (Emmerich, Jeunet). Dialogi nie tylko s¹ dennie wyg³aszane, s¹ te¿ dennie napisane - bez pomys³u, dostosowane œciœle do percepcji nastolatków, które s¹ zapewne docelow¹ widowni¹ filmu. Nie muszê oczywiœcie dodawaæ, ¿e po jakiejkolwiek atmosferze zagro¿enia i suspensu znanej z obu cykli filmowych nie zosta³ tu nawet œlad.

Wprowadzenie postaci i generalnie zawi¹zanie akcji odbywa siê zdawkowo, bez jakiejkolwiek struktury, spójnoœci, czy zaplanowania kolejnych scen. Widaæ, ¿e scenariusz pêdzi na z³amanie karku ku starciu w piramidzie. Pomijam, ¿e widzowi oszczêdza siê jakiegokolwiek wprowadzenia w temat Obcych i Predatorów, zak³adaj¹c, ¿e doskonale wie co i jak. Umieszczenie filmu na Antarktydzie przydaje jeszcze bardziej wra¿enia sztucznoœci - patrz¹c na jakikolwiek „plener" czy „jaskinie" jedyne co mog³em pomyœleæ to „magazyn w Pradze, magazyn w Pradze". Oba gatunki wprowadzone s¹ od niechcenia, bez ¿adnego wra¿enia. Szczególnie widoczne jest tu pierwsze pokazanie Królowej - przy dobrej re¿yserii ta scena mog³a by byæ mega mocna, w obecnej formie jest mega banalna.

Kolejny zatem temat to Alieny i Predatorzy i zachowanie ich dorobku filmowego. Film mocno stoi obiema nogami w obszarze najmniej wymagaj¹cego kina popcornowego, oszczêdzaj¹c widzowi jakiejkolwiek (choæby najprymitywniejszej) refleksji nad natur¹ obu gatunków. Schrzaniæ Obcego nie jest problem, ale ¿eby Predatora? Film z tego cyklu ma tak prost¹ i ³atw¹ do odwzorowania formu³ê, która powinna wyjœæ za ka¿dym razem - uda³o siê to dwóm zielonym (wówczas) re¿yserom. Niestety formu³ê tê trzeba najpierw zauwa¿yæ i zrozumieæ, a nie pisaæ swoja, lepsz¹. Predatorzy w AVP kompletnie nie przystaj¹ do tych znanych z poprzednich filmów. Ich zachowanie, wygl¹d, sprzêt, przedstawienie - wszystko jest totalnie obok – dla mnie, jako wybitnego znawcy cyklu, s¹ to zupe³nie nowe postacie. Jak na fetyszystyczne uwielbienie okazywane przez re¿ysera i kamerzystê AVP, Anderson wykazuje siê dziwnie szcz¹tkowym zrozumieniem Predatorów i tego, co czyni³o je atrakcyjnymi na ekranie.

O dziwo Alieny wypadaj¹ tu nieco lepiej - ale chyba g³ównie dlatego, ¿e powielaj¹ po prostu znane ju¿ zachowania, bez zbytniego kombinowania – mo¿e poza zbyt komiksowym (kinetycznym?) przedstawieniem ich w kilku momentach.. Królowa Obcych, jest jednym z nielicznych prawid³owo wykonanych elementów filmu, jednak jej w¹tek, podobnie zreszt¹ jak wszystkie inne, potraktowany jest zdawkowo i na „odwal siê".

AVP nasycony jest ¿enuj¹cymi nawi¹zaniami do wczeœniejszych filmów - nie logicznymi, nie fabularnymi, ale utwierdzaj¹cymi widza w sztucznoœci tego marginesowego dopisku do sagi Obcego. Prawie widzê Andersona pokazuj¹cego rozpaczliwie palcem - „Widzicie? Widzicie? Tak jak w tamtym filmie! Tak samo!"

Nie zaczynam nawet komentowaæ samych za³o¿eñ filmu i bzdur logicznych, których w stek w tym obrazie przerasta nawet piramidê trzech cywilizacji – od tego s¹ specjalne strony intenetowe.

Anderson niestety nie podo³a³ jako re¿yser komercyjny pierwszej klasy. Nie podo³a³ organizacyjnie (opóŸnienia i problemy przy monta¿u ostatecznej wersji filmu), asertywnie (pozwalaj¹c na znacz¹ce ingerencje producentów), nie by³ te¿ w stanie zebraæ wartoœciowej obsady - choæby nieznanej. Oczywiœcie nie podo³a³ te¿ rzemieœlniczo i artystycznie - zamiast jechaæ nawet na utartych schematach kina akcji postanowi³ wymyœliæ swoje. PWSA to niestety prosty Brytol, któremu marzy siê chyba bycie drugim (a w³aœciwie trzecim) Scottem. Je¿eli nad tym dzie³em ¿ycia faktycznie pracowa³ 9 lat (jak zeznaje w wywiadach), to pogratulowaæ mu trafionego zawodu - mo¿e raczej powinien siê zaj¹æ turlaniem pyz.

Pojecha³em po tym filmiku zdrowo – i to nie dlatego, ¿e napala³em siê niego, a dosta³em szajs, albowiem gdy dowiedzia³em siê, kto jest re¿yserem AVP, zacz¹³em siê spodziewaæ dok³adnie tego, co teraz zobaczy³em. Nie wkurzam siê te¿ dlatego, ¿e koleœ zmiesza³ z nawozem dwie dobre serie filmowe (w takim wypadku móg³bym traktowaæ film jako folklor, a nie pe³noprawn¹ czêœæ sagi - jak robiê np. z Alienem 3 i 4 albo Robocopem 3). Dostajê jednak sza³u, poniewa¿ koleœ mia³ czelnoœæ próbowaæ postawiæ siê na tej samej pó³ce, co prawdziwi Filmowcy - re¿yserzy-rzemieœlnicy najwy¿szej klasy. Z totaln¹ arogancj¹ postanowi³ zrobiæ film po swojemu.

I niestety nie jestem w stanie powiedzieæ, który z filmów widzianych tego wieczoru jest gorszy. RE2 pozbawiony akcji i fabu³y, czy nudny i mêcz¹cy AVP.

„Alien vs. Predator", re¿. Paul W.S. Anderson, USA 2004.

RECENZJA

Maciej Witkowiak

PIEŚŃ SKOŃCZONA

Ziemiomorze - œwiat stworzony przez Urszulê K. Le Guin nale¿y do tej kategorii ksi¹¿kowych uniwersów fantasy, która zaliczana jest do œcis³ej czo³ówki „tego co najlepsze w fantasy”. Postawmy sprawê jasno: Ziemiomorze to jak na razie najbardziej udana alternatywa dla „paradygmatu fantastycznego” stworzonego przez Tolkiena[1]. Opowieœci o przygodach czarodzieja Geda to klasyk gatunku i mistrzostwo samo w sobie.

Tak siê z³o¿y³o, ¿e na pocz¹tku swej przygody z fantastyk¹ siêgn¹³em po „Czarnoksiê¿nika z Archipelagu” (w œwietnym t³umaczeniu S. Barañczaka) po lekturze „W³adcy Pierœcieni”. Gdybym siê wtedy zawiód³ - pewnie do dziœ omija³bym fantastykê z daleka. Nie by³o jednak rady - po tak „bezlitosnej” dawce, musia³em po prostu siê w to wszystko zanurzyæ. Pierwsze trzy czêœci Ziemiomorza (wspomniany „Czarnoksiê¿nik...”, „Grobowce Atuanu” „Najdalszy brzeg”) przyj¹³em z nale¿nym im zachwytem i ze zbyt wielkim pragnieniem by „fikcja sta³a siê rzeczywistoœci¹”... Czwart¹ – „Tehanu” ju¿ z lekkim rozczarowaniem.

Po latach, ukaza³ siê zbiorek opowiadañ („Opowieœci z Ziemiomorza”), który rozgrza³ trochê dawne afekty, tym nie mniej pozostawi³ w przekonaniu, ¿e Ziemiomorze to szczeniêca mi³oœæ, która w sumie do niczego nie doprowadza. Dlatego z lekkimi oporami i bez entuzjazmu siêgn¹³em (te¿ w opóŸnieniu, bo wydane w 2003 r.), po V tom Ziemiomorza pt. „Inny wiatr”. Jako, ¿e mia³em okazjê rozmawiaæ z innym fanami tego œwiata, którzy podobnie jak ja „utracili wiarê w Ziemiomorze” i przegapili (b¹dŸ zignorowali) pojawienie siê tej wa¿nej ksi¹¿ki - st¹d spóŸniona recenzja.

Odwa¿ê siê powiedzieæ na pocz¹tku, ¿e kto nie przeczyta³ „Innego wiatru”, nic tak naprawdê nie wie o Ziemiomorzu...

To jest niew¹tpliwie jeden z bardziej udanych powrotów do tematu jaki mia³em okazjê przeczytaæ w literaturze fantasy, chwalebne opus magnum, godne prawdziwej mistrzyni gatunku.

Œwiat Ziemiomorza to miejsce, gdzie na tysi¹cach wysp rozsianych po ogromnym oceanie ¿yj¹ rozumne istoty: ludzie i smoki. Oddalenie wysp czy wiêkszych archipelagów, nie sprzyja unifikacji - wrêcz odwrotnie, mieszkañcy traktuj¹ s¹siadów mieszkaj¹cych o kilka godzin czy dni ¿eglugi jak przybyszy z obcego œwiata.

Spoiwem tego wszystkiego jest magia, praktykowana zarówno przez dumnych magów - mêdrców jak i skromne wiejskie czarownice. Pozwala ona trzymaæ w ryzach ¿ywio³y œwiata - od bezimiennych mocy ziemi, przez naprawê uszkodzonych garnków i sprowadzenie deszczu na pola, a¿ do potê¿nych smoków. Mieszkañcy Ziemiomorza za najcenniejszy skarb uznaj¹ swoje imiona, nadawane w dawnej mowie stworzenia, któr¹ w³adaj¹ czarodzieje i smoki. Ka¿dy kto zna prawdziwe imiê cz³owieka czy smoka, ma nad nim nieograniczon¹ w³adzê.

Jedynym miejscem, gdzie magia jest zakazana i nie praktykowana, jest cesarstwo Kargów, pozostaj¹ce w sta³ej wojnie z reszt¹ Archipelagu.

Powieœæ rozpoczyna siê, gdy po czasie chwa³y i bohaterskich czynów (opisanych we wczeœniejszych tomach), legendarny Arcymag Ziemiomorza Ged nazywany Krogulcem do¿ywa dni na wyspie swej m³odoœci - Goncie. Niegdyœ uratowa³ œwiat od zag³ady gro¿¹cej z powodu zachwiania granicy miêdzy œwiatem ¿ywych i umar³ych, na skutek czego utraci³ ca³¹ swoj¹ czarodziejsk¹ moc. Pozbawiony jej, od kilkunastu lat ¿yje ¿yciem prostego wieœniaka razem ze swoj¹ ¿on¹ Tenar, która pomog³a mu ongiœ zdobyæ wa¿ny dla ca³ego Ziemiomorza Pierœcieñ Erreth - Akbego („Grobowce Atuanu”). Mieszkaj¹ razem z przybran¹ córk¹ o imieniu Tehanu - dziewczyn¹ straszliwie niegdyœ okaleczon¹, która posiada nierozwik³an¹ wci¹¿ tajemnicê - jej ocalenie wi¹za³o siê z pojawieniem siê na wyspie Gont najstarszego ze smoków - Kalessina („Tehanu”).

Ged przyjmuje do swego domu Olchê - wioskowego czarodzieja drêczonego przez sny.

Sny to dziwne, niepokoj¹ce - w których Olcha stawa³ przy murze oddzielaj¹cych œwiat ¿ywych od umar³ych. Spotyka³ tam swoj¹ niedawno zmar³¹ ukochan¹ ¿onê, wzywaj¹c¹ go rozpaczliwie z proœb¹ o pomoc. Z tego jednak, co wiedz¹ mêdrcy i magowie, umarli po œmierci zapominaj¹ o wszystkim co ich spotka³o, „matka nie tuli ju¿ swego dziecka”. Wszyscy zmarli trwaj¹ w zimnym bycie, bez bólu i strachu, ale te¿ i bez mi³oœci, czy jakichkolwiek uczuæ. Zamieszkuj¹ such¹ krainê, gdzie nie ma ani kropli wody tylko py³ a jedynym œwiat³em s¹ zimne, obce niebu ¿ywych gwiazdy. Dlatego to wydarzenie stanowiæ musi pogwa³cenie odwiecznego porz¹dku i œwiadczyæ o tym, ¿e po raz kolejny równowaga zosta³a zachwiana..

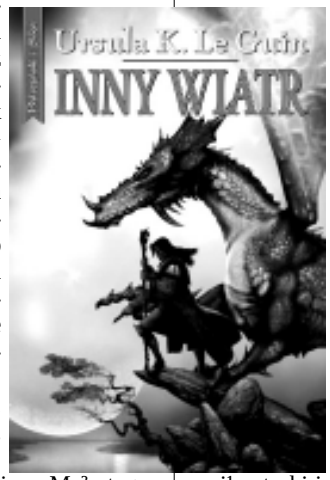

Z kolejnymi snami Olchy, zamiast zmar³ej ukochanej, pojawia³o siê coraz wiêcej umar³ych z podobnym wo³aniem. Ma³o tego, wszyscy oni próbowali sforsowaæ ów tajemniczy mur, oddzielaj¹cy ich od œwiata ¿ywych...

Olcha czu³, ¿e przed³u¿aj¹cy siê kontakt ze zmar³ymi, w koñcu i jego samego doprowadzi³by do œmierci, bo nie mo¿na bezkarnie przebywaæ w pobli¿u krainy umar³ych. Z drugiej strony trawi³a go têsknota za swoj¹ zmar³¹ ukochan¹, z której odejœciem wci¹¿ nie móg³ siê pogodziæ. Wyruszy³ wiêc po radê na wyspê czarodziejów - Roke, jednak tamtejsi mistrzowie nie potrafili mu pomóc. Skierowali go do Geda - starego Arcymaga, który w swej przesz³oœci nie raz by³ w owej krainie umar³ych. W³aœnie by œwiat ¿ywych nie zmiesza³ siê ze œwiatem umar³ych na skutek dzia³añ szalonego czarodzieja Coba, Ged kiedyœ straci³ ca³¹ moc („Najdalszy brzeg”).

Ged - mimo, ¿e pozbawiony mocy przychodzi jednak Olsze z pomoc¹, po czym wysy³a go do Havnoru - stolicy odrodzonego królestwa jednocz¹cego wyspy Ziemiomorza, pod ber³em króla. W³adaj¹cy tam król zjednoczonych Archipelagów Lebannen niegdyœ by³ towarzyszem Geda w krainie zmar³ych. W stolicy przebywaj¹ tak¿e z wizyt¹ Tenar i Tehanu, które uda³y siê tam na wezwanie króla. Ostatnio dochodz¹ bowiem niepokoj¹ce wieœci o pojawieniu siê na rubie¿ach smoków. Smoki od wieków nie narusza³y siedzib ludzkich w zwi¹zku z rozejmem, który panowa³ miêdzy ludŸmi i smokami, a którego utrzymanie wspomaga³a wszechw³adna magia. Ged, równie¿ zaproszony dla udzielenia rady - zostaje, zamiast siebie posy³aj¹c Olchê.

Sny wioskowego czarodzieja i pojawienie siê smoków w jakiœ sposób wi¹¿¹ siê ze sob¹....

Od pierwszych kart tej opowieœci, czytelnika znaj¹cego wczeœniejsze tomy, ogrania radoœæ. Okazuje siê, ¿e magia s³owa, jak¹ w³ada³a U.K. Le Guin nic nie straci³a ze swej mocy i ca³e piêkno wizji wraca w pe³ni chwa³y. To wszystko, co uwiod³o w pierwszych przygodach Geda, jest i tu oddane, choæ przyprószone siw¹ m¹droœci¹ autorki jak i samych jej bohaterów, zbli¿aj¹cych siê do kresu ¿ycia. „Inny wiatr” posiada wszystkie zalety swoich poprzedniczek - szanuje czytelnika pod wzglêdem objêtoœci, w mistrzowski sposób oddaj¹c p³ynnoœæ narracji. Równoczeœnie nic z uroku i g³êbi historii nie umyka. Jesteœmy w równym stopniu wzruszeni starcz¹ niemoc¹ Geda jak widokiem smoków szybuj¹cych nad Ziemiomorzem. Dostaliœmy powieœæ o ¿yciu i œmierci, niezwykle wa¿n¹ ksi¹¿kê zamykaj¹c¹ i wyjaœniaj¹c¹ wiele z tego, co wczeœniej by³o rozbite i jedynie niewyraŸnie zaznaczone.

U.K. Le Guin, tak jak poprzednio, skupia siê g³ównie na ludziach, okie³znuj¹c natrêtn¹ magiê jak i tajemne si³y, choæby moc¹ zwyk³ego kociêcia. Losy bohaterów zazêbiaj¹ siê, wyjaœniaj¹ i ostatecznie wype³niaj¹. Nie razi brak na pierwszym planie Geda (jak to by³o w przypadku „Tehanu”) wszystko zachowane jest we w³aœciwych proporcjach, a¿ do ostatecznego koñca... który nie rozczarowuje.

Autorka pokazuje w tej ksi¹¿ce najwspanialsz¹ m¹droœæ kobiec¹, jak¹ literatura mo¿e ukazaæ - pe³n¹ mi³oœci, szacunku i zrozumienia dla œwiata i zamieszkuj¹cych go stworzeñ. Relacje damsko - mêskie ukazane s¹ bez fe-

ministycznej krzykliwoœci i mêskiego wulgaryzmu, delikatnie budowane i odnajdywane choæby przez Lebennana i przyby[31] ksiê¿niczkê z barbarzyñskiego imperium Kargów.

To inne namiêtnoœci ni¿ mi[3]oœæ sprowadzaj[1] na œwiat straszliwe konsekwencje. Lecz to mi[3]oœæ wszystko ratuje.

Mo¿e wiêc tylko cieszyæ, ¿e opowieœæ, rozpoczêta ponad 30 lat temu, znalaz[3]a takie a nie inne zakoñczenie. Z w[3]asnego doœwiadczenia, jak i innych uwiedzionych przez magiê wiem, ¿e fascynacja losami Geda sta[3]a siê dla wielu przyczyn[1] spotkania z ich w[3]asnym „cieniem". I podobnie jak u Geda, nie oby[3]o siê bez ran, u wielu wci[1]¿ otwartych.

Niew[1]tpliwie „Inny wiatr" pozwala wiele z niedomówieñ zamkn[1]æ, wiele ran uleczyæ... Autorka ocala swego bohatera od straszliwego losu „¿ycia po ¿yciu", robi t[1] ksi[1]¿k[1] jednak coœ wiêcej, bo ocala równie¿ swoich czytelników. Tych wszystkich, którzy kiedyœ, dawno temu wyruszyli tak jak Ged na „najdalsze brzegi", by próbowaæ zdobyæ m[1]droœæ mêdrców z wyspy Roke. Ka¿dy, kto teraz wyruszy do Ziemiomorza, mo¿e wiedzieæ, ¿e bezpiecznie wróci do domu. B[31]dz[1]cym tam dalej, autorka zapali[3]a mocn[1] latarniê.

Zachêcam wiêc wszystkich do powrotu do Ziemiomorza, zw[3]aszcza w kontekœcie szalonej popularnoœci innej powieœci o czarodziejach i szkole magii. Ostatecznie okaza[3]o siê, ¿e ta opowieœæ do czegoœ doprowadzi[3]a, do poznania czegoœ wa¿nego, co warto by[3]o okupiæ ranami. Tym niemniej, zas[3]uchanie w pieœñ jak[1] przyniós[3] inny wiatr, lepiej niech siê skoñczy wraz z jej ostatnim dŸwiêkiem.

Œwiat, ten œwiat choæ troszkê odmieniony przez inny wiatr, warto przywitaæ z radoœci[1].

[1] Por A. Sapkowski, *Piróg albo nie ma z[3]ota w Szarych Górach*, Nowa Fantastyka 5(128)/1993, albo mój tekst z „Innych Planet" nr 13.

Maciej Witkowiak

Ursula K. Le Guin, *Inny wiatr*, t[3]um. Paulina Braiter, Prószyñski i S-ka, 2003.

Olgierd Czarnomski

1 Maja

- Poœpiesz siê z tym œniadaniem. Za chwilê musimy wyjœæ.
- Ju¿ koñczê tato. – niewyraŸnie odpowiedzia[3] ch[3]opiec, prze[3]ykaj[1]c kolejny kês. – Cieszê siê, ¿e mnie zabierasz. Nareszcie zobaczê fabrykê. Mieliœmy du¿o szczêœcia, ¿e wylosowano akurat ciebie.

- Dobrze, ju¿ dobrze. Wypij kakao i idŸ siê umyæ. Nie mo¿esz iœæ z tak[1] usmarowan[1] buzi[1]. – g[3]os rodziciela by[3] pe[3]en dumy i radoœci.

Tak on te¿ cieszy[3] siê na dzisiejszy dzieñ. Tym bardziej, ¿e œwiadkiem tego wyró¿nienia bêdzie Robert, jego syn. Mo¿e za kilka lat i jemu trafi siê szczêœliwy los.

Sprawdzi[3], czy wszystkie guziki i suwaki kombinezonu s[1] zapiête. Strzepn[13] nieistnej[1]cy py[3]ek z ramienia i z torb[1] z narzêdziami w rêku, czeka[3] na ubieraj[1]cego siê ch[3]opca.

Wyszli. Ojciec trzyma[3] syna za rêkê. Innego dnia ch[3]opiec protestowa[3]by przed t[1] nadopiekuñczoœci[1], ale nie dziœ. Dziœ ca[3]e miasteczko patrzy[3]o z dum[1], a pewnie i z zazdroœci[1] na jego tatê. A on trzymaj[1]c go za rêkê, uczestniczy[3] w szczêœciu, które przepe[3]nia[3]o ojca.

Do fabryki by[3]o niedaleko, jakieœ dwadzieœcia minut marszu. Szli spokojnym równym krokiem, choæ chcia[3]o siê biec. Nie mogli jednak zawieœæ innych mieszkañców, swym nieodpowiednim zachowaniem.

Dotarli na miejsce. Na placu za bram[1], pod wielk[1] wiat[1], sta[3]y w szeregach automaty. Na bramie wisia[3]a tablica. Wielki napis g[3]osi[3]: "1 Maja – Œwiêto Pracy", a u do[3]u du¿o mniejszymi literami: "dzieñ konserwacji robotów".

Mê¿czyzna wyj[13] z kieszeni klucz od bramy, który otrzyma[3] w wyniku losowania.

- Bierzmy siê do pracy, synu. – zwróci[3] siê do ch[3]opca, otwieraj[1]c bramê. Jego twarz rozjaœnia[3] szeroki uœmiech szczêœcia.

RECENZJA

Maciej Guzek

Czekając na Dukaja

Traf chcia[3], ¿e prawie jednoczeœnie pojawi[3]y siê na rynku dwie ksi[1]¿ki. Pierwsza to oczekiwani d[3]ugo „Bo¿y bojownicy" A. Sapkowskiego, druga - „Zapach szk[3]a" A. Ziemiañskiego. Sapkowski ostatnimi czasy pisze niewiele, ot jedna powieœæ raz na dwa lata, ¿adnych opowiadañ. Ziemiañski to co innego - robi[1]ca furrorê „Achaja" (co roku tom), opowiadania zdobywaj[1]ce g[3]ówne bran¿owe nagrody… Nie raz s[3]ysza[3]em ju¿ g[3]osy, ¿e teraz to Ziemiañski rz[1]dzi w polskiej fantastyce, ¿e Sapkowski po zakoñczeniu cyklu wiedŸmiñskiego „siê skoñczy[3]", ¿e „Achaja" jest ciekawsza ni¿ saga o Geralcie z Rivii, a tym bardziej o Reinmarze z Bielawy, ¿e Ziemiañski lepszy.

Dopiero w poci[1]gu podczytuj[1]c na przemian to „Bo¿ych bojowników", to znów „Zapach szk[3]a" wyraŸnie dostrzeg[3]em ró¿nicê. Owszem, opowiadania Ziemiañskiego s[1] zajmuj[1]ce. Sam pamiêtam, jak z wypiekami czyta[3]em „Bombê Heisenberga", czy „Autobahn nach Poznañ" i przyznajê, w drugim czytaniu teksty te wydaj[1] siê równie dobre. Jednak „Bo¿y bojownicy" to stylistyczny nokaut Ziemiañskiego. O ile teksty Ziemiañskiego napisane s[1] dobrze, to nowa powieœæ Sapkowskiego napisana jest wspaniale. Sama ta uroda jêzykowa wystarcza, by ksi[1]¿kê Sapkowskiego postawiæ wy¿ej ni¿ „Zapach szk[3]a" - nie wiem czy w polskiej prozie ktokolwiek pisze lepiej, [3]adniej. A wiêc - z ca[3]ym szacunkiem dla Ziemiañskiego - to Sapkowskiemu nale¿y oddaæ palmê pierwszeñstwa. A uroda jêzykowa to nie jedyny atut, jaki „Bo¿y bojownicy" maj[1] do zaoferowania.

Mamy w powieœci wiêkszoœæ zalet pierwszej czêœci cyklu, czyli znakomit[1] wiedzê o epoce, mnóstwo erudycyjnych smaczków i barwne opisy znanych przecie¿ okolic. Czechy i Œl[1]sk pod piórem Sapkowskiego o¿ywaj[1] i co tu du¿o mówiæ, piêkniej[1]. Dialogi, do czego Sapkowski te¿ zd[1]¿y[3] przyzwyczaiæ, pierwsza klasa. Mniej ni¿ w pierwszej czêœci jest natomiast questu, owych nieustannych gonitw, ucieczek i bijatyk. I to kolejny atut - bo „Narrenturm" w tym w[3]aœnie punkcie by[3]a najs[3]absza. Ot, niektórzy nie bez racji mówili, ¿e to fabularyzowany przewodnik po Œl[1]sku, swego rodzaju powieœæ drogi. „Bo¿y bojownicy" s[1] inni. Wiêcej dzieje siê w zaciszu komnat, wiêcej jest spisków intryg i planów, mniej bezrefleksyjnych gonitw. Sporo siê te¿ dowiadujemy, kilka tajemnic, które dr[1]¿y[3]y czytelnikowi dziurê w brzuchu po przeczytaniu „Narrenturm", zostaje wyjaœnionych. S[1] te¿ zapadaj[1]ce w pamiêæ sceny, jak wizyta Reynevana i Szarleja u praskich alchemików, jak spotkanie z Rupiliusem Œl[1]zakiem na zamku Troski, a nade wszystko wspania[3]y rozdzia[3] pi[1]ty (móg[3]by on stanowiæ samodzielne opowiadanie), w którym tajemniczy pan Vlk przeprowadza œledztwo, w efekcie którego dowiadujemy siê co spotka[3]o kolektora podatków. Na marginesie, przeczytawszy ów rozdzia[3], zrozumia[3]em, dlaczego obecnie wszystkie nagrody bran¿owe za opowiadania zgarnia Ziemiañski - ano dlatego, ¿e AS opowiadania przesta[3] pisaæ. Wracaj[1]c do samej ksi[1]¿ki - g[3]ówny bohater dorasta, m[1]drzeje - i to te¿ plus, bo w poprzedniej czêœci Reinmar by[3] bodaj najbardziej irytuj[1]c[1] postaci[1].

S[1] te¿ niestety i wady. Pierwsza to karygodne zmarginalizowanie Szarleja, który gdzieœ tam pojawia siê w tle, raz czy drugi rzuca k[1]œliwy komentarz, ale nie daje czytelnikowi tej satysfakcji co w pierwszej czêœci cyklu. Bezrefleksyjnych gonitw jest mniej, ni¿ w „Narrenturm", to prawda, lecz te gonitwy wci[1]¿ s[1] - i to jest wada druga. Wreszcie trzecia - skrzywienie œwiatopogl[1]dowe Sapkowskiego, który robi co mo¿e, by przedstawiæ duchowieństwo katolickie w jak najgorszych barwach. Dostaje siê równie¿ husytom, którzy w imiê Boga siej[1] spustoszenie i œmieræ. Podobnie jak w czêœci pierwszej autor gloryfikuje za to pogaństwo, co znowu wychodzi kiepsko i sztucznie. Jeœli pozosta[3]e strony konfliktu przedstawione s[1] wyj[1]tkowo niesympatycznie, a wyznawczynie wielkiej bogini - jako kobiety bez zmazy i skazy, taki obraz wypada bardzo niewiarygodnie. Cóż, wypada tylko ¿a[3]owaæ, ¿e Sapkowski nie pos[3]ucha[3] swych w[3]asnych rad, kiedy podczas spotkania autorskiego twierdzi[3], ¿e ksi[1]¿ka nie mo¿e byæ tub[1] propagandow[1], za pomoc[1] której autor g[3]osi swoje przekonania.

Tak czy inaczej jednak „Bo¿ych bojowników" przeczytaæ warto. Sapkowski z konfrontacji z Ziemiañskim wychodzi obronn[1] rêk[1] - czy wiêc nadal pozostaje Mistrzem, czy znów zgarnie Zajdla? Ha, nie wiadomo. Bo oprócz Ziemiañskiego ma znacznie powa¿niejszego rywala. Dwa lata temu do walki z „Narrenturm" J. Dukaj wystawi[3] „Extensê". Nowa powieœæ, Dukaja „Perfekcyjna niedoskona[3]oœæ" (planowana data wydania 08.11.2004), zapowiada siê znacznie lepiej. A zatem, czy Sapkowskiemu uda siê zachowaæ prymat w rodzimej fantastyce - nad tym pytaniem mo¿na siê jedynie zastanawiaæ w oczekiwaniu na now[1] powieœæ J. Dukaja.

Krzyżówka ze Świata Dysku

autorstwa Miss Grey i Merle

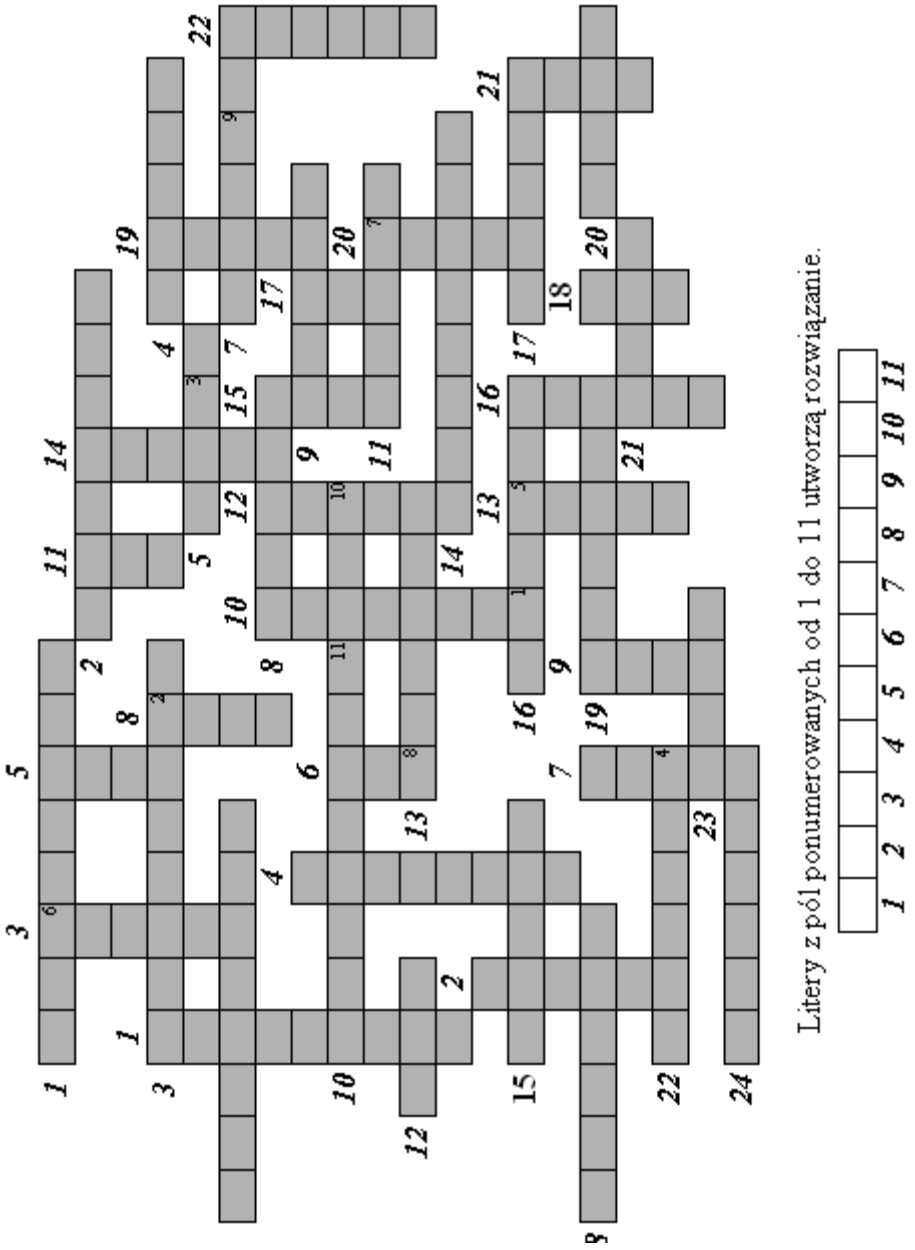

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 11 utworzą rozwiązanie.

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11

Has³a pionowe:

1. Zagro¿ony gatunek w bibliotece
2. Pozornie wypchany „familiar” Eryka
3. U¿ywa³a ich Lili Weatherwax
4. Pierwszy turysta Dysku
5. Jeden z przedmiotów wyk³adanych na NU
6. Jego smród ma w³asne ¿ycie
7. Ankh
8. Gliniane...
9. Kocia bogini
10. Krwio¿erczy flaming
11. Jest nim Jason, jest nim Sean...
12. Biblioteka ma go w nadmiarze
13. Jeden z przysmaków Erola
14. Niania ma je do wszystkiego
15. Mieszkaniec S³onecznego Przytuliska w Ankh-Morpork
16. Kolekcjoner klepsydr
17. Niebezpieczny w ogrodzie Patrycjusza
18. Uciekaj¹cy Rincewind nigdy tam nie spogl¹da
19. Mona Ogg
20. Victor + ruchome obrazki = ...
21. Suszona na pigu³ki
22. Krokodyli bóg

h

Has³a poziome:

1. PrzeBOJOWA piosenkarka
2. Zabójczo wygl¹daj¹ w czerni
3. Ósmy kolor
4. Jedyny posiadacz pisemnego zaœwiadczenia o byciu cz³owiekiem
5. Zajêcie Susan Sto Helit
6. Daikiri Niani
7. Gwa³ciciel i zabójca
8. Terier Vetinariego
9. Okr¹g³e...
10. Niewidzialna wszechnica
11. Obs³u¿y i mrówkê i konia
12. Œwiêty...
13. Mama nazywa³a j¹ Ghyta
14. Ponury... „rolnik”
15. Niebezpieczny sprzêt podró¿ny
16. Nastêpca szkieletokoni
17. Nocna...
18. Napis na czapce Rincewinda
19. Wyje w nocy
20. Cenne u trola
21. Pierwszy haker Dysku
22. Znana kraina
23. Widz¹ Œmieræ
24. Ma mniej kurzajek ni¿ by chcia³a

k

Czytelnicy, którzy na adres redakcji (2era@wp.pl) nadeœl¹ prawid³owe rozwi¹zanie krzy¿ówki otrzymaj¹ bony ¿ywieniowe ufundowane przez znanego ankh-morporckiego przedsiêbiorcê z bran¿y spo¿ywczej pana G.S.P. Dibblera.

Klub Fantastyki Druga Era zaprasza na POLCON 2005, który odbędzie się w dniach 25 - 28 sierpnia 2005 w Poznaniu będzie to już XX Ogólnopolski Konwent Miłośników Fantastyki

Szczegóły wkrótce w internecie: www.kf2era.webd.pl, www.2era.glt.pl

„Inne Planety” to fanzin **Klubu Fantastyki „Druga Era”** dzia³aj¹cego przy **Akademii Ekonomicznej w Poznaniu**
„Inne Planety” redaguj¹ zbiorowo:
Piotr Derkacz, Tomek R. Barczyk, Krzysztof G³uch, Maciej Guzek, Pawe³ Ostrowski, Micha³ Protasiuk, Beata Sobi³o, Wojtek Szyda, Maciej Witkowiak
Stali wspó³pracownicy: Jacek Sobota, Iwona Micha³owska.
Nak³ad: 300 egzemplarzy, oddano do druku w listopadzie 2004
Wydrukowano dziêki uprzejmoœci Akademii Ekonomicznej w Poznaniu
Autorzy rysunków: Pawe³ Piechnik, Radq, ¯yleta.
NUMER DEDYKOWANY ZUNIFIKOWANEJ PLANECIE KSI

adres redakcji: 2era@wp.pl